ROMANSE PIŁSUDCZYKÓW
Jak współpracownicy Marszałka tracili głowy dla młodych kobiet

CZARNI PRZECIW CZARNYM
Handlarze z Afryki pomagali białym niewolić swoich braci

BRUDNA WOJNA MŁODEGO IZRAELA
Palestyńczycy musieli się mierzyć z okrutnymi metodami walki z cywilami

NR 1(143)/2025 STYCZEŃ 2025

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



Ekscesy polskich elit
SKANDALIŚCI MIĘDZYWOJNIA

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031



Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl 7a862733ee

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD ORLE PIÓRO SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 11 stycznia 1936 r.

Bal karnawałowy w Akademii Sztuk Pięknych



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

O II RP bez cenzury

Z dzisiejszej perspektywy międzywojenna Polska może nam się kojarzyć z klasą, kulturą i doskonałym ułożeniem. Wszystko było wtedy inaczej – lepiej. Zapewne niemało w tym racji, ale jednak niektóre rzeczy są niezmienne. Ówczesne elity potrafiły za kulisami dać niezły „popis". Bodo, Nałkowska, Kiepura czy Jaracz. Prasa w przedwojennej Polsce miała o czym pisać.

Nasze elity artystyczne (i literackie) dostarczały mnóstwa materiału do rubryk o ekscesach. A kto zna się na tym lepiej niż Sławomir Koper, autor wielu książek o skandalistach II RP? Koper przypomina w tekście otwierającym temat numeru najbarwniejsze postaci przedwojennej Polski, pokazując, że w rzeczywistości tolerancja ówczesnych Polaków na „wyskoki" gwiazd była dużo większa, niż mogłoby to nam się dziś wydawać.

Weźmy takiego Stefana Jaracza, który miał zamiłowanie do miejsc, „gdzie w betach, w cuchnącym brudzie, odbywało się pijaństwo z chlebem i kiełbasą", w spelunkach wygłaszał monologi dla dorożkarzy, a jego żona i kochanka niemal jednocześnie zaszły w ciąże. Przy czym Jaracz i tak prowadził się względnie konserwatywnie w porównaniu z niektórymi swoimi kolegami i koleżankami ze świata elit kulturalnych.

Niewiele lepiej było na szczytach władzy. Tam również pełno było skandali obyczajowych, zaczynając od samego Marszałka, który zdobył niemałe doświadczenie w sztuce zarządzania równoległymi związkami. Nie ma się więc co dziwić, że tylu jego współpracowników nie miało oporów, by również dawać ludziom mnóstwo powodów do plotek.

Ostatni z trzech tekstów tematu numeru pokazuje, czym „napędzane" były ekscesy warszawskich elit. Alkohol lał się w stolicy przedwojennej Polski szerokim strumieniem, ale okazuje się, że stosunkowo łatwo dostępne były też przeróżne „dopalacze", które nijak nie kojarzą nam się ze stateczną II RP... ©℗

eprasa.pl 7a862733ee

W NUMERZE



/ TEMAT NUMERU

.6 SŁAWOMIR KOPER
Skandaliści II RP

.12 TOMASZ STAŃCZYK
Pożary serc piłsudczyków

.16 WOJCIECH LADA
Narkotykowe odloty dwudziestolecia

/ CZASY I LUDZIE

.20 LESZEK LUBICKI
Czystość Bolesława Wstydliwego i Kingi

.24 PIOTR SEMKA
Twardzi brodacze z północy

.28 GRZEGORZ JANISZEWSKI
„Batory i Rejtan" na Dzikim Zachodzie

.32 MAREK GAŁĘZOWSKI
Ojciec kaprala „Szczapy"

.36 ANNA SZCZEPAŃSKA
Czarni przeciw czarnym

.40 PIOTR WŁOCZYK
Fińska trauma Kremla

.44 MIKOŁAJ IWANOW
Stalin i literaci

.48 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Tragedia białej Rodezji

.52 JAKUB OSTROMĘCKI
Przejmujący dreszcz Drakuli

.56 PIOTR KITRASIEWICZ
Ambasador w mundurze szeregowego

.60 ŁUKASZ CZARNECKI
Medyczne koszmary średniowiecza

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Dziecinny głód Wojaczka

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Donald Bonaparte

.71 PIOTR SEMKA
Wiedeńska klątwa

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 PIOTR WŁOCZYK
Najdziwniejsza wojna w historii

.72 MICHAŁ MACKIEWICZ
Milion pocisków nad Sommą

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Techniczne bezrobocie

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Brudna wojna Izraela

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Strajk w Oficerskiej Szkole Pożarniczej

eprasa.pl 7a862733ee

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

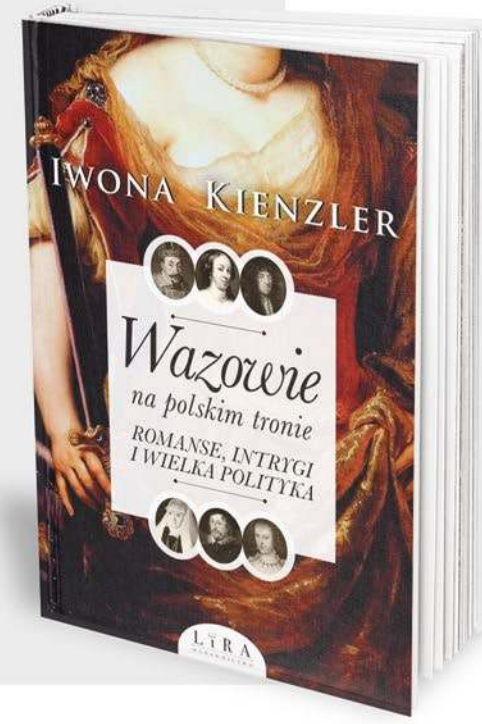
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA IWONA KIENZLER: „WAZOWIE NA POLSKIM TRONIE. ROMANSE, INTRYGI I WIELKA POLITYKA"

Wazowie na polskim tronie. Romanse, intrygi i wielka polityka

Polscy królowie ze szwedzkiej dynastii Wazów do dziś budzą gorące emocje, a ich rządy nie poddają się jednoznacznej ocenie.

Poznaj losy króla Zygmunta III, przyjrzyj się burzliwemu życiu jego dwóch synów, Władysława IV i Jana Kazimierza. Wszystkim trzem przyszło panować w wyjątkowych dla Rzeczpospolitej czasach. Polska była wówczas potęgą, ale pojawiały się pierwsze symptomy upadku. O losach państw decydowały nie tylko układy, wojny czy traktaty, ale również to, co działo się za zamkniętymi drzwiami sypialni władców.

Iwona Kienzler przybliża nam prywatne życie polskich Wazów, ich perypetie miłosne i rolę, jaką u ich boku odegrały kobiety.



163 zł

oszczędność 51 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7a862733ee



Hanka Ordonówna i Fryderyk Jarossy FOT. NAC

Lata 20. i 30. XX w.

Skandaliści



Sławomir Koper

Alkohol lał się tu strumieniami, a rzadkie przypadki abstynencji tylko potwierdzały regułę. Elity artystyczne przedwojennej Polski szokowały swoimi ekscesami

Jak na gwiazdę sceny przystało, Eugeniusz Bodo zapałał miłością do automobilizmu i kupił eleganckiego, sześciocylindrowego chevroleta. Zadbał o odpowiednie uprawnienia i ukończył kurs w szkole prowadzonej przez braci Mariana i Michała Reczków. Niestety, aktor zbyt szybko chciał zostać mistrzem kierownicy, co zakończyło się tragedią.

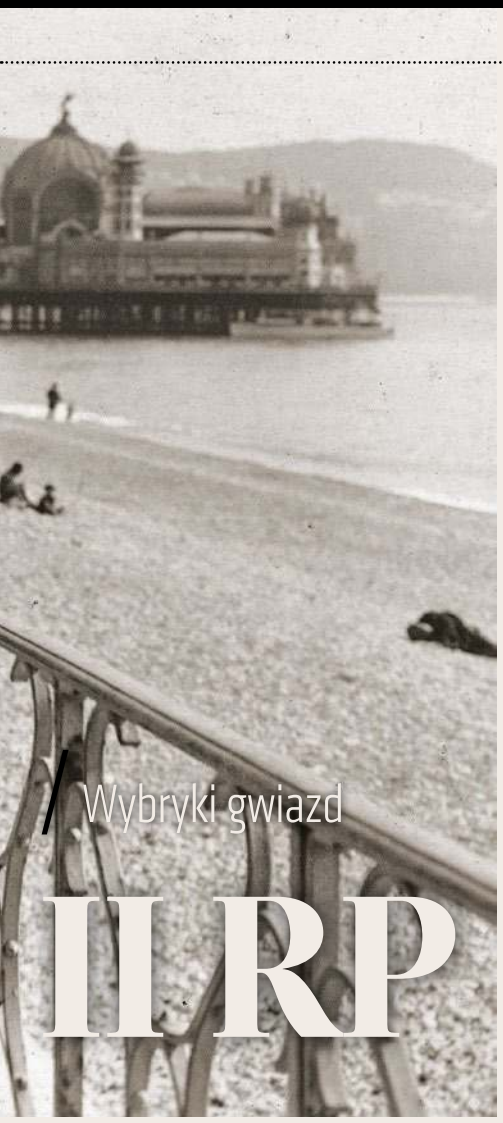
Tuż po zdobyciu prawa jazdy wpadł na pomysł wyjazdu na jeden dzień na Powszechną Wystawę Krajową. Eskapada do Poznania była poważnym wyzwaniem dla świeżo upieczonego kierowcy (następnego dnia wieczorem miał pojawić się na kolejnym przedstawieniu rewii w Warszawie), ale Bodo koniecznie chciał wypróbować nowy pojazd. Namówił na podróż kilkoro znajomych i wieczorem 25 maja 1929 r., po spektaklu w kabarecie Morskie Oko, zajął miejsce za kierownicą pojazdu. Towarzyszyli mu Witold Roland, tancerka Zofia Oldyńska oraz bracia Reczkowie, przed którymi chciał się wykazać swoimi umiejętnościami.

Wesołe towarzystwo odjeżdżało spod teatru z humorem żegnane przez kolegów. Orkiestra grała tango „On nie powróci już", które było przebojem najnowszego programu Morskiego Oka. Nikt nie przypuszczał, że słowa piosenki okażą się prorocze.

On nie powróci już,
Więc szkoda twoich łez,
On nie powróci już,
Marzeniom połóż kres.

Do tragedii doszło ok. godz. 2. W pobliżu Łowicza budowano most na Bzurze i w związku z tym wyznaczono objazd. Bodo wjechał w wybrukowaną kocimi łbami ulicę, która miała dwa ostre zakręty. Nie były one oznakowane, a co gorsza, po lewej stronie ulicy stały słupy

eprasa.pl 7a862733ee



Wybryki gwiazd

II RP



Eugeniusz Bodo w filmie „Człowiek o błękitnej duszy" FOT. NAC

telegraficzne, które dodatkowo zmyliły kierowcę. Droga bowiem zakręcała, a ciąg słupów biegł dalej prosto, przecinając tory kolejowe.

„Samochód prowadził pan Bodo – pisał reporter »Ilustrowanego Kuriera Codziennego«. – Tuż za Łowiczem wskutek ciemności pan Bodo nie zauważył zakrętu i wjechał na nasyp o wysokości 4 metrów. Samochód na skutek gwałtownego skrętu spadł […], śmierć na miejscu pod samochodem znalazł 32-letni śp. Witold Roland, reszta towarzystwa doznała cięższych lub lżejszych obrażeń. Na pomoc ofiarom katastrofy przybiegli kolejarze oraz miejscowa policja, którzy przetransportowali rannych do szpitala św. Tadeusza w Łowiczu".

Samochód jechał z prędkością zaledwie 40 km/h, ale Roland zmarł z powodu złamania kręgosłupa. Oldyńska złamała rękę, a dla reszty wypadek skończył się na potłuczeniach. Pasów bezpieczeństwa w tamtej epoce jeszcze nie znano…

Gazety podawały informację o wypadku na pierwszych stronach, to była prawdziwa sensacja dnia. Jeszcze większe zainteresowanie wzbudziło to, że tego samego wieczoru Bodo wziął udział w przedstawieniu rewii. Był profesjonalistą i wiedział, że pomimo całej tragedii „show must go on". Nietrudno się jednak domyślić, co czuł, gdy wykonywał to nieszczęsne tango, którym żegnano go przed wyjazdem do Poznania. Na szczęście program wkrótce spadł z afisza, co aktorowi przyniosło dużą ulgę.

Bodo nie zwierzał się nikomu z tego, co odczuwał po śmierci przyjaciela. Cała sprawa odcisnęła jednak na nim swoje piętno. Tym bardziej że prowadził samochód, będąc pod wpływem alkoholu. We wraku znaleziono bowiem puste butelki po koniaku i wódce, a jeden z policjantów zeznał, że od kierowcy czuł alkohol. Zapewne właśnie z tego powodu Bodo przestał pić napoje wyskokowe. Odmawiał nawet reklamowania wódek Baczewskiego, twierdząc, że jako abstynent będzie w tej roli nieprzekonujący.

Wypadek znalazł swój epilog w sądzie. Na ławie oskarżonych zasiedli Bodo oraz przedstawiciele władz miejskich Łowicza. Wypowiadali się biegli, podstawowym problemem, który miano rozstrzygnąć podczas rozprawy, było fatalne oznakowanie drogi.

Sąd zarządził nawet wizję lokalną, jeden z prokuratorów bez problemu pokonał feralny zakręt z prędkością 30 km/h. Obrońcy wnosili o uniewinnienie, pełnomocnik władz miejskich Łowicza całą winę zrzucał na Bodo i jego znajomych, twierdząc, że zamierzali oni pokonać „w rekordowo szybkim czasie trasę Warszawa – Poznań – Warszawa i jeszcze

eprasa.pl 7a862733ee

tego samego wieczoru z uśmiechem stanąć na deskach scenicznych".

Sąd uznał oskarżonych za winnych, burmistrz Łowicza, jego zastępca i jeden z członków magistratu otrzymali kary po trzy miesiące więzienia, natomiast wobec Bodo orzeczono wyrok półroczny, zawieszając go jednak na trzy lata. Niedługo później kara ta uległa zatarciu na mocy ogłoszonej amnestii.

Miłość i parasolki

Pierwsza wojna światowa i koniec belle époque przyniosły rewolucję obyczajową. Kobieta przestała być narzędziem w rękach mężczyzny, uzyskała znaczną autonomię, chociaż prawodawstwo nie nadążało za praktyką życiową. Nikogo już nie dziwiła kobieta unieważniająca małżeństwo (rozwody cywilne dopiero wchodziły w życie) lub zmieniająca co pewien czas partnerów. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska mogła mieć kolejno trzech mężów i nikt jej nie uważał za „kobietę upadłą". W świecie artystycznym zdarzały się wolne związki, partnerzy zamieszkiwali ze sobą bez ślubu, wspólnie prowadząc gospodarstwo domowe. Tak postępował Fryderyk Járosy, którego kolejne partnerki (Ordonka, Górska, Terné) oficjalnie z nim mieszkały, choć sam Járosy pozostawił za granicą legalną żonę i nie zamierzał się rozwieść.

Pojawił się również nowy typ małżeństwa, aprobowanego przez otoczenie. Małżonkowie prowadzili całkowicie niezależne życie erotyczne, nie zrywając formalnych więzów. Tak postępowali Żeleńscy i Witkiewiczowie, a Witkacy określał ten rodzaj związku „małżeństwem à la Boyowie". Żeleński w swoich felietonach i recenzjach teatralnych głosił pochwałę takiego związku, chociaż w praktyce życiowej różnie z tym bywało. Jego partnerka, Irena Krzywicka, decydując się na drugie dziecko, uznała, że jego ojcem powinien być jednak mąż. Ale po urodzeniu syna wszystko wróciło do normy. Ponownie spędzała czas z Boyem, mąż i kochanek widywali się często, wzajemnie nie robiąc sobie krzywdy.

W czasach II RP kobiety przestały oczekiwać na inicjatywę erotyczną mężczyzn. Symbolem takiego postępowania pozostanie Zofia Nałkowska, która po



Jan Kiepura z żoną Martą Eggerth FOT. NAC

dwóch nieudanych małżeństwach prowadziła bogate życie seksualne, a w swoich „Dziennikach" wielokrotnie dawała wyraz swoim fascynacjom. Czasami można było odnieść wrażenie, że chciała powetować sobie stracony czas, szczególnie u boku drugiego męża. Jerzy Jur-Gorzechowski, legendarny bojownik PPS, w życiu codziennym okazał się ponurym sadystą. Tak jakby nie potrafił odróżnić walki z zaborcą od życia domowego.

Nałkowska lubiła młodych mężczyzn, szczególnie początkujących literatów. Złośliwi mówili nawet, że droga do kariery literackiej dla młodych mężczyzn wiodła przez łóżko Nałkowskiej lub Iwaszkiewicza. Nie wchodząc w tym miejscu w szczegóły życia erotycznego pana Jarosława, warto zauważyć, że dzięki Nałkowskiej Polska usłyszała o Brunonie Schulzu. Gdyby nie jej poparcie, to „Sklepy cynamonowe" i „Sanatorium pod Klepsydrą" pozostałyby w szufladzie Schulza i zginęłyby razem z nim w getcie w Drohobyczu. A że przy okazji Brunona i Zofię połączył krótkotrwały romans, to naprawdę nie miało większego znaczenia.

Nałkowska miała w życiu wiele przygód miłosnych, z niektórymi partnerami łączył ją wyłącznie seks. Tak było z Karolem Irzykowskim. Spotkania z nim określała mianem „dygresji erotycznej". Ale pojawiło się w jej życiu również prawdziwe uczucie, tylko że fatalnie ulokowane.

Karol Szymanowski był uroczym i przystojnym mężczyzną, miał jednak odmienne preferencje seksualne. W latach 30. był już zdeklarowanym gejem i siłą rzeczy zabiegi Nałkowskiej pozostały nieodwzajemnione. Były przy tym tak widoczne, że cała Polska plotkowała o ślubie pisarki z kompozytorem. Sam Szymanowski musiał uspokajać znajomych, że, owszem, ożenił się, ale „w swojej sferze"...

Szymanowski nie był jedynym homoseksualistą w gronie artystów polskich okresu międzywojennego. Gejami byli Lechoń, Iwaszkiewicz, Borman (wspólnik Grydzewskiego), Karol Hanusz. Warto jednak zauważyć, że małżeństwa homoseksualnych mężczyzn w tych czasach nie były niczym niezwykłym. Raczej do wyjątków należeli ci, którzy na podobny krok się nie decydowali. Irena Krzywicka zauważyła trafnie, że „oni w końcu się żenią i są podobno lepszymi od innych mężami".

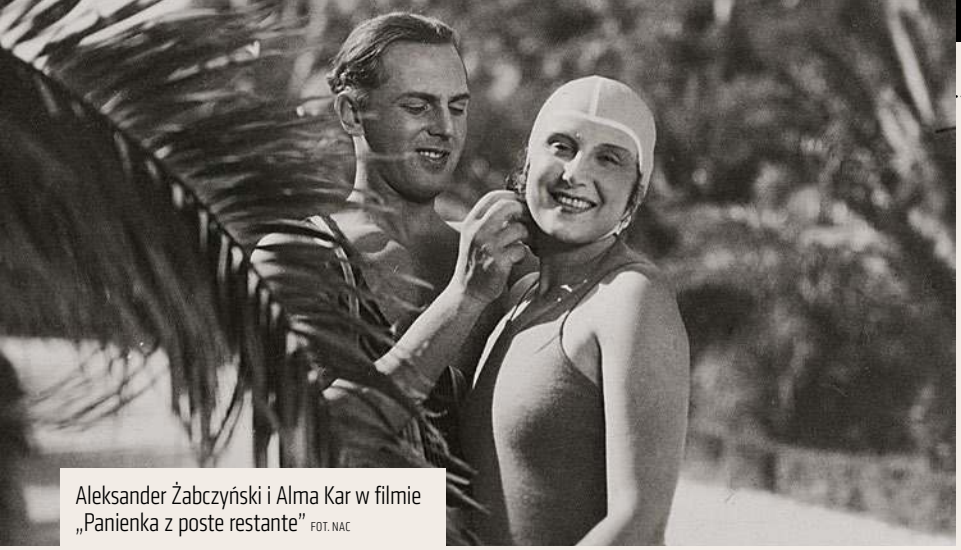
Natomiast Bruno Schulz przejawiał jeszcze inne zainteresowania erotyczne – był masochistą i fetyszystą. Specjalnie nie ukrywał swoich upodobań, chociaż w prowincjonalnym Drohobyczu zarabiał na życie jako nauczyciel w gimnazjum.

Gwiazdy filmu musiały liczyć się z niecodziennymi dowodami uwielbienia. Pewnej zimy w Częstochowie młodzi ludzie zatrzymali sanie, którymi Jadwiga Smosarska wracała do hotelu. Wyprzęgli konie i sami zaciągnęli ją na miejsce. Naj-



Maria Malicka FOT. NAC

eprasa.pl 7a862733ee



Aleksander Żabczyński i Alma Kar w filmie „Panienka z poste restante" FOT. NAC

gorzej wyszedł na tym pewien miejscowy adwokat, który również ciągnął sanie z aktorką. Przez całe lata nazywano go „koniem Smosarskiej"…

Na ścianach klatki schodowej domu, w którym mieszkał Aleksander Żabczyński – najpopularniejszy amant lat 30. – zakochane dziewczęta wypisywały wyznania miłosne. Aktor nie był z tego powodu szczęśliwy – skarżył się, że przez swoje wielbicielki musi ponosić dodatkowe wydatki. Właściciel kamienicy żądał od niego, aby dwa razy do roku odmalowywał ściany na własny koszt.

Inne problemy miał Stefan Jaracz. Podczas pobytu w Moskwie nawiązał romans z Izą Gliczanką, a na domiar złego żona i kochanka niemal jednocześnie zaszły w ciąże. Jaracz znalazł salomonowe wyjście z sytuacji – postanowił, że zostanie z tą, która wcześniej urodzi. Kochanka poroniła, żona urodziła córkę i małżeństwo przetrwało.

Specyficzną modą okresu międzywojennego było publiczne załatwianie spornych spraw za pomocą parasolek. Zofia Olechnowicz, żona Adolfa Dymszy, dowiedziała się kiedyś, że jej mąż podczas gościnnych występów kabaretu w Bydgoszczy nawiązał romans z jedną ze swoich koleżanek. Niewiele myśląc, wsiadła w pociąg i zjawiła się nad Brdą. Tam rozprawiła się z rywalką za pomocą parasolki, ale niewiernemu mężowi również się dostało. Podobnie postąpiła Maria Malicka, kiedy podejrzewała Lidię Wysocką o romans ze swoim partnerem. W ogóle parasolka w rękach rozwścieczonej kobiety stanowiła groźną broń, o czym wiedział dobrze Fryderyk Járosy. I kiedy w Ziemiańskiej zjawiła się Stefania Górska, a Węgier siedział przy stoliku z Zofią Terné (oraz przyjaciółmi), to uznał, że jedynym wyjściem z sytuacji jest ucieczka z miejsca zagrożenia. Panie załatwiły problem między sobą, a Járosy tłumaczył się później z rejterady:

„To było jedyne możliwe dla mnie wyjście z sytuacji […]. Gdybym bronił bitej, byłbym nielojalny w stosunku do mojej wówczas jeszcze prawowitej przyjaciółki, a niezależnie od tego oberwałbym i ja. Gdybym wyszedł z bijącą, do końca życia słyszałbym wymówki od tej, z którą zamierzałem się połączyć. Gdybym je rozdzielał […], obie zgodnie dałyby mi po łbie. Prawdziwy dżentelmen odznacza się tym, że potrafi zniknąć, kiedy jest to wskazane".

Parasolek używały nie tylko kobiety rywalizujące o względy tego samego mężczyzny. Pod Ziemiańską zastosowała to niebezpieczne narzędzie córka Bolesława Leśmiana, kiedy zauważyła ojca idącego pod rękę z pewną aktorką. A przecież nie miała złudzeń co do wierności małżeńskiej poety, który od lat pozostawał w związku Dorą Lebentahl. Jednak nowa kobieta w życiu ojca burzyła układ, do którego od lat przywykła. Interwencja córki była bardzo skuteczna – pobita kochanka ojca zemdlała…

Skandal w Zakopanem

Małżeństwo Zofii i Karola Stryjeńskich śmiało można określić jako jeden z najbardziej toksycznych związków w dziejach elit artystycznych II RP. Początkowo Karol był jednak pod wielkim urokiem żony. Nazywał ją czule „czupiradełkiem", pomagał w promocji jej twórczości.

W 1918 r. na świat przyszło pierwsze dziecko Stryjeńskich – córka Magda. Zofia marzyła o synu, więc urodzenie córki przyjęła z zawodem. W swoim pamiętniku zanotowała, że po porodzie była wściekła, drwiła z „powinszowań, kwiatów i odwiedzin", z niechęcią karmiła dziecko.

Rok później Stryjeńscy wyjechali do Paryża, pozostawiając córkę pod opieką rodziny. Nad Sekwaną doszło do pierwszego poważnego kryzysu małżeńskiego. Zofia zaczęła podejrzewać, że stała się mężowi obojętna, nie ukrywała, że chciała być „kochana dla siebie samej, nie dla pacykarstwa". Uznała, że Karol tylko inwestuje w jej talent. Wybrała jednak fatalną metodę sprawdzenia uczuć męża. „Pod wpływem tych gorzkich refleksji – opisywała w pamiętniku – lecę do stołu, gdzie leżały między książkami i zaczętymi drzeworytami przywiezione do Paryża oryginały mych prac i szast! Szast! Szast – strzępy rozsypały się po całym pokoju".

Karol był już zmęczony wybuchami żony, nie wytrzymał presji i powrócił do kraju. Zachował się jednak zupełnie bez klasy, zostawiając żonę w Paryżu kompletnie bez pieniędzy. Wróciła dzięki pomocy rodziny i pod Wawelem zamieszkali oddzielnie.

Nie na długo – Zofia kochała bowiem męża i zaproponowała, aby ponownie zamieszkali razem. Karol wyraził zgodę, zaproponował wspólne wyjście do teatru. Nie spędzili jednak tego wieczoru razem, ponieważ mąż zawiózł ją do kliniki znanego krakowskiego psychiatry dr. Piltza.

Z opresji wydobyli ją rodzice, ale małżeństwo nie miało przed sobą przyszłości. Zofia, pomimo pozorów ognistego temperamentu, nie przepadała za fizyczną stroną miłości. Pragnęła ciepła i czułości, ale seks właściwie jej nie interesował. On natomiast miał swoje potrzeby. Na początku wymykał się na całonocne imprezy alkoholowe z przyjaciółmi, potem w jego życiu pojawiły się inne kobiety. A potrafił robić wrażenie na płci pięknej. Jak wyjaśniał Rafał Malczewski: „Umiał się bawić i czarować kobiety od lat 1 do 100, wszelkiego pochodzenia: góralki, arystokratki, intelektualistki, artystki, sportsmenki, zakonnice, czarownice, święte, wariatki lub zgoła normalne, społecznice, ladacznice, dziewice, półdziewice, mężatki, rozwódki".

Irena Krzywicka również zachwycała się Karolem, uważając go za człowieka „promieniującego wewnętrznym

eprasa.pl 7a862733ee

ogniem", natomiast plastyczkę określała mianem „półwariatki". I takie relacje o obojgu powtarzają się do znudzenia w dokumentach z epoki. Inna sprawa, że Zofia uczciwie zapracowała na swoją opinię. Oto złośliwa, anonimowa relacja z wileńskiego „Słowa":

„[...] środkiem Krupówek leci jakiś pan, zygzakiem ogląda się trwożnie, umyka jak tubylec przed krokodylem. Za nim potężna, roztrzepana, nieuczesana, od ostatniego deszczu nieumyta, gruba pani, wymachując czymś nad głową – laską, parasolem czy też wielkim pędzlem [...]. Najciekawsze to, że w Zakopanem nikt się nie interesował taką chryją. Zapewne Stryjeńska rozweselała całe miasto, dostarczała tematu do rozmów, ale było tego za dużo, wybiła kamieniami wszystkie szyby w szkole, której mąż był rektorem, pocięła frak na kawałki na godzinę przed uroczystym oprowadzeniem Prezydenta po szkole, nawymyślała jakiejś pannie, której mąż się ukłonił, kopnęła inną, a o gonitwach i pościgach po mieście nikt nawet nie wspominał, codzienne zjawisko".

W 1922 r. Karol wygrał rządowy konkurs na plan regulacji Zakopanego i objął też stanowisko dyrektora tamtejszej Szkoły Przemysłu Drzewnego. Opracowywał nadal projekty architektoniczne, a jeden z nich znany jest niemal każdemu Polakowi. To Wielka Krokiew w Zakopanem – obiekt funkcjonuje do dziś, o czym możemy przekonać się podczas corocznych transmisji z zawodów Pucharu Świata.

Stryjeńscy przenieśli się do Zakopanego, na świat przyszły tam bliźnięta Jan i Jacek. Związkowi było jednak daleko do stabilizacji. Zofia kochała zachłannie i dziko, nie potrafiła panować nad sobą. Zadręczała męża swoją zazdrością, inna rzecz, że miała ku temu powody.

„Sekretarka Karola – kontynuowała Samozwaniec – siedzi kiedyś w pracowni i pisze na maszynie; nagle trzask! Wszystkie szyby lecą! Przerażona wybiega, by zobaczyć co się stało, a na to któryś z uczniów powiada, że to pani Stryjeńska przyjechała".

Podobno w porywie zazdrości rzuciła kiedyś w męża płonącą lampą naftową, jedną z rywalek obiła publicznie miotłą, a w gronie znajomych również zachowywała się ekscentrycznie. Podczas



Zofia Stryjeńska FOT. NAC

uroczystej kolacji, kiedy pani domu pochwaliła się miśnieńską porcelaną, malarka odwróciła talerz z zupą do góry dnem i powiedziała: „Rzeczywiście!".

Zofia ostatecznie zdecydowała się na rozwód, ale Karol miał inną wizję zakończenia małżeństwa. Wykorzystując obiegowe opinie o żonie, bez problemu doszedł do porozumienia z lekarzem zdrojowym Tadeuszem Gabryszewskim i komisarzem rządu na Zakopane. Obaj byli jego dobrymi znajomymi, a w całą sprawę wmieszano jeszcze policję. Ostatniego dnia sierpnia 1927 r. w domu Stryjeńskich doszło do kolejnej awantury, a Karol wezwał lekarza i siły porządkowe. Zofię zatrzymano i wywieziono do zakładu zamkniętego w Batowicach pod Krakowem.

Prasa ogólnopolska podała informacje o wydarzeniach, a dziennikarze prześcigali się w spekulacjach. Natomiast opinia publiczna w Zakopanem podzieliła się na dwa obozy. Stryjeński miał silne poparcie środowiska, z kolei za Zofią ujmowali się wyłącznie koledzy po fachu. A może oni najlepiej rozumieli koleżankę plastyczkę?

Krakowscy lekarze uznali zatrzymanie Stryjeńskiej za bezzasadne, w związku z czym zwolniono Gabryszewskiego, a zaraz po nim z posadą pożegnał się komisarz rządu. Sprawa trafiła na drogę sądową, a wyrok był jednoznaczny – zatrzymanie Stryjeńskiej było nieuzasadnione, koszty sądowe musiał pokryć Karol. Wszystko zakończyło się rozwodem, a sąd opiekę nad potomstwem przyznał mężowi. Karol nigdy się dziećmi specjalnie nie interesował, wobec czego wychowaniem zajęła się jego siostra, bezdzietna Joanna.

Do końca życia za Stryjeńską miała się ciągnąć opinia osoby, „która była w domu wariatów". Odsunęli się od niej znajomi, przyjaciele i w końcu musiała opuścić Zakopane. Wyjechała do Warszawy, gdzie wspólnie z siostrą wynajęła mieszkanie.

Do Warszawy przeprowadził się również Karol, obejmując Katedrę Rzeźby Monumentalnej na Akademii Sztuk Pięknych. Spotykali się czasami na ulicy, omijając się jak „dwoje obcych ludzi". W 1932 r. Stryjeński został współzałożycielem i pierwszym dyrektorem Instytutu Propagandy Sztuki – placówki konkurencyjnej wobec Zachęty. Nie nacieszył się jednak nowym stanowiskiem, ponieważ jeszcze w tym samym roku zmarł na wylew krwi do mózgu.

Sztuka i alkohol

W środowiskach artystycznych II RP alkohol lał się strumieniami, a rzadkie przypadki abstynencji tylko potwierdzały regułę.

„Europa, Trębacka lub pod filarami – wspominał Jan Ciecierski. – Warszawskie życie nocne zaczynało się od małego danka w Hotelu Europejskim i kieliszka lub dwóch wódki czystej z wermutem. Potem szło się pod Złotą Kaczkę lub do Adrii, a kończyło się nad ranem U Joska na Gnojnej, lub na dworcu".

Aktor Józef Węgrzyn pił nawet zwykły bimber z dorożkarzami. Złośliwi zauważali, że ma szlachetniejsze nazwisko niż trunki, które pijał (faktycznie raczej nie pijał tokaju). Alkohol doprowadził go zresztą do upadku. Nazywany „genialnym utracjuszem talentu" po wojnie prowadził budkę z wódką, a w końcu zapadł na schizofrenię.

Jeden z najwybitniejszych aktorów dwudziestolecia, Stefan Jaracz, znany był z zamiłowania do pokera, alkoholu i włóczęgostwa. Odwiedzał najgorsze spelunki, „gdzie w betach, w cuchnącym brudzie, odbywało się pijaństwo z chlebem i kiełbasą". W Wilnie zaginął kiedyś w czasie strasznych mrozów – znaleziono go wreszcie po kilku dniach na komisariacie na przedmieściu – brudnego, zarośniętego, o przekrwionych oczach.

Do legendy przeszedł jego wyczyn w podrzędnej knajpie, gdzie udowadniał swojemu kompanowi, że jest aktorem. Jaracz przed kompletnie pijaną publicznością wygłosił monolog z „Judasza"

eprasa.pl 7a862733ee

Tetmajera. A kiedy wycieńczony opadł na zydel, dorożkarze jak szaleni bili mu brawo.

Natomiast gdy pojechał z gościnnymi występami do Zakopanego, nie był nawet w stanie dotrzeć do pensjonatu, w którym zaplanowano wieczór literacki. Znaleziono go dopiero po dwóch dniach, w pustej szopie.

Ale jak w środowisku aktorskim można było nie pić alkoholu, skoro nawet Witkacy przyznawał, że jedyną w życiu pięciodniówkę miał z powodu pewnej premiery teatralnej. I uznawał to za okoliczność wysoce łagodzącą. Z problemem alkoholu nie potrafił się uporać do końca życia, a jego listy do żony pełne są obscenicznych szczegółów. Relacjonował z detalami, jak upił się „na zjazdowej orgii u Szumana", a potem „leżąc w wannie, rzygał na powierzchnię wody". I szczerze dodawał, że z tego „powodu była później mocno skomplikowana sytuacja".

Konsekwentnym alkoholikiem był Konstanty Ildefons Gałczyński. Wydawcy czasopism, zamawiając u niego wiersz, z reguły zobowiązywali posłańca do wypłacenia mu honorarium dopiero po oddaniu utworu. Gałczyński siadał w knajpie, pisał od ręki wiersz (z reguły doskonały) na serwetce, po czym inkasował honorarium i szedł pić dalej.

Bolesław Leśmian słynął nie tylko z dobrego apetytu, lecz także z mocnej głowy. Znajomi zastanawiali się, jak to jest możliwe, że ten drobny człowiek (miał tylko 155 cm wzrostu) potrafi tak dobrze tolerować alkohol. A poeta miewał różne pomysły na zdobycie środków na zakup trunków. Kiedy po studiach w Kijowie powrócił do Warszawy, wpadł w depresję i nosił się z zamiarem samobójstwa. Stanisław Przybyszewski nie mógł darować sobie takiej okazji i przyniósł Leśmianowi rewolwer. Niestety, ku jego zawodowi poeta nie zastrzelił się, tylko sprzedał broń. A uzyskane pieniądze przepił niezwłocznie z przyjaciółmi.

Brunetki, blondynki

Jan Kiepura nigdy nie narzekał na brak powodzenia u kobiet. Zamożny, przystojny, obdarzony nieprawdopodobnym głosem, sprawiał wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie. Powodzeniu u kobiet nie zaszkodziło to, że był dość niski (zawsze używał butów o podwyższonym obcasie) i wcześnie zaczął łysieć. Przyzwyczajony do damskich hołdów pisał ironicznie do przyjaciela, że „wszystkie panny z otwartymi rękoma i… rozwartymi nóżkami" czekają na niego. Miał dziesiątki okazji i chętnie z nich korzystał. Inna sprawa, że uwielbienie pań czasami było niebezpieczne – w Budapeszcie, w trakcie koncertu, jedna z wielbicielek dostała się na scenę i ugryzła go w łydkę.

Latem 1928 r. poznał 20-letnią lwowiankę Zofię Batycką. Piękna córka galicyjskiego adwokata spodobała się Kiepurze i pojawiły się plany matrymonialne. Pan Janek podróżując po świecie, niemal codziennie telefonował do dziewczyny.

Po kilku miesiącach idylla się skończyła. Kiepura zaprosił Zofię do Krakowa, ona przyjechała wraz z rodzicami. Doktor Batycki był oburzony, że jego córkę sprowadzono do roli kobiety, która „ugania się za mężczyzną".

W efekcie śpiewak zaczął unikać narzeczonej, co doprowadziło do zerwania zaręczyn. Nie przeszkodziło to Zofii w 1930 r. wygrać konkurs Miss Polonia, a jej urzędowanie zakończyło się skandalem. Po roku odmówiła zwrotu korony dla najpiękniejszej, wobec czego następny konkurs się nie odbył. Podpisała angaż w USA i wraz z koroną wyjechała za ocean. Kariery w Hollywood jednak nie zrobiła, wyszła za mąż za holenderskiego dyplomatę i niemal całe życie spędziła w Kalifornii. Pozostały po niej filmy nakręcone w Polsce, już po zakończeniu związku z Kiepurą. To była naprawdę piękna kobieta…



Józef Węgrzyn FOT. NAC

Kiepura prowadził życie radosnego playboya do czasu, aż trafił na właściwą kobietę. Marta Eggerth była węgierską Żydówką, początkującą aktorką. Otrzymała angaż do niemieckiej wersji jednego z filmów z Kiepurą – „Dla Ciebie śpiewam". Jak wszystkie obrazy śpiewaka film kręcono w trzech wersjach językowych: niemieckiej, angielskiej i francuskiej (Kiepurze towarzyszyły różne partnerki).

Kiepura zachowywał się jak wytrawny uwodziciel. Któregoś wieczoru, odprowadzając Martę do domu, wykupił od stojącej na ulicy kwiaciarki wszystkie kwiaty i podarował je dziewczynie. A potem cynicznie stwierdził, że zrobił to tylko dlatego, że „żal mu było tej starej kobiety, która do późnej nocy nie sprzedała towaru". Tłumaczył zakochanej w nim Marcie, że nie może się z nią ożenić, ponieważ nie jest Polką, farbuje włosy i jest aktorką. Dziewczyna miała jednak gotową odpowiedź. Stwierdziła, że przy nim może stać się Polką, a włosy przestanie farbować. Na pewno jednak nie zamierzała porzucić zawodu.

Pobrali się w Katowicach 31 października 1936 r. Uroczystość zakłóciło roztargnienie pana młodego – zapomniał obrączek. Kiedy coraz bardziej zdenerwowany przeszukiwał kieszenie garnituru, Marta odłożyła bukiet i z uśmiechem na twarzy wyjęła obrączki z torebki…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Mozelewska Z., ***„Stefania Górska, czyli aktorka, którą rozsławiła wpadka. Wszystko przez te barchanowe majtki", https://film.wp.pl/stefania-gorska-czyli-aktorka-ktora-rozslawila-wpadka-wszystko-przez-barchanowe-majtki-6280402236360321a;*** *Samozwaniec M.,* ***„Maria i Magdalena", t. 1 i 2;*** *Stryjeńska Z.,* ***„Chleb prawie powszedni", t. 1 i 2;*** *Wolański R.,* ***„Już taki jestem zimny drań. Eugeniusz Bodo";*** *Zieliński J.,* ***„Chłopak z Sosnowca. Szkice do portretu".***

eprasa.pl 7a862733ee



XX w. / Śluby, rozstania i ponowne małżeństwa

Pożary serc piłsudczyków

Tadeusz Kasprzycki i Zofia Kajzerówna FOT. NAC



Tomasz Stańczyk

Najbardziej znani współpracownicy Marszałka nierzadko tracili głowy dla młodszych kobiet, rozstając się w atmosferze skandalu z żonami. Czasami sformalizowanie nowych związków wymagało zmiany wyznania

Wypada zacząć od samego Józefa Piłsudskiego. Po powrocie z zesłania poznał on w Wilnie piękną, inteligentną Marię Juszkiewiczową, gwiazdę petersburskich salonów, która rozstała się z mężem (bez unieważnienia małżeństwa). Józef i Maria musieli więc zmienić wyznanie na ewangelickie, by w 1899 r. wziąć ślub. Kilka lat później Piłsudski poznał młodszą od siebie o 15 lat Aleksandrę Szczerbińską, członkinię Organizacji Bojowej PPS.

Żona dowiedziała się o romansie, nie godziła się jednak na unieważnienie małżeństwa. Przez lata trwał więc „tragiczny trójkąt" – jak nazwał tę sytuację Piłsudski. Ponadto oświadczył on, że nie opuści żony aż do śmierci, jeśli nie zwolni go z danego słowa. Małżonka nie chciała tego zrobić, nawet gdy Aleksandra została matką dwóch nieślubnych córek: Wandy i Jadwigi. Można widzieć w tym małostkowość, jednak Maria Piłsudska była bardzo przywiązana do męża i liczyła, że do niej wróci.

Maria zmarła w 1921 r. i Piłsudski mógł wreszcie wziąć ślub z Aleksandrą. Jednak po niecałych 10 latach zanosiło się na rozwód – i to z inicjatywy Marszałka. Być może powodem było jego zmęczenie niestabilnością emocjonalną żony, ale może też jej stan psychiczny był wywołany bliską znajomością Piłsudskiego z doktor Eugenią Lewicką. Zapewne było to tylko platoniczne uczucie Marszałka do młodszej od niego o 19 lat atrakcyjnej i inteligentnej kobiety, niemniej mogło one wzbudzić u żony chorobliwą zazdrość. Być może Piłsudski miał tego serdecznie dość. Janina Dunin-Wąsowiczowa, dobra znajoma Aleksandry Piłsudskiej, wspominała, że Bolesław Wieniawa-Długoszowski, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Marszałka, miał pojechać do Watykanu, by starać się o unieważnienie małżeństwa Piłsudskich. Ostatecznie jednak do tego nie doszło. Być może Marszałek zdawał sobie sprawę z tego, że rozstanie się z żoną wywołałoby szok w opinii publicznej, a poza tym nie chciał tego robić córkom. Znajomość z Marszałkiem zakończyła się dla Lewickiej tragicznie. W 1931 r. po powrocie z Madery, gdzie przebywała z nim, popełniła samobójstwo. Piłsudski był wstrząśnięty.

Paryski romans

W 1907 r. Sławoj Felicjan Składkowski, przyszły premier, ożenił się z Jadwigą Szoll. Kilkanaście lat później, w 1924 r., oddelegowany na studia do Wyższej Szkoły Wojennej w Paryżu poznał

eprasa.pl 7a862733ee



Od lewej: Germaine Składkowska i Sławoj Felicjan Składkowski z rodziną FOT. NAC

rozwiedzioną Germaine Susanne Coillot – i zakochał się. Aby połączyć się z nią związkiem małżeńskim, musiał formalnie rozstać się z żoną. Składkowski najpewniej nie miał szans na unieważnienie małżeństwa. Zdecydował się więc na zmianę wyznania na kalwińskie i w tym związku wyznaniowym uzyskał rozwiązanie małżeństwa i ślub z Francuzką.

Pani generałowa, ministrowa, a w końcu żona premiera odznaczyła się działalnością społeczną, zbierała fundusze dla schroniska weteranów powstania styczniowego na warszawskiej Pradze, wspierała schronisko dla legionistów pozbawionych pracy czy kolonie dla dzieci w Pomiechówku. W miejscowości tej jest dziś skwer imienia Germaine i Sławoja Felicjana Składkowskich. Małżeństwo wychowało dwóch adoptowanych chłopców.

Po śmierci Germaine (zmarła w 1945 r. w Palestynie) Składkowski związał się z Jadwigą Mostowicz, żoną bardzo popularnego pisarza i publicysty Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, autora „Kariery Nikodema Dyzmy", wyśmiewającego elitę piłsudczykowską, nie tylko zresztą w tej powieści. Autor zapłacił za to pobiciem przez „nieznanych sprawców".

Czy Składkowski, choć był członkiem rządu, wiedział, kim byli napastnicy? Zapewne nie, gdyż – jak w przypadku „zniknięcia" gen. Włodzimierza Zagórskiego, antagonisty Piłsudskiego jeszcze z czasów legionowych – była to prywatna inicjatywa zapalczywych wyznawców Marszałka.

Sławoj Składkowski poznał panią Mostowicz w Palestynie podczas drugiej wojny światowej. Była nauczycielką w szkole, do której chodzili jego przybrani synowie. Według innych relacji poznał ją w kasynie oficerskim. Najpierw wziął z Marią Mostowicz ślub cywilny, a gdy w 1957 r. zmarła jego pierwsza żona, stanął z nią przed ołtarzem w kościele katolickim, gdyż do tego wyznania powrócił.

Gwiazda salonów

Kolegami z Legionów byli Józef Beck i Stanisław Burhardt-Bukacki, ożeniony z Jadwigą Sałkowską. Podczas pierwszej wojny światowej Jadwiga prowadziła w Lublinie gospodę dla legionistów i tam poznała przyszłego męża, kpt. Burhardta. Beck kochał się w Jadwidze, co skończyło się rozwodem Bukackich. W 1927 r. Beck, szef gabinetu Józefa Piłsudskiego, ministra spraw wojskowych, rozstał się po kilku latach małżeństwa z żoną Marią. Jak zapewniał Karol A. Zbyszewski, była ona „wielką pięknością, miała czarujący uśmiech, pełen wdzięku i uroku, oraz przepiękne nogi". Beck ożenił się z rozwiedzioną Jadwigą Bukacką, równie atrakcyjną kobietą jak jego pierwsza żona. Zawarcie kościelnego małżeństwa i w tym przypadku wymagało jednak zmiany wyznania z katolickiego na ewangelickie. Co ciekawe, przyjazne relacje między Beckiem a Bukackim nie zmieniły się z powodu rozwodu. Jadwiga poradziła nawet byłemu mężowi, by na pocieszenie ożenił się ze swoją kochanką.

Jadwiga Beckowa, „szczupła i estetyczna" – jak pisała o niej Zofia Nałkowska – znająca kilka języków obcych, była ozdobą przyjęć z udziałem jej męża. Towarzyszyła mu w oficjalnych podróżach zagranicznych, m.in. do Moskwy i Berlina. Miała okazję rozmawiać z Adolfem Hitlerem, który wyznał, że największą jego pasją są muzyka i kwiaty. Przywódca III Rzeszy zauroczony Beckową chciał podarować jej mercedesa. Oczywiście żona polskiego ministra spraw zagranicznych nie mogła przyjąć takiego prezentu.

Jadwiga miała spory wpływ na męża, a Jules Laroche, ambasador Francji, twierdził nawet, że to właśnie ona popchnęła go w kierunku kariery dyplomatycznej. W 1930 r. Beck został wiceministrem spraw zagranicznych, a dwa lata później – ministrem. Wpływ żony był szczególnie widoczny w tym, że powściągała skłonności Jima – tak go nazywała – do alkoholu. „Byłem świadkiem – wspominał Laroche – jak podczas kolacji w poselstwie rumuńskim odebrała mu kieliszek szampana, mówiąc: »Dość już dziś wypiłeś«". Beck po alkoholu stawał się gadatliwy, co pewnie było z korzyścią dla jego zagranicznych rozmówców, gdyż mówił więcej, niż powinien.

Jadwiga Beckowa „z całej duszy usiłowała przyczynić się do podniesienia prestiżu swego małżonka i, należy to przyznać, również swojego kraju". To także opinia francuskiego dyplomaty. Między innymi z jej inicjatywy zorganizowano wycieczkę dyplomatów do Krakowa, by mogli poznać dawną stolicę Polski i jej zabytki. Popierała też działania promujące polską kulturę i sztukę, także ludową, poprzez Komitet Propagandy przy MSZ, który powstał z jej inicjatywy. Za zasługi na tym polu została uhonorowana srebrnym Wawrzynem Akademickim, przyznawanym przez ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego.

Zawsze świetnie i modnie ubrana zorganizowała pewnego razu garden party, którego celem było lansowanie polskiego jedwabiu z Milanówka. Oczywiście panie, z Jadwigą Beckową na czele, wystąpiły w jedwabnych sukniach i kostiumach.

Gdy Józef Beck został we wrześniu 1939 r. internowany w Rumunii, Jadwiga opiekowała się z oddaniem coraz ciężej chorującym na gruźlicę mężem. Bezskutecznie zabiegała u władz brytyjskich i polskiego rządu na emigracji, by wydostać Becka z Rumunii. Były szef MSZ zmarł w tym kraju w 1944 r., w wieku zaledwie 50 lat.

Sekretarka prezydentowej

Po rozstaniu z żoną Julią, dla której był drugim mężem, powtórnie ożenił

eprasa.pl 7a862733ee

się także Kazimierz Świtalski. Podczas pierwszej wojny światowej Julia pracowała jako lekarka w szpitalach dla żołnierzy Legionów. W latach II RP była pionierką polskiej kosmetyki i medycyny estetycznej, założyła Laboratorium Kosmetyków Higienicznych „Świt". Redagowała „Kulturę Ciała", dodatek do pisma „Bluszcz", poświęcony zdrowiu i kosmetyce, napisała też książki „Kobieta nowoczesna. Poradnik dla młodych mężatek" oraz „Piękność i zdrowie w życiu kobiety".

Nową wybranką Świtalskiego – który w 1928 r. został ministrem wyznań i oświecenia publicznego, później premierem i marszałkiem Sejmu – została 12 lat młodsza od niego Janina Tynicka, sekretarka prezydentowej Michaliny Mościckiej. Zapewne Świtalski poznał przyszłą drugą żonę, gdy po przewrocie majowym pełnił krótko funkcję zastępcy szefa Kancelarii Cywilnej prezydenta, będąc dyskretnym kontrolerem informującym Marszałka o tym, co dzieje się na Zamku Królewskim.

W 1928 r. urodził się Świtalskim syn Jacek (poległ jako żołnierz AK podczas



Jadwiga i Józef Beckowie FOT. NAC

powstania warszawskiego). „Śliczna to była panna – wspominała Dunin-Wąsowiczowa – a tak nieszczęśliwa w małżeństwie". Świtalski był bowiem kobieciarzem. Ksiądz Bronisław Żongołłowicz pisał z niesmakiem o wybrykach elity piłsudczyków: „Źle jest, gdy nocą, jak był świadkiem Józewski, do Adrii wpada kupa – marszałek Świtalski, Dolanowski, w spelunce na wpół ciemnej robią harmider, pisk z lekkimi kobietami".

Żongołłowicz nie formułował swojej opinii jako przeciwnik obozu rządzącego, był bowiem członkiem rządu. Jego niesmak budziły wszelkie objawy rozpasania elity władzy i skandalicznego trybu życia tych piłsudczyków, którym władza uderzyła do głowy.

Kazimierz Świtalski wrócił po wojnie z oflagu do Polski, lecz w 1948 r. został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa i po sześciu latach aresztu komunistyczny sąd skazał go na osiem lat pozbawienia wolności za „faszyzację" Polski i inne „przestępstwa" przeciw komunizmowi. Wyszedł z więzienia w 1955 r. ze względu na zły stan zdrowia i mieszkał z żoną aż do swojej śmierci w 1962 r. (zginął po uderzeniu przez tramwaj).

Złota medalistka

Niemal 10 lat trwało pierwsze małżeństwo Ignacego Matuszewskiego ze Stanisławą Kuszelewską. Zauroczyli się w sobie podczas pierwszej wojny światowej w Mińsku. On był oficerem I Korpusu Polskiego, ona zastępową polskich harcerek i członkiem Zarządu Koła Polek w Mińsku. Na początku 1918 r. oboje wzięli udział w akcji wypędzenia bolszewików z miasta i bezskutecznie usiłowali wraz z piłsudczykami zapobiec demobilizacji I Korpusu Polskiego na żądanie Niemców. Pobrali się w 1918 r. – w listopadzie tamtego roku młoda żona brała udział w obronie Lwowa przed Ukraińcami.

Dwa lata później, w krytycznym momencie wojny z Rosją bolszewicką, Matuszewski stanął na czele Oddziału II Sztabu Generalnego, a jego praca została bardzo wysoko oceniona przez Marszałka. W 1927 r. Matuszewski rozstał się z żoną, a powodem unieważnienia małżeństwa było to, że udzielający ślubu kapelan I Korpusu nie miał stosownej jurysdykcji.

Drugą żonę, lekkoatletkę Halinę Konopacką, Matuszewski poznał podobno podczas zawodów sportowych. Agnieszka Metelska zacytowała w biografii Konopackiej dwuwiersz Światopełka Karpińskiego:

Daleko rzucała dyskiem,
trafiła męża z zyskiem.

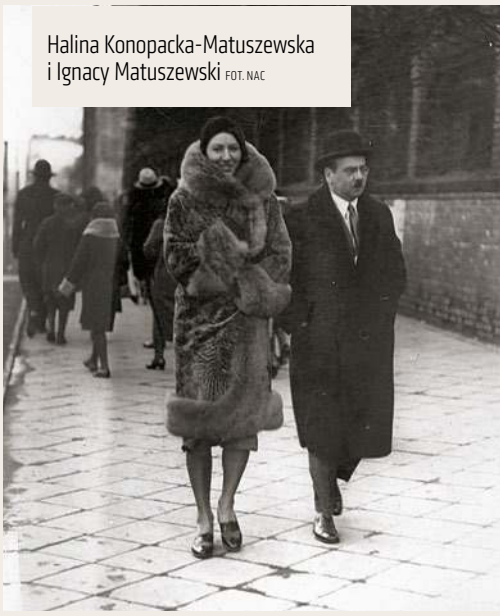
Halina Konopacka w 1924 r. została mistrzynią Polski w rzucie dyskiem i kulą. Na olimpiadzie w Amsterdamie



Janina Świtalska FOT. NAC

w 1928 r. ustanowiła rekord świata w rzucie dyskiem i zdobyła złoty medal. Kilka miesięcy później Matuszewski – wówczas poseł RP w Budapeszcie – i o 10 lat młodsza Konopacka wzięli ślub.

„Była to kobieta wysokiego wzrostu – charakteryzował ją Wacław A. Zbyszewski – omal dwa razy wyższa od Matuszewskiego, była zdecydowanie przystojna, świetnie zbudowana, zawsze w doskonałym humorze, zawsze świetnie ubrana, nazywała Matuszewskiego zawsze Hiramkiem; ta para, choć nie grzeszyła wiernością, wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną i bardzo szczęśliwą. Oboje mieli wielki dryg życiowy, oboje byli od świtu do później nocy wariacko czynni i zajęci".



Halina Konopacka-Matuszewska i Ignacy Matuszewski FOT. NAC

eprasa.pl 7a862733ee

Wiernością nie grzeszył bardziej Matuszewski niż Koponacka, gdyż według Zbyszewskiego miał on „bardzo duży apetyt seksualny". Nie przeszkadzało mu to zapewne być jednocześnie szczęśliwym w małżeństwie, natomiast nie miał szczęścia w polityce. Ten wybitnie inteligentny i uzdolniony piłsudczyk nie znalazł uznania w oczach Marszałka, a wręcz naraził mu się jako minister skarbu w latach kryzysu gospodarczego, obcinając budżet Ministerstwa Spraw Wojskowych. Matuszewski, znakomity publicysta, był od 1932 do 1936 r. redaktorem naczelnym półoficjalnej „Gazety Polskiej", popadł jednak w niełaskę, gdy skrytykował rząd Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego i musiał odejść z redakcji.

Trzy lata po ślubie Halina Konopacka-Matuszewska zrezygnowała z kariery sportowej, była redaktorką naczelną pisma „Start", propagującego sport wśród kobiet. We wrześniu 1939 r. Ignacy i Halina Matuszewscy wzięli udział w słynnej akcji wywożenia za granicę zapasów polskiego złota.

Premier i etnografka

Dwadzieścia siedem lat byli małżeństwem Janusz Jędrzejewicz i rzeźbiarka Maria Stattler, wnuczka malarza Wojciecha Stattlera i córka Juliusza Stattlera – kompozytora oraz krytyka muzycznego. Ich małżeństwo, w którym urodził się syn Juliusz (żołnierz AK rozstrzelany przez Niemców w 1943 r.), skończyło się z powodu zauroczenia się Jędrzejewicza Cezarią Ehrenkreutz. Była ona córką językoznawcy, prof. Jana Niecisława Baudouin de Courtenay, i żoną Stefana Ehrenkreutza, profesora prawa na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Na tej uczelni Cezaria była najpierw docentem, a potem profesorem etnografii i etnologii, jedną z nielicznych wówczas kobiet, które zaszły tak wysoko w karierze naukowej. W 1930 r. założyła, m.in. z Januszem Jędrzejewiczem, Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej przy Uniwersytecie Stefana Batorego. Zapewne wtedy Jędrzejewicz zapłonął do niej afektem.

Cezaria rozwiodła się z mężem, by poślubić w 1934 r. Jędrzejewicza, wówczas premiera. Ksiądz Żongołłowicz, podsekretarz stanu w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, pisał bardzo krytycznie o swoim szefie: „Premier i Minister Oświaty tworzy katedrę kochance, po zwinięciu 50 katedr i usunięciu z nich szeregu profesorów, następnie kochankę, żonę profesora Uniwersytetu Wileńskiego, odbiera mężowi, ta zaś zmienia wyznanie, otrzymuje ta kochanka – Premiera – Ministra awans, wynoszący 450 zł miesięcznie, gdy



Cezaria Baudouin de Courtenay Ehrenkreutz Jędrzejewiczowa FOT. NAC

kochanek wprowadza ją na katedrę dla pierwszej prelekcji na Uniwersytecie, tej szczególnej uroczystości asystuje rektor Uniwersytetu, studenci, studentki…".

Cezaria Baudouin de Courtenay Ehrenkreutz Jędrzejewiczowa była jednak wybitną uczoną, najzupełniej godną tego, by objąć katedrę dla niej utworzoną, nawet jeśli stało się to z polecenia męża. „Stanowili piękną i widocznie kochającą się parę" – pisała Dunin-Wąsowiczowa o Cezarii i Januszu Jędrzejewiczach.

Romans ministra

Prawdziwy skandal wywołał romans gen. Tadeusza Kasprzyckiego, od 1935 r. następcy Józefa Piłsudskiego na stanowisku ministra spraw wojskowych, z piękną Zofią Kajzerówną, finalistką konkursu Miss Polonia 1930, aktorką teatralną i filmową występującą m.in. na deskach Teatru Narodowego. Była młodsza od generała o 20 lat. Dramaturg Stefan Krzywoszewski, dyrektor Teatru Narodowego, pisał o niej: „Ładna, kształtna i senna, sarnim jej oczom brakowało wyrazu. W sztukach kostiumowych wyglądała powabnie". I dodawał bezlitośnie: „W każdym większym teatrze potrzebne są urodziwe statystki".

Brutalną opinię o Kajzerównie zanotował gen. Kordian Józef Zamorski: „W armii nazywają Kasprzyckiego »Kaiser« z racji jego kochanki Zofii Kajzerówny, którą się określa, że jako artystka to dupa, ale jako dupa to artystka".

Kasprzycki promował Kajzerównę w teatrze. Pewnego razu Arnold Szyfman, dyrektor Teatru Polskiego, poinformował Krzywoszewskiego, że w obsadzie jego sztuki zajdzie zmiana, gdyż „z wyższego rozkazu" rolę już zajętą ma dostać Kajzerówna.
Szyfman się dziwił: „Nie mogę zrozumieć, co tak inteligentny generał widzi w tej głupiej Kajzerównie. Gdyby kilka godzin spędzili w sypialni, to zrozumiałbym, ale o czym oni godzinami mogą rozmawiać, wysiadując u Simona i Steckiego (gdzie jadają często obiady i kolacje), tego nikt mi nie wytłumaczy".

Minister, mimo że żonaty, nie ukrywał związku z aktorką, pokazywał się z nią publicznie, podobno przestawiając ją jako narzeczoną. W maju 1939 r. Maria Kasprzycka popełniła samobójstwo, wyskakując z okna, jak mówiono, dzień przed rozprawą rozwodową i (lub) po rozmowie z kochanką męża, osierocając syna. Jak wspominała Dunin-Wąsowiczowa, opowiadano, że chłopiec po śmierci matki poszedł do teatru i strzelał do kochanki ojca.

Dla wdowca generała otworzyła się perspektywa ślubu z Kajzerówną. Jednak, jak pisał w swoich notatkach płk Stefan Rowecki, marszałek Śmigły-Rydz miał powiedzieć, że jeśli Kasprzycki chce się żenić z Kajzerówną, musi odejść z ministerstwa, „ponieważ stracił dla niej głowę i rozum". Kasprzycki wziął ślub z Kajzerówną. Według jednych stało się to 3 września 1939 r., według innych na emigracji na Węgrzech.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7a862733ee



1918–1939 / Oblicza polskiej narkomanii

Odlot z dwudziestolecia

Bal w warszawskiej Adrii, 1938 r. FOT. NAC



Wojciech Lada

Kupowano je w eleganckich lokalach, w aptekach, a nawet na ulicy. Kokaina, morfina czy eter nie były używkami jedynie ekscentrycznych artystów. W spadku po wielkiej wojnie Polska otrzymała nie tylko niepodległość, lecz także tysiące uzależnionych obywateli

Tego wieczoru Adria była pełna. Pełna i pijana, co stanowiło sytuację normalną w tym najpopularniejszym lokalu przedwojennej Warszawy. Było tu dość drogo, więc wśród stałej klienteli mieszały się ze sobą mundury oficerskie, dobrze skrojone fraki dyplomatów, marynarki gwiazd kina, a kosztowne perły wtulały się w głębokie dekolty pań. Wszystko to było w Adrii codziennością. Niecodzienna natomiast była tego dnia obecność policji. Nie zważając na znane nazwiska i wypchane portfele gości, kilkunastu funkcjonariuszy mundurowych obstawiło wszystkie wyjścia, pozostali zaś w towarzystwie oficerów w cywilu przystąpili do drobiazgowej rewizji.

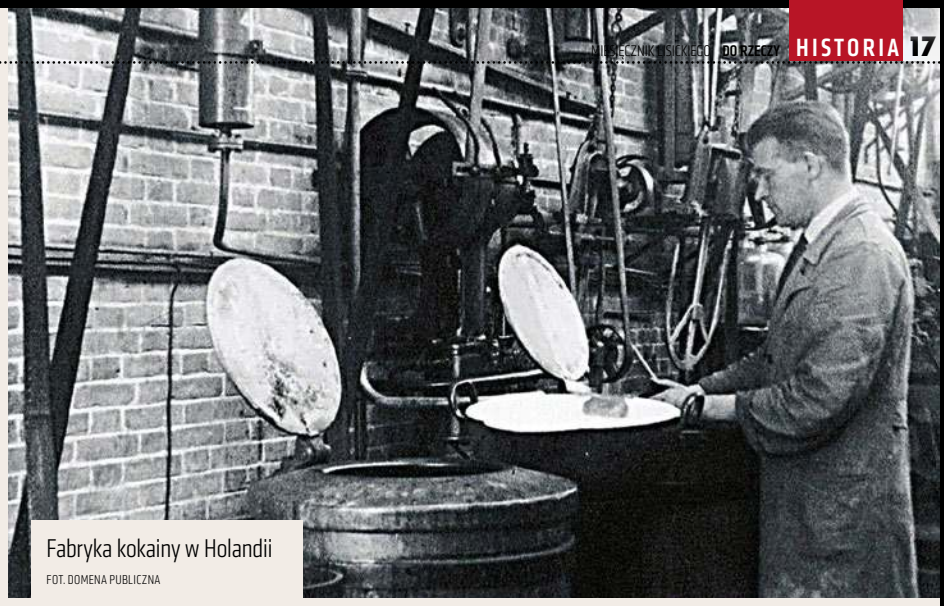
„Jak się dowiadujemy, wkroczenie policji wiąże się z wykryciem handlu narkotykami. Gdyż nocne lokale, takie jak Adria, stały się terenem potajemnego handlu kokainą. Ujawnione ostatnio przez władze szczegóły dostarczyły dowodów, że w dancingach należy szukać ognisk tego występnego procederu. Przed dwoma tygodniami przeprowadzono rewizję w Italii, obecnie przyszła kolej na Adrię. Wedle krążących pogłosek do afery są zamieszane popularne w Warszawie osobowości. Władze zdecydowały się zastosować najenergiczniejsze środki, aby położyć kres handlowi narkotykami" – donosili następnego dnia reporterzy „Nowin Codziennych".

Były to ostatnie dni listopada 1932 r. Z problemem narkomanii w Polsce zmagano się już co najmniej od kilkunastu lat, do tej pory jednak nie podejmowano zbyt intensywnych działań. Coś zaczęło się w tej kwestii dziać dopiero w tym momencie, ale i tak było to za mało. Problem narastał. W dniu, kiedy funkcjonariusze dokonywali nalotu na Adrię, tylko w Warszawie było już zapewne ok. 15 tys. narkomanów.

Obwoźna fabryka kokainy

Tak po prawdzie statystyki nie są pewne, choć zakłada się, że raczej zaniżają, niż zawyżają skalę zjawiska.

eprasa.pl 7a862733ee



Fabryka kokainy w Holandii

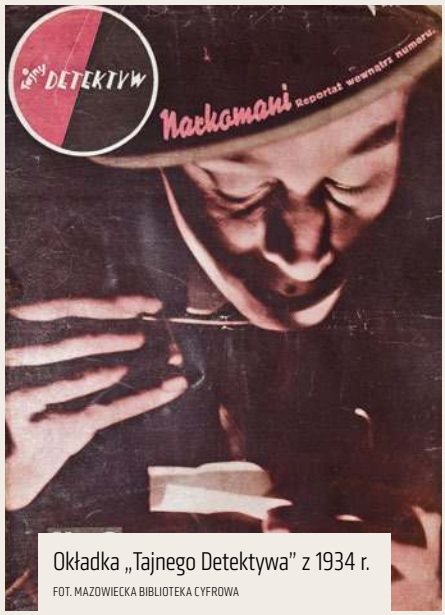
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Rzecz w tym, że prawie do połowy lat 20. środki odurzające były u nas najzupełniej legalne i można było nabyć je w byle aptece czy drogerii, nie wspominając o tym, że codziennie podawano je w przychodniach i szpitalach. Do połowy zaś następnej dekady nie były prowadzone żadne wiążące statystyki w tym zakresie. I choć z czasem pojawiały się stosowne zakazy, to w praktyce przez całe niemal dwudziestolecie aptekarze mogli sprzedawać różne pochodne opium, z bardzo tylko nieznacznymi ograniczeniami. Z biegiem pierwszej dekady niepodległości problem zaczęto co prawda dostrzegać, mnożyły się specjalistyczne publikacje na ten temat, a poruszały go także od czasu do czasu szukające sensacji media. W rzeczywistości był on trochę zamiatany pod dywan.

Początkowo narkotyki lekceważono głównie z tego powodu, że wciąż nie do końca rozumiano, jak silnie uzależniają. Od kilkudziesięciu lat kokaina czy morfina były standardowo stosowanymi lekami przeciwbólowymi i uspakajającymi – chirurdzy dozowali je pacjentom bez pytania o zgodę, a aptekarze sprzedawali bez recepty. Traktowano je mniej więcej tak jak dziś ibuprofen czy paracetamol. Przez całe dekady nie stanowiło to większego problemu, przypadki poważnego uzależnienia były stosunkowo rzadkie, a skuteczność leków – niewątpliwa. Nikt nie widział więc nic gorszącego w tym, że w reklamach wielkich domów towarowych pojawiały się np. eleganckie saszetki na kokainę dla pań, a matki podawały dzieciom morfinę na chory ząb czy ból głowy. Przykład płynął zresztą z samej góry. Wielką popularnością w tym okresie cieszyło się np. zaprawione kokainą wino Vin Mariani, bardzo cenione w Watykanie, głównie za pontyfikatów Leona XIII i Piusa X.

Prawdziwy problem narkomanii pojawił się w zasadzie dopiero z wybuchem pierwszej wojny światowej, wówczas jednak niemal w jednej chwili przybrał rozmiary kataklizmu. Narkotyki podawano codziennie setkom tysięcy rannych żołnierzy, już z własnej inicjatywy zażywali je oni sami, by na chwilę oderwać się od koszmaru wojny. Niektórzy badacze – choćby Łukasz Kamiński w książce „Farmakologizacja wojny” – piszą wprost, że stosowano je też eksperymentalnie, by poprawić sprawność bojową żołnierzy. Szacuje się, że na frontach wielkiej wojny walczyło w sumie ok. 70 mln żołnierzy – jeśli założyć, że większość z nich miała mniej lub bardziej przelotny kontakt z narkotykami, to skala zjawiska okaże się przytłaczająca.

Doskonale ilustruje ją przykład niejakiego Luciena Hirschlanda, założyciela Niderlandzkiej Fabryki Kokainy. Powstała długo przed wojną, ale właśnie po rozpoczęciu walk Hirschland zbił prawdziwą fortunę, prowadząc handel obwoźny swoich produktów. Korzystając z tego, że Holandia była krajem neutralnym, sprzedawał towar w ilościach hurtowych wszystkim walczącym armiom. „Holenderską kokainę kupowali dla swoich żołnierzy i Brytyjczycy, i Francuzi, i Niemcy” – pisał Paweł Rzewuski, zapominając jednak o Rosji, gdzie również sporo zażywano. Choćby znakomite opowiadanie Michaiła Bułhakowa „Morfina” mówi o tym aż nadto. Zapotrzebowanie okazało się tak ogromne, że Holendrzy produkowali blisko 1,5 tys. kg narkotyku rocznie, a umiejscowione na Jawie uprawy koki rozrosły się do 1,4 tys. ha. A wszystko to stanowiło zaledwie piątą część narosłego w czasie wojny popytu na narkotyk. Rozmiary spożycia widać może lepiej, gdy uświadomimy sobie, że jednorazowa działka morfinisty, potrzebna do stosownego odlotu, to 20 mg.



Okładka „Tajnego Detektywa” z 1934 r.

FOT. MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Pierwsi dostrzegli problem Brytyjczycy, już w 1916 r. wprowadzając pewne ograniczenia w obiegu środków odurzających, ale niewiele to zmieniło. Po zakończeniu walk setki tysięcy, jeśli nie miliony uzależnionych żołnierzy wracały do domów. I w większości nie byli już w stanie wyrwać się z nałogu. Produkcja i obroty Nederlandsche Cocaine Fabriek w latach 20. w każdym razie tylko wzrosły, czemu Hirschland nie mógł się podobno nadziwić. Do tej pory myślał o swojej fabryce jako o czymś w rodzaju Czerwonego Krzyża.

Szturmy na apteki

I to właśnie był jeden z powodów, dla których w odrodzonej Rzeczypospolitej zjawisko narkomanii początkowo bagatelizowano, a właściwie – przemilczano. Podstawową grupę osób uzależnionych stanowili żołnierze, a Polska bardzo ich potrzebowała, bo przecież koniec wielkiej wojny nie oznaczał dla nas końca

eprasa.pl 7a862733ee

wojen. W korpusie oficerskim narkotyki więc tolerowano, a potencjalnych poborowych narkotykami nieformalnie kuszono – zdemobilizowani i uzależnieni doskonale wiedzieli, że najłatwiej o najtańszy towar jest właśnie na wojnie. I się nie mylili.

Doktor Antoni Malinowski pracował w szpitalu psychiatrycznym w Wilnie i na początku lat 20. jednym z jego pacjentów został pewien ułan biorący udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Nazwiska lekarz nie mógł ujawnić, ale jego przykład barwnie odmalował w swoich wspomnieniach. „Po upływie dłuższej chwili dowódca patrolu wyszedł z apteki z rozpromienioną bez troski twarzą. Od razu rzuciło mi się w oczy, że z pewnością mój wódz spróbował narkotyku, a przeto ośmieliłem się go o to zapytać, oświadczając mu, że był i u mnie czas, kiedy w ciężkich chwilach zażywałem morfinę. Po wymówionych słowach zauważyłem, że podchorąży poczuł od razu do mnie sympatię. Poczęstował mnie naturalnie morfinką, twierdząc, że to dobrze mi zrobi. I tak mnie częstował od czasu do czasu przed marszem, szarżą albo w innych okolicznościach" – opowiadał żołnierz.

Opowiadał podobno bez najmniejszych oporów, nie widząc w tym niczego złego. Nie ukrywał też, że gdy podchorąży poległ, pozbawiony źródła narkotyku ułan po prostu poszedł do pułkowego lekarza. On także wykazał pełne zrozumienie. Nie przepisał co prawda żołnierzowi ulubionej morfiny, ale zalecił „inny środek na humor". Była to kokaina. I nie była to wcale odizolowana sytuacja. Klasyk polskiej psychoanalizy, dr Gustaw Bychowski, opisywał w latach 20. przypadek innego żołnierza, który przez cały okres wojen przyjmował naprzemiennie kokainę, by doznać „uczucia obojętności", i morfinę, by zagłuszyć psychozy lękowe. A o powszechności narkotyków w armii sporo mówią też wspomnienia Janusza Meissnera – później niezwykle popularnego pisarza i scenarzysty, na początku lat 20. brawurowego lotnika. Jemu akurat podobno kokaina nie przypadła do gustu, jego koledzy jednak byli za nią w stanie – jak to po literacku ujął – „ostatnie portki sprzedać".

Walki o granice II Rzeczypospolitej zakończyły się w roku 1923. Być może nie jest więc przypadkiem, że dokładnie



Artykuł z „Tajnego Detektywa", 1932 r.

FOT. MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA

w tym samym roku powstała też pierwsza polska ustawa antynarkotykowa. „Zabrania się wytwarzania, przetwarzania, przewozu i wywozu, przechowywania, handlu oraz wszelkiego w ogóle obiegu opium surowego, opium leczniczego, opium do palenia i jego odpadów, haszyszu, kokainy, heroiny, wszelkich ich soli i przetworów…" – zapisano w tym akcie prawnym. Ustawa nie była doskonała. Pełno w niej było luk, a same paragrafy łatwo było obejść. Z pewnością jednak zdobycie używek stawało się od tego momentu znacznie bardziej kosztowne, a także obarczone ryzykiem utraty wolności. I narkotyki, i ich wielbiciele musieli więc zejść do podziemia.

Porcjarze z Marszałkowskiej

„Zmiany w przepisach polskiego prawa, a także wstąpienie Polski do Opiumowej Komisji doradczej przy Lidze Narodów spowodowały zaostrzenie kursu władz w stosunku do narkotyków. Powstały specjalne jednostki, których przeznaczeniem była walka z czarnym rynkiem. Było to tym ważniejsze, że zaczął kwitnąć przemyt, wskutek czego do Polski napływały z Ameryki i Azji paczki z opium i heroiną" – tłumaczył Rzewuski. Efektem tego były właśnie takie naloty jak na Adrię, ale tak po prawdzie nie były one bardzo skuteczne. Głównie z tego powodu, że choć istotnie sprzedawano i zażywano w nich narkotyki, były to po pierwsze – niewielkie ilości kupowane w doraźnie rozrywkowym celu, po drugie zaś – ich klientami były osoby z elit społecznych, które zasadniczo „unikały sądów" – jak zgrabnie ujął to prokurator Firstenberg. Rzadko byli to też prawdziwi, uzależnieni narkomani; raczej osoby zażywające od okazji do okazji.

Prawdziwy handel na wielką skalę odbywał się bowiem na ulicy i w mieszkaniach. W Warszawie takim ulicznym centrum narkotyków było np. skrzyżowanie Al. Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej. Porcjarze – jak nazywano ówczesnych dilerów – krążyli tutaj praktycznie całą dobę, w charakterystyczny sposób pociągając nosami, co było sygnałem, że mają „coś do wciągnięcia". Gdy było chłodniej, rezydowali w pobliskich kawiarniach. Były to, zdaje się, miejsca i osoby doskonale znane. Reporterzy „Rzeczpospolitej" w każdym razie bez problemu dotarli do jednego z takich kawiarnianych dilerów z okolic ul. Marszałkowskiej. Mało tego, udało im się nawet namówić go na wywiad. Ich rozmówca doliczył się w Warszawie 15 tys. kokainistów i morfinistów, a zapytany, na jakiej podstawie ocenia, odparł: „Po obrotach hurtowni". Zapytany z kolei o to, kim są jego klienci, rozwinął temat: „Od nizin do wyżyn, z 60 proc. kobiety; mężczyźni poza kokainą używają także morfinę, opium, eter. Kobiety raczej tylko kokainę. Kokainistki rekrutują się przeważnie z najgorszych szumowin, morfinistki – już nieco lepszych sfer".

Takich miejsc jak okolice dzisiejszego Metra Centrum było rzecz jasna znacznie więcej, a już z pewnością miały je poszczególne dzielnice i w tym przypadku od zamożności dzielnicy zależały dostępny asortyment i poziom klienteli. W dzielnicach jednak najczęściej prowadzono sprzedaż bezpośrednio w mieszkaniach, co było dla wszystkich i wygodniejsze, i bezpieczniejsze. Zachował się policyjny raport z obserwacji jednej z takich melin – niestety nie wiemy, gdzie konkretnie się znajdowała. Wnioskując z treści, można tylko luźno założyć, że gdzieś na linii Stare Miasto – Praga, choć nie da się ustalić, po której stronie Wisły. Przyjmuje się jednak, że sama forma handlu była raczej wszędzie identyczna.

„Goście zazwyczaj prowadzili rozmowę przez drzwi wejściowe, wymieniając swoje zamówienie w formie takiej jak:

eprasa.pl 7a862733ee

»¾ z.« lub »¼ c.«, co oznaczało ¾ g morfiny i ¼ g kokainy. Przy dawaniu obstalunku klienci dawali pieniądze, a po chwili przez uchylone drzwi R. podawała im maleńką paczkę" – donosiła obserwatorka. Czujna agentka zauważyła też, że część klientów robiła sobie zastrzyki niemal natychmiast po otrzymaniu działki, jeszcze na klatce schodowej. Niektórzy byli zapraszani do środka i wychodzili w „stanie wybitnego podniecenia". Niejaki zaś „R." „zastrzyki robił sobie w ubikacjach na Dworcu Wileńskim albo pod pomnikiem Mickiewicza".

Niewiele policyjnych dokumentów w tych sprawach przetrwało wojnę i powstanie, ale już z tych ocalałych płynie prosty wniosek, że nie było jednego obrazu narkomanii – podobnie zresztą jak nie ma go dziś. Narkotyki bardzo różniły się ceną, a to w naturalny sposób decydowało o tym, gdzie można było je nabyć i kto był odbiorcą. W ekskluzywnej Adrii z założenia szukano wysokiej próby kokainy, a z pewnością można było spodziewać się także opiatów z wyższej półki, czyli właśnie morfiny. Gram tej ostatniej kosztował nawet 20 zł – co odpowiadało mniej więcej tygodniowemu utrzymaniu rodziny robotniczej – podczas gdy jej tańsze pochodne – heroinę czy kodeinę – można było nabyć nawet za 8 zł. Warto przy tym zauważyć, że w tym samym momencie litrowa butelka wódki kosztowała 6 zł. Nawiasem mówiąc, o rozmiarach przedwojennej narkomanii sporo mówi choćby to, że – jak ustaliła „Rzeczpospolita" – szeregowy porcjarz zarabiał średnio 10–20 zł dziennie. Aż strach pomyśleć, ile zarabiał jedyny znany polski handlarz narkotykami na europejską skalę, niejaki Michał Halpern z Bolechowa.

Nie znamy natomiast ceny eteru, ale w zestawieniu z powyższymi narkotykami musiały być to kwoty groszowe – przynajmniej początkowo, bo ustawa z 1923 r. nie uznała go za narkotyk, co starano się naprawić dopiero pięć lat później. Tymczasem, statystycznie patrząc, właśnie eter był prawdziwą plagą II Rzeczypospolitej. Zasadniczo co prawda na prowincji, ale wraz z nieustannymi migracjami do wielkich miast trafił z pewnością również do Warszawy.


Tragedja ofiary narkotyku.

Uzależniona od narkotyków Henryka Słabowiczowa, zabójczyni męża, który odmówił jej pieniędzy na morfinę

FOT. „ILUSTROWANY KURIER CODZIENNY" Z 1932 R.

Henryka Słabowiczowa, nieszczęśliwa narkotyczka, która w rozdrażnieniu spowodowanem „głodem morfiny" i odmową sprzedaży na truciznę

„Odtąd eteryzowałem się coraz częściej. Maksimum osiągnąłem jako uczeń ósmej klasy. Lubiłem wieczorami przechadzać się po ponurych dzielnicach warszawskiego Powiśla z chustką pod nosem i flachą eteru w kieszeni" – zdradzał Stefan Glass, bliski przyjaciel bodaj najsłynniejszego narkomana II RP, Stanisława Ignacego Witkiewicza – Witkacego.

Kapliczki eteru

Chyba tylko młodym wiekiem można tłumaczyć to, że Glass wchłaniał eter przez chusteczkę. Na Śląsku zasadniczo piło się go, choć istotnie tutaj również istniała wersja dla najmłodszych – rozcieńczano go w ostudzonej, przegotowanej wodzie w stosunkowo niewielkich proporcjach i podawano z dodatkiem miodu, cynamonu, czasem goździków. Górnicy jednak preferowali podobno wersję czystą, czasem tylko popijaną wodą. Było to, nawiasem mówiąc, ryzykowne – temperatura wrzenia eteru wynosi bowiem zaledwie 35 st. C, istniała więc możliwość przepalenia ścianek żołądka. A jednak kariera eteru właśnie na Śląsku była wręcz zdumiewająca. Ostrożne szacunki mówią o 30 proc. całej populacji regionu, co dawałoby jakieś 100 tys. osób.

Ale nawet to nie oddaje skali. W niektórych gminach do kontaktów z eterem przyznawało się nawet do 90 proc. młodzieży szkolnej. Przyznawało się bez oporu, bo pierwsze kontakty z narkotykiem zapewniali im rodzice. „Na śląskiej wsi picie eteru cieszyło się przez całe dwudziestolecie międzywojenne znacznym poziomem przyzwolenia społecznego. Eter konsumowano zamiast albo obok wódki »na tańcach«, ale też na rodzinnych uroczystościach, takich jak wesela, chrzciny czy stypy" – czytamy w tomie „Margines społeczny Drugiej Rzeczypospolitej".

Śląsk bił pod tym względem absolutne rekordy, ale podobno tylko nieco mniej zażywano w okolicach Częstochowy, na Mazowszu Północnym, Podkarpaciu oraz Suwalszczyźnie. „Miałem wielokrotnie możność stwierdzenia podczas dni świątecznych i targowych w małym miasteczku, że co drugi kupujący włościanin do składu aptecznego wchodzący żądał anodyny. Kupującymi byli zarówno chłopi, jak i chłopki, dorośli i wyrostki" – notował doktor Seweryn Sterling. Eter uznano za narkotyk dopiero w roku 1928, ale w kwestii jego dostępności oznaczało to tyle, że odświeżono stare trasy przemytnicze z Niemiec. Specjalnie w tym celu wymyślono specjalne, profilowane do ciała blaszane naczynia, zwane „blachanami". Powstała też cała sieć nielegalnych rozlewni i pijalni, znanych regionalnie jako „kapliczki".

W Warszawie zaś można było go nabyć po prostu od porcjarzy. Ale chyba coraz trudniej. Wraz z biegiem lat 30. ustawodawstwo i kampania antynarkotykowa odnosiły chyba pewien skutek. Uzależnieni brali jak dawniej, ale wiele wskazuje na to, że coraz mniej pojawiało się nowych przypadków. W każdym razie choć w kolejnej wojnie wszystkie armie pochłaniały narkotyki w ilościach większych niż w poprzedniej, a bezpośrednio po niej narkomania znów była masowym problemem, to Polskę jakoś to ominęło. Poważnym zjawiskiem zaczyna być ponownie dopiero od lat 60. Ale to już zupełnie inna historia. Bez związku z II RP.


Miljonowa afera eterowa w Częstochowie
zatacza coraz szersze kręgi

Częstochowa. Wykryta swego czasu miljonowa afera eterowa, której źródło znajduje się w częstochowskiej fabryce przetworów ... towarzystwo akcyjne w Aniołowie pod ... wa, zatacza coraz szersze kręgi. Jak się dowiadujemy w dniu wczor... stał aresztowany na polecenie sędziego ... który prowadzi dochodzenia w tej sprawie, inż. Stefan Korngold, stojący pod zarzutem uczestnic...

Eter jako narkotyk trafiał także do miast

FOT. „DZIENNIK POZNAŃSKI" Z 1932 R.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7a862733ee



Grzymisława z synem Bolesławem Wstydliwym, więzieni przez Konrada Mazowieckiego. Grafika Jana Matejki FOT. DOMENA PUBLICZNA

XIII w. / Koniec małopolskiej linii Piastów

Tajemnica czystości Bolesława i Kingi



Leszek Lubicki

Głównym celem związków małżeńskich zawieranych przez władców jest przedłużenie dynastii. Dlaczego więc Bolesław Wstydliwy i Kinga od początku postanowili żyć ze sobą jak brat z siostrą?

Ona – węgierska królewna, córka króla Beli IV z potężnej dynastii Arpadów i Marii, córki cesarza nicejskiego. On – syn Leszka Białego, ostatniego księcia zwierzchniego podzielonej na dzielnice Polski i Grzymisławy, księżniczki ruskiej. Gdy obydwie strony decydują, by doszło do tego małżeństwa, ona ma lat pięć, a on trzynaście. Oczywiście na razie związek ten jest zawarty pro futuro, czyli jako zapowiedź przyszłego, już błogosławionego małżeństwa. Książę Bolesław V, bo o nim mowa, jest już wówczas półsierotą. Jego ojca, ostatniego princepsa na polskim tronie, zamordowano w Gąsawie, gdy miał półtora roku, więc nie mógł go pamiętać. Bolesław staje się mało znaczącym w Polsce księciem na Sandomierzu.

Kunegunda (w Polsce znana jako Kinga) jest z kolei królewną z bardzo silnego wówczas państwa. Za mariażem stały matka Bolesława, księżna wdowa Grzymisława, ruska księżniczka z dynastii Rurykowiczów, a także starsza siostra Bolesława, pobożna, beatyfikowana w 1673 r. Salomea, która była już żoną Kolomana, młodszego brata króla Beli IV. „Dla skromnego władcy księstwa sandomierskiego, pozostającego w dodatku w głębokim cieniu i faktycznej zależności od księcia krakowskiego Henryka Pobożnego, związek ten – choć na razie tylko warunkowy – był równie cenny, co zaszczytny, i ocenić go należy jako wielki sukces dyplomatyczny zapobiegliwej Grzymisławy. Zacieśnienie związków z potężnym domem Arpadów wydatnie podniosło prestiż Bolesława…" (Urbański, 2005).

Mały książę

Zanim jednak dojdzie do właściwego, błogosławionego małżeństwa, po zabójstwie Leszka Białego w Polsce dzieją się rzeczy niezwykle ważne i straszne, co ma także wpływ na życie Bolesława. Był on naturalnym sukcesorem jako jedyny syn zamordowanego princepsa, krakowskiego tronu. Choć był tylko kilkunastomiesięcznym dzieckiem, to jednak elita małopolska widziała w nim następcę Leszka Białego. Na rękę były jej rządy regencyjne księżnej wdowy. Jednak szybko do najbardziej pożądanego w Polsce tronu pretensje wysunęli inni książęta dzielnicowi. Spośród nich największe prawa miał do niego książę wielkopolski Władysław Laskonogi, syn Mieszka III Starego, swego czasu bowiem Leszek i Władysław zawarli układ o przeżycie. Najpoważniej jednak starał się o krakowski tron najbliższy krewny Bolesława – jego stryj, brat zamordowanego w Gąsawie Leszka, Konrad Mazowiecki, który

eprasa.pl 7a862733ee



Aleksander Lesser „Ucieczka Grzymisławy z synem Bolesławem z więzienia" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

również w tym piastowskim zjeździe brał udział. „Stare prawo rodowe zobowiązywało Konrada Mazowieckiego do pomszczenia śmierci brata. Nie doszło jednak do tego, bo książę z Płocka myślał przede wszystkim o spadku po zabitym" (Jasienica, 1985).

Konrada, jako człowieka „znanego z płochości i nikczemności umysłu", panowie krakowscy nie życzyli sobie. Laskonogi natomiast miał kłopoty w swojej dzielnicy, gdzie wystąpił przeciw niemu bratanek. Rządy namiestnicze objął książę Śląska Henryk Brodaty. Po śmierci Laskonogiego stał się on sukcesorem w Krakowie oraz przejął opiekę nad Grzymisławą i Bolesławem, którzy w tym czasie zasiadali w Sandomierzu. Konrad ani myślał jednak ustąpić i dopuścił się czynu nawet jak na tamte czasy haniebnego. Tak to opisał Jan Długosz: „Konrad, bolejąc ciężko, że bratanek wyrywa się spod jego opieki i że pozbawia go dochodów, do których przywykł, zaprasza tak księżną Grzymisławę, jak i bratanka Bolesława Wstydliwego na przyjacielską rozmowę, jakoby dla omówienia spraw publicznych swoich księstw. Więzi ich i sprowadziwszy na Mazowsze, zamyka najpierw w swoim warownym zamku w Czersku, wyrzucając zarówno matce, jak synowi, że zbyt szybko i za wcześnie dążyli do przejęcia władzy książęcej. Następnie przenosi ich do zamku w Sieciechowie [...]. Zabiera bratankowi cały skarbiec i bardzo wytrwale dąży do zagarnięcia jego księstw i do pozbawienia go życia". Dodatkowo Konrad Mazowiecki pobił ponoć bratową rózgą.

Gdy porwani przebywali w klasztorze w Sieciechowie, pomocy w ucieczce udzielił im Klemens z Ruszczy, o czym w latach późniejszych Wstydliwy nie zapomniał i obdarzył go przywilejami. Pomoc zaoferował również opat sieciechowski Mikołaj z Galii, który według Długosza „przekupiwszy tak pieniędzmi, jak i obietnicami strażników zamku sieciechowskiego i pozostałych dozorców uwięzionego księcia Bolesława, uzyskał uwolnienie księcia Bolesława i księżny Grzymisławy". Matka z synem wywiezieni zostali na specjalnie przygotowanych wózkach. Wrócili do Sandomierza, jednak tylko na krótki czas. „Cena, jaką Grzymisława i Bolesław musieli zapłacić, to zrzeczenie się praw do Krakowa. Z powodu stałych niepokojów czynionych przez Konrada umieścił Brodaty Grzymisławę wraz z synem w dobrze bronionej Skale" (Karpiński, „Poczet", 1991). Być może w grę rzeczywiście wchodziło zapewnienie im bezpieczeństwa, ale przy okazji można było ich w ten sposób odsunąć od Krakowa. Henryk Brodaty zrobił to zatem w interesie własnym i swojej rodziny, starał się bowiem u możnych małopolskich o sukcesję tronu dla swojego syna Henryka Pobożnego. I tak właśnie się stało po jego śmierci w 1238 r.

Prawdy i półprawdy

Henryk Pobożny skupił w swoich rękach większość polskich ziem. Był u szczytu potęgi. Nie musiał zatem trzymać Bolesława z matką w twierdzy i zezwolił, by władali ziemią sandomierską. I tak w następnym roku dochodzi do wspomnianego już warunkowego małżeństwa pięcioletniej Kingi z trzynastoletnim Bolesławem. Węgierska królewna osiada już wtedy w Sandomierzu i tu była wychowywana. Możemy zatem domniemywać, że Wstydliwy wcale nie pogodził się z utratą praw do Krakowa, które mu się po ojcu należały, choć już wówczas coraz bardziej kruszało prawo dziedziczenia wśród Piastów. Stąd tak ważny był związek dynastyczny.

Co prawda, Pobożny miał nawet szansę na koronację, a tym samym odnowienie Królestwa Polskiego, jednak dwa lata później, w 1241 r., Polskę najechali Mongołowie (w tej części Europy nazywani Tatarami). Całkowicie spustoszyli południową połać kraju, w tym Sandomierz i Kraków. Bolesław zdążył uciec na Węgry, a później na Morawy, gdy Tatarzy najechali państwo Beli IV. Henryk natomiast zebrał pozostałości rycerstwa i starł się z nimi w bitwie pod Legnicą. Tam poległ i monarchia Henryków śląskich legła w gruzach. Choć jego sukcesorem był najstarszy syn, Bolesław Rogatka, to jednak w Krakowie nawet się nie pojawił. Wojska mazowieckie natomiast nie brały udziału w bitwie pod Legnicą i Konrad ponownie opanował Kraków. Możnowładztwo małopolskie tak samo jak wcześniej nie tolerowało butnego, aroganckiego i z nikim się nieliczącego porywczego księcia „nikczemnego umysłu". Przywołało zatem Bolesława, do którego udał się znany nam już Klemens z Ruszczy.

Krakowska elita widziała w nim jedyny ratunek, aby pozbyć się znienawidzonego władcy Mazowsza. Wstydliwy wrócił do kraju z posiłkami węgierskimi i wraz z rycerstwem małopolskim pokonał wojska mazowieckie w bitwie pod Suchodołem w 1243 r. Mocno już podstarzały Konrad uderzył raz jeszcze, ale Krakowa nie zdobył (zmarł w 1247 r.). Bolesław V zasiadł na krakowskim tronie na długie 36 lat.

Pomimo że dzierżył najważniejszy stolec w kraju, to nie władał już tak

eprasa.pl 7a862733ee

dużym terytorium jak jego poprzednicy w rozbitej na dzielnicę Polsce. Tron senioralny stał się teraz po prostu tronem jednej z polskich prowincji. Tak komentował to Michał Bobrzyński: „Nigdy rozdrobnienie dzielnic i zatargi pomiędzy książętami nie zaszły tak daleko, jak w drugiej połowie XIII stulecia. Podziały Śląska idące równym krokiem z rozrodzeniem się tamtejszych Piastów tylko na tablicy ich genealogicznej studiować można" (1987). Śląsk rozpada się na kilkanaście dzielnic. Gdy odchodzi z tego świata Konrad Mazowiecki, Kujawy stają się osobną od Mazowsza dzielnicą. Później ta dzielnica jeszcze się dzieli, tym bardziej im więcej przybywa potomków piastowskich. Powstają m.in. księstwo inowrocławskie, brzesko-kujawskie, łęczyckie czy sieradzkie. Skoro tak wyglądała Polska, to Bolesław mógł się skupić jedynie na rozwoju podległych mu ziem. Niemniej był wówczas najbardziej znaczącym ze wszystkich książąt piastowskich.

Ślub Bolesława i Kingi odbył się ok. roku 1246. Małżeństwo trwało 33 lata, aż do śmierci księcia, którego późniejsza święta przeżyła o lat 13. Nie doczekali się oni jednak potomstwa, gdyż ślubowali małżeńską czystość. W ten sposób zatem wygasła linia Piastów małopolskich. Uważa się, że Kinga pozostała do końca życia dziewicą, a Bolesław nigdy nie zaznał kobiety. Kinga ponoć powiadała damom swego dworu, że „»u męża mego nigdy nic innego nie widziałam oprócz rąk samych i twarzy«. W drużynie Bolesława niewiele to budziło zachwytu, bo bezpotomność wodza niczego dobrego nie wróżyła wojom" (Jasienica, 1985).

Nie mamy pewności, co było przyczyną tej wstrzemięźliwości seksualnej małżonków. Być może Kinga wymogła na mężu taką przysięgę już na samym początku związku, zważywszy na jej wychowanie. Możliwe też, że ze strony Bolesława „przyczyną mogła być niemoc fizyczna – przydomek »wstydliwy« (pudicus) książę zyskał sobie jeszcze za życia, co wskazuje, że w ogóle unikał płci niewieściej" (Urbański, 2006).

Jan Długosz zapisał natomiast, że „od pierwszego dnia zaślubin najpierw przez jeden rok, po jego upływie przez dwa, następnie przez trzy, a po jego upływie za sprawą i namową Kingi [Bolesław] dobrowolnie ślubował Panu niebieskiemu czystość i dochował jej na zawsze. Stąd książę Bolesław zasłużył na przydomek Wstydliwy". Jak powiada Przemysław Wiszewski, „publiczna deklaracja mogła uciszyć plotki: oto książę poświęcił część swojego życia na ołtarzu duchowego doskonalenia" („Władcy", 2018).

To za jego rządów doprowadzono do ogłoszenia bp. Stanisława świętym i patronem Polski. Kraków nabrał wówczas jeszcze większego znaczenia. Stał się „sercem Polski i ośrodkiem idei zjednoczenia" (Nowak, 2015). Na tę uroczystość „podniesienia kości" świętego przybyli na Wawel prawie wszyscy polscy książęta piastowscy, a także, co niezwykle ciekawe, dziewięcioro późniejszych świętych i błogosławionych, m.in. żona Wstydliwego Kinga, córka Leszka Białego Salomea czy Jacek Odrowąż. Kolejną zasługą księcia Bolesława było wydanie przywileju lokacyjnego Krakowa na prawie magdeburskim. Cztery lata przed Krakowem, co może wydawać się dziwne, taki akt książę nadał Bochni.



Bolesław Wstydliwy według Jana Matejki FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Legenda

Według Jana Długosza Kinga wniosła w posagu wielki majątek, opiewający na 40 tys. grzywien, a także, co jest prawdopodobne, przywiozła ze sobą górników solnych. W regionie bocheńsko-wielickim za panowania Bolesława Wstydliwego zaczęto wydobywać sól, którą dotychczas do Polski trzeba było sprowadzać z zagranicy (choć odkryto ją w tym regionie dużo wcześniej).



Ilustracja Ksawerego Pillatiego do legendy o odkryciu przez księżną Kingę złóż soli w Wieliczce FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 7a862733ee



Jan Matejko „Święta Kinga”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM ŻUP KRAKOWSKICH W WIELICZCE

Aby wyjaśnić, jak do tego doszło, musimy odwołać się do legendy. Opowiemy ją tutaj w skróconej wersji, którą blisko 100 lat temu opisała Maria Czerska-Mączyńska. Podczas jednej z wizyt na Węgrzech, być może w okresie pierwszej ucieczki w czasie najazdu mongolskiego, Kinga wędrowała z ojcem po rządzonej przez niego krainie. Przybyli do Marmaroszu, gdzie znajdowała się kopalnia soli. Kinga zapytała ojca, czy mogłaby ją dostać w darze, ponieważ w Polsce soli nie ma, a sprowadzanie jej jest drogie i w związku z tym nie stać na nią biedaków. Król odparł na to, że kopalni nie da się przenieść, ale może zabrać ze sobą tyle soli, ile zechce. Wówczas Kinga zdjęła swój zaręczynowy pierścień i wrzuciła go do szybu kopalni. „I zaraz kazała wozy z solą ładować, a kilku górnikom poleciła jechać ze sobą, bo pragnęła i w Polsce czynić poszukiwania z solą. Nie dlatego, by skarb państwa miał większy dochód, ale by lud miał smaczniejszą strawę, bo ciężko było u nas, jeszcze kraj nie odetchnął po nawale tatarskiej, a sól od omasty lepsza”.

Podczas nocnego postoju w Bochni Kinga – jak to miała w zwyczaju – zaczęła się gorąco modlić. „Modlitwa świątobliwej królowej, co nigdy dla siebie o nic nie prosiła, jeno dla ludu swojego, biedaków swoich, trafiła do Boga i dała jej świadomość tego, że tu właśnie za złożami soli szukać należy”. Od świtu rozkazała górnikom i miejscowemu ludowi kopać szyb. Aż wreszcie o zachodzie słońca wyłania się z otworu górnik z bryłą soli. Kinga rozkazała ją rozbić. „Ale cóż to! Wypadł z bryły pierścień złoty w marmaroskich górach w głąb szybu wrzucony […]. O, ileż to nocy spędziła Kinga na dziękczynnych modlitwach… Polska miała sól, najbiedniejszy mógł teraz osolić swój pokarm i smacznym go uczynić; życia mało na dziękczynienie”.

Nie bez powodu zatem Kinga została w Polsce patronką górników solnych. Oprócz legendy mamy też fakty. Ów wielki posag, o którym wspomniał Długosz, a później nadanie jej przez męża Sądecczyzny, Kinga wykorzystała „do mądrego zagospodarowania tej ziemi i przygotowania jej do obrony przed tatarskimi najazdami, a zarazem do dalszej własnej formacji – w ufundowanym przez siebie klasztorze klarysek w Starym Sączu” (Nowak, 2014). Królewskie wiano znacznie później pomnożyła swoją gospodarnością, a po spustoszeniu małopolski przez Tatarów udzieliła pożyczki Bolesławowi na odbudowę podległych mu ziem.

W czasie kilku nawał tatarskich książę Wstydliwy uciekał z kraju, innym pozostawiając jego obronę. Józef Ignacy Kraszewski zauważył: „Wśród tych klęsk słabym i nieśmiałym okazuje się Bolesław, chroniąc się na Węgry z rezygnacyą chrześcijańską, lecz politowania godnym brakiem energii rycerskiej”. Przyznajmy jednak, że w jednej bitwie z Jaćwingami, dowodząc nawet osobiście wojskami małopolsko-sandomierskimi, pokonał przeciwnika, i to tak, że prawie cały ich ród, jak pisał Długosz, uległ „wyniszczeniu i zagładzie”.

Na koniec wróćmy jeszcze do sprawy czystości związku Bolesława i Kingi. Dziwnego przecież, gdyż w tego rodzaju „królewskich” małżeństwach chodziło o to, aby doczekać się męskiego potomstwa, przedłużającego linię dynastyczną. Życie św. Jadwigi Śląskiej, żony najwybitniejszego Piasta owych czasów Henryka Brodatego, było niejako wskazówką bogobojności dla Kingi. Jednak Jadwiga zawarła z mężem układ o czystości cielesnej dopiero po 20 latach pożycia, rodząc wcześniej siedmioro dzieci, w tym poległego pod Legnicą w walce z Mongołami Henryka Pobożnego. Nikt nigdy nie podważał z tego powodu świętości Jadwigi, która jeszcze za życia uważana była w Polsce za taką.

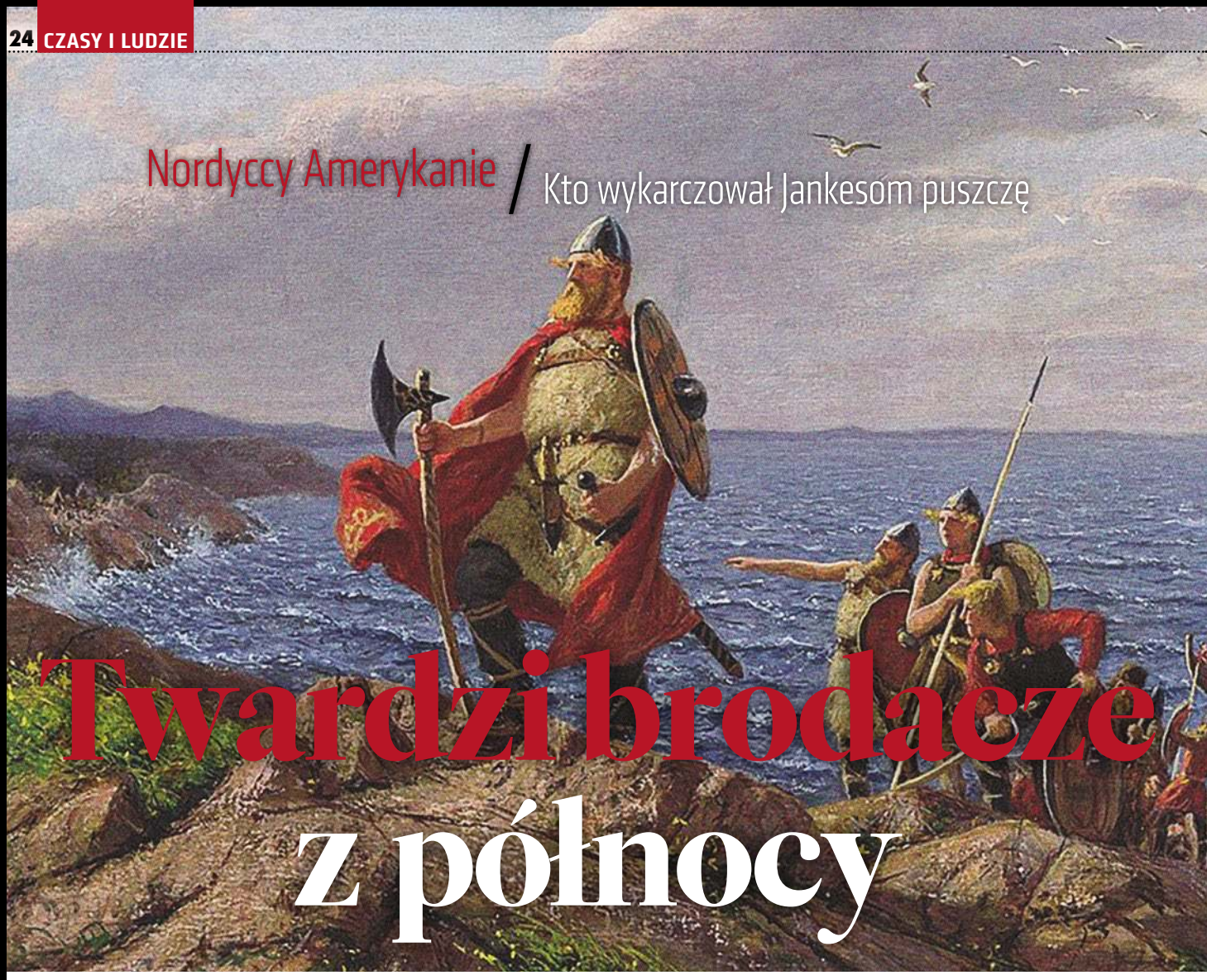
Inny przykład? Rodzoną siostrą Kingi była błogosławiona Jolanta (Jolenta), żona księcia wielkopolskiego Bolesława Pobożnego. Podobnie jak św. Jadwiga była matką, która wydała na świat trzy córki, w tym Jadwigę, późniejszą żonę Władysława Łokietka. Małżeńskie pożycie nie stało zatem na drodze do osiągnięcia świętości. Kinga została świętą (beatyfikowana w 1690 r., kanonizowana w 1999 r.), a małopolska linia Piastów, bardzo krótka, bo założona przez dziada naszego bohatera Kazimierza Sprawiedliwego, utrwalana przez ojca Bolesława Leszka Białego, zakończyła zatem swój żywot na trzecim pokoleniu. Jak zapisał latopis halicko-wołyński: „Zmarł wielki kniaź krakowski Bolesław, dobry, cichy, łagodny, niegniewliwy, przeżywszy lata mnogie i tako w starości sędziwej odszedł ku Panu”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Bobrzyński M., ***„Dzieje Polski w zarysie”,*** *Warszawa 1987; Czerska-Mączyńska M.,* ***„Opowieść o św. Kindze”,*** *Lwów 1933; Garlicki A. (red.),* ***„Poczet królów i książąt polskich”,*** *Warszawa 1991; Jasienica P.,* ***„Polska Piastów”,*** *Warszawa 1985; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski”,*** *Warszawa 2018; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski”, t. 2,*** *Kraków 2015; Pr. zb.* ***„Bolesław Wstydliwy”,*** *Warszawa 2018; Urbański M.,* ***„Poczet królów i książąt polskich”,*** *Warszawa 2005; Urbański M.,* ***„Poczet królowych i żon władców polskich”,*** *Warszawa 2006.*

eprasa.pl 7a862733ee



Nordyccy Amerykanie / Kto wykarczował Jankesom puszczę

Twardzi brodacze z północy



Piotr Semka z Seattle

Migracja z tamtego kierunku nie była masowa, ale mocno odcisnęła się na pograniczu amerykańsko-kanadyjskim. Skandynawia oddała Ameryce najlepsze, co miała

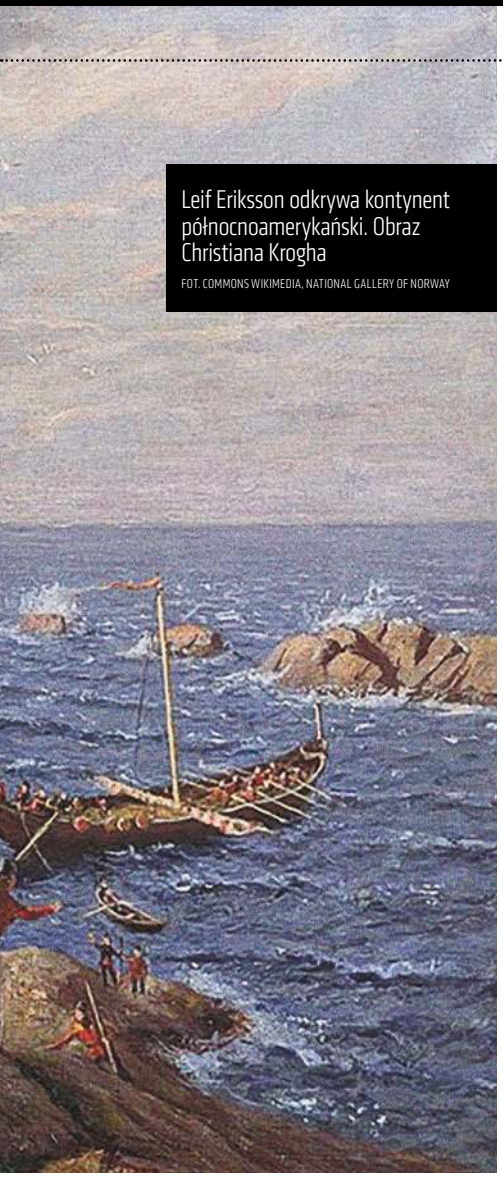
Przy nabrzeżu Shishole w amerykańskim Seattle stoi pomnik dumnego wojownika z mieczem. Otaczają go obeliski z łupanego kamienia zapisane tajemniczymi znakami runowymi. To Leif Eriksson, wódz wikingów, który ok. 1000 r. jako pierwszy Europejczyk dotarł na kontynent północnoamerykański. O tym, gdzie konkretnie dobił do brzegu – czy były to rejony obecnej Kanady, czy też Stanów Zjednoczonych – historycy debatują od ponad dwóch stuleci. Tutaj, w Seattle, ten pomnik demonstruje jednak coś innego niż tylko historyczne wydarzenie. To symbol dumy Amerykanów pochodzenia nordyckiego i skandynawskiego, którzy zbudowali państwo będące dziś supermocarstwem.

Jesteśmy w dzielnicy Ballard, gdzie mieszkało wyjątkowo dużo przybyszy ze Szwecji, Norwegii, Danii, a nawet Islandii. Jeszcze w latach 70. była to dzielnica małych stoczni, zakładów szkutniczych i warsztatów z branży rybołówstwa dalekomorskiego. I to właśnie w dzielnicy Ballard powstało Narodowe Muzeum Nordyckie (ang. National Nordic Museum).

Ziemia obiecana za oceanem

Nazwa „narodowy” (ang. national) zarezerwowana jest w Ameryce dla

eprasa.pl 7a862733ee



Leif Eriksson odkrywa kontynent północnoamerykański. Obraz Christiana Krogha

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL GALLERY OF NORWAY



Skandynawowie pracowali m.in. przy wyrębie lasów

FOT. PIOTR SEMKA/THE NATIONAL NORDIC MUSEUM

federalnych instytucji zajmujących się dziedzictwem danej grupy etnicznej wchodzącej w skład amerykańskiej mozaiki społecznej. I właśnie stan Waszyngton, którego największą metropolią jest Seattle, utworzył muzeum zbierające pamiątki po nordyckich Amerykanach. Co prawda, Amerykanów z korzeniami sięgającymi dalekiej Skandynawii więcej żyje w Minnesocie (ok. 1,6 mln) oraz w Kalifornii (ok. 1,2 mln), ale stan Waszyngton zajmuje pod względem wielkości tej populacji wysokie, trzecie miejsce w skali całego kraju. Wszystkich obywateli USA podających w spisach skandynawskie i nordyckie pochodzenie jest łącznie ok. 9,4 mln osób, czyli 2,8 proc. ogółu społeczeństwa. Te liczby nie robią dużego wrażenia, ale trzeba pamiętać, że nieproporcjonalnie wielu przedstawicieli tej mniejszości stanowi dziś elitę Ameryki. A Narodowe Muzeum Nordyckie w Seattle to ich zbiorowy pomnik.

Gmach muzeum nawiązuje do oszczędnego designu narodów północy. Pełno tu odniesień do legend i mitów Skandynawii. Miłośnicy fantasy od razu poczują się w tych murach jak u siebie. Ekspozycja zaczyna się od odpowiedzi na pytanie: Co wygnało tak wielu przybyszy z krajów północy za wielką wodę? Dziś Norwegia, Szwecja, Finlandia, Islandia czy Dania kojarzą się wszystkim z najwyższym na świecie poziomem socjalnego bezpieczeństwa i dostatku. Ale jeszcze 200 lat temu wcale nie były to tak zamożne kraje.

Nieurodzajna gleba, surowy klimat i bardzo krótki okres wegetacji roślin – wszystkie te elementy zawsze działały przeciw człowiekowi zamieszkującemu tamten region. Widmo głodu prześladowało ludzi północy jeszcze w XIX w.

Dzień Leifa Erikssona wyznaczono na 9 października dla uczczenia wydarzenia z 1825 r., kiedy to z norweskiego portu Stavanger odpłynął w kierunku Nowego Jorku żaglowiec „Restauration". Była to pierwsza zorganizowana grupa migrantów płynących z Norwegii do USA. Paradoksalnie emigracja wywołana była swego rodzaju stabilizacją na Półwyspie Skandynawskim. Wzrost poziomu opieki medycznej i wydajności rolnictwa, który rozpoczął się w połowie XVIII w., poprawił wskaźnik śmiertelności niemowląt, co spowodowało duże zmiany demograficzne. Infrastruktura regionu nie była w stanie utrzymać tak znacznego wzrostu populacji. Problem był wyjątkowo ostry na wsi, gdzie ilość użytecznej ziemi była ograniczona. W sytuacji, gdy przybywało dzieci, gospodarstwa były sukcesywnie dzielone na mniejsze działki, aż wywoływało to sprzeciw najstarszych synów. Młodsi lub słabsi byli więc na wsi skandynawskiej zbędni. W tej sytuacji możliwość wyjazdu do Ameryki była dla wielu Szwedów, Norwegów czy Duńczyków atrakcyjną opcją. O ile w takich krajach jak Wielka Brytania czy Francja „ludzi zbędnych" wysysały kolonie, o tyle kraje skandynawskie, z wyjątkiem Danii, nie miały kolonii. A Stany Zjednoczone kusiły legendą państwa o nieograniczonych możliwościach...

Nowy wspaniały świat

Ameryka w XIX w. bardzo chętnie przyjmowała ludność z krajów nordyckich. W myśl ówczesnych poglądów

eprasa.pl 7a862733ee



Skandynawska rodzina w Stanach Zjednoczonych
FOT. PIOTR SEMKA/THE NATIONAL NORDIC MUSEUM

rasowych rośli i silni Nordycy mieli być bardzo cennym dodatkiem do społeczności Anglosasów. Przybysze ze Skandynawii nie budzili też zastrzeżeń religijnych, gdyż w większości formalnie byli protestantami. Historycy obliczają, że w latach 1825–1930 na kontynent północnoamerykański wyemigrowało ok. 3 mln Skandynawów, z czego 95 proc. trafiło do USA.

Ekspozycja w muzeum bardzo dokładnie pokazuje, jak układały się proporcje w ramach tej ludzkiej fali. Największą grupę stanowili w niej Szwedzi – ok. 1,2 mln. Następni w kolejności byli Norwegowie (ok. 850 tys.), Duńczycy (ok. 300 tys.), natomiast Islandczycy byli siłą rzeczy na ostatnim miejscu – w latach 1870–1924 przybyło ich tylko 15 tys. Trudniej określić liczbę Finów, którzy rejestrowani byli pod ogólnym hasłem przybyszy z Cesarstwa Rosyjskiego, którego częścią było (do 1917 r.) Wielkie Księstwo Finlandii.

Skandynawowie przeprowadzali się zazwyczaj na prowincję, nierzadko tworząc własne wsie. Najczęściej osiedlali się w północnej części środkowego zachodu. Zmiana nastąpiła pod koniec XIX w., kiedy to życie miejskie zaczęło przyciągać najbardziej ambitnych młodych mężczyzn. W przypadku przybyszy ze Skandynawii – jak wskazują autorzy ekspozycji – dość długo miało miejsce zjawisko tzw. migracji łańcuchowej. Gdy dana grupa przybyszy z północnej Europy osiedlała się w Ameryce i zbudowała już własną wieś czy przysiółek, zachęcała kolejnych emigrantów ze starego kraju do przybycia i zasilenia ich społeczności. Ci z kolei znacznie chętniej jechali do już istniejącego ośrodka wiejskiego, niż gdyby mieli się decydować na wyjazd „w ciemno".

Specyfiką imigrantów ze Skandynawii była ich stosunkowo duża odporność na asymilację i amerykanizację. Podróżnicy odwiedzający północ Ameryki w końcu XIX w. i na początku XX w. opisywali swoje zdumienie, gdy w trakcie podróży natrafiali na szwedzkie czy norweskie wsie, które nawet wtedy jawiły się jak archaiczne wyspy kojarzące się raczej z XVIII w. Jednak także w dużych miastach Szwedzi czy Duńczycy potrafili tworzyć swoiste wyspy etniczne. Z własnym kościołem, gazetami, szkołami, stowarzyszeniami kobiet – bractwami męskimi i oczywiście z własnymi obyczajami.

Osobnym fenomenem były nordyckie wspólnoty kościelne, które często prezentowały bardzo duży poziom nonkonformizmu religijnego. Było to echo oddolnego protestanckiego ruchu pietystycznego, który stworzył nurt kościołów ludowych. Nieprzypadkowo to właśnie nazwiska o skandynawskich korzeniach stanowią nieproporcjonalnie duży odsetek najgłośniejszych amerykańskich teleewangelistów.



Pomnik Leifa Erikssona w Seattle FOT. PIOTR SEMKA

W lesie

Wystawa pokazuje też świat ludzi ciężkiej pracy, do której przyzwyczaił ich surowy klimat panujący w krajach pochodzenia. Pod szarym skandynawskim niebem człowiek doskonale wie, jak bardzo zależny jest od natury. Wspólnoty mają pełną świadomość, że przetrwać można tylko w grupie. A to wymaga pryncypialnej lojalności i zdolności do stawiania interesów wspólnoty ponad indywidualizm.

„Nie miałem okazji zastanawiać się nad samotnością lub czuć tęsknotę za ojczyzną. Zawsze miałem ręce urobione po łokcie – od świtu aż do późnej nocy". To zdanie ze wspomnień jednego z emigrantów, B.I. Andersona, z 1889 r. wybite jest dużymi literami na ścianie muzeum.

Skandynawowie chwytali się w Ameryce tych fachów, które znali najlepiej – budowy okrętów, wyrębu lasów czy rybołówstwa. Były to prace wykonywane na świeżym powietrzu, ciężkie i niewdzięczne. Ale przy wyrębie lasów, szczególnie tzw. Northwestu, można było zarobić krocie. To właśnie kupcy i właściciele tartaków pochodzenia niemieckiego i skandynawskiego zamienili w drugiej połowie XIX w. Seattle w jeden z największych portów eksportu drewna na cały świat. Dbali oni o to, by drzewiarzom opłacało się zamykać w obozowiskach na długie miesiące, gdzie rąbali gigantyczne drzewa, żyjąc w niemal całkowitej izolacji od cywilizacji.

Osobnym epizodem były próby przeniesienia z północnej Szwecji i Finlandii hodowli reniferów. W latach 90. XIX w.

eprasa.pl 7a862733ee

ściągnięto do USA ok. 100 przedstawicieli tubylczego plemienia Saamów, którzy mieli prowadzić hodowlę reniferów. Cały ten eksperyment zakończył się jednak niepowodzeniem i większość Saamów wróciła do Finlandii. Amerykanie pochodzenia fińskiego odegrają jeszcze raz ważną rolę, mobilizując pomoc Ameryki dla Finlandii w czasie wojny zimowej lat 1939–1940.

Jak relikwie na wystawie pokazywane są skrzynie, które emigranci zabierali ze sobą z kraju – solidne konstrukcje malowane w wiejskie kwiaty. Ze wzruszeniem pochylam się nad ręcznie przepisywaną Ewangelią, jedną z najcenniejszych pamiątek, które stare skandynawskie rody oddały muzeum w Seattle.



Znaczek pocztowy wydany z okazji stulecia przybycia Skandynawów do Stanów Zjednoczonych

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US POST OFFICE

Przed Kolumbem

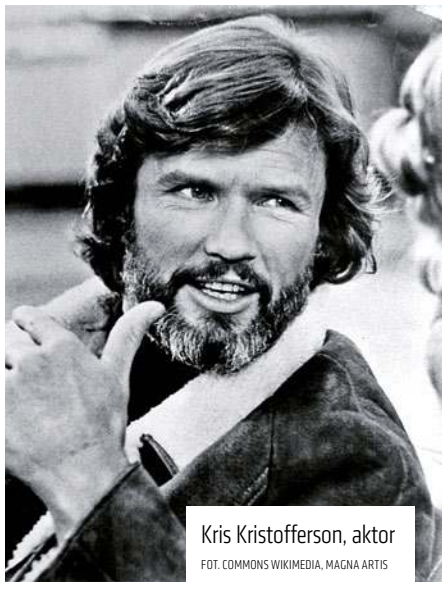
W 1874 r. ukazała się na rynku księgarskim w USA książka „Ameryka nieodkryta przez Kolumba" (ang. „America Not Discovered by Columbus"). Jej autor, Rasmus B. Anderson, naukowiec o norweskich korzeniach, spopularyzował badania wskazujące, że wikingowie byli pierwszymi Europejczykami w Nowym Świecie.

Duma z przetarcia szlaku dla europejskiej ekspansji na terenie kontynentu północnoamerykańskiego dodała animuszu organizacjom skandynawskich imigrantów.

Poważni kupcy, lekarze i nauczyciele przebierali się za wikingów w rogatych hełmach, by wystawiać sztuki teatralne opowiadające o podboju Ameryki. Imigranci z krajów europejskiej północy zaczęli być grupą, z którą musiały się liczyć elity polityczne Stanów Zjednoczonych.

W 1925 r., podczas obchodów stulecia wyjazdu pierwszej zorganizowanej grupy emigrantów z Norwegii do Ameryki Północnej, prezydent Calvin Coolidge uznał Leifa Erikssona za odkrywcę Ameryki. Cztery lata później Wisconsin stało się pierwszym stanem USA, który oficjalnie ogłosił Dzień Leifa Erikssona jako święto. W dużej mierze było to możliwe dzięki staraniom Rasmusa Andersona. W 1931 r. to samo zrobiła Minnesota. Do 1956 r. Dzień Leifa Erikssona został oficjalnie ustanowiony w siedmiu stanach (Wisconsin, Minnesota, Dakota Południowa, Illinois, Kolorado, Waszyngton i Kalifornia) i jednej prowincji Kanady (Saskatchewan). Kongres Stanów Zjednoczonych po raz pierwszy uznał Dzień Leifa Erikssona w 1935 r.

Zgodnie z prośbą zawartą w rezolucji Kongresu prezydent Franklin Delano Roosevelt wydał następnie proklamację prezydencką 2135, ustanawiając 9 października tego roku Dniem Leifa Erikssona. W Seattle przy pomniku wikińskiego wodza święto to obchodzone jest od 1941 r. Jednak przybywają na nie również reprezentanci innych mniejszości – próbują skandynawskich przysmaków, a także podziwiają tańce i zabawy w północnym stylu.



Kris Kristofferson, aktor

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MAGNA ARTIS

Nowe czasy, nowe obyczaje

O ile w XIX w. władze w Waszyngtonie zachęcały do jak najszybszego roztopienia się w amerykańskości, o tyle po 1945 r. wzrosło zainteresowanie powrotem do wyrazistej tożsamości etnicznej. Żyjący w dużych amerykańskich miastach nordyccy imigranci zaczęli zakładać na nowo stowarzyszenia kultywujące rodzime obyczaje.

Oczywiście z czasem potomkowie Skandynawów zaczęli piąć się po drabinie społecznej. Ale ta pamięć i szacunek do ciężkiej pracy swoich dziadów nigdy ich nie opuszczały. Muzeum w Seattle mogło powstać dzięki ogromnej liczbie domowych pamiątek, które przekazano tej głównej placówce muzealnej dziedzictwa nordyckiego w USA.

Współczesna popkultura, na czele z Hollywood, poszczycić się może wieloma gwiazdami o skandynawskim pochodzeniu. Jak wiadomo, nordyckie korzenie zapewniają wspaniałe blond włosy. Gwiazdą serialu „Słoneczny patrol" była Pamela Anderson, której pradziadek przybył w 1908 r. do Ameryki z Finlandii. Szwedzkich przodków miała Kim Basinger. Równie popularna jest w Ameryce blond gwiazda Kirsten Dunst, znana choćby jako dziewczyna Spidermana (jej matka miała szwedzkie korzenie). Natomiast we wrześniu 2023 r. pożegnaliśmy wielką gwiazdę muzyki country i aktora filmowego Krisa Kristoffersona.

Ameryka dała przybyszom z krajów północy zapisane w deklaracji niepodległości „prawo do poszukiwania szczęścia". I o tym, jak synowie północy korzystali z tego prawa, możemy dowiedzieć się właśnie w muzeum w Seattle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej informacji na temat muzeum znaleźć można pod adresem: https://nordicmuseum.org/.

eprasa.pl 7a862733ee



Pensjonat Waldschlösschen

FOT. E-KARKONOSZE

1939–1945 / Wojenne losy arcydzieł Jana Matejki

„Batory” i „Rejtan” na Dzikim Zachodzie



Grzegorz Janiszewski

Latem 1945 r. grupa polskich muzealników, szukając zaginionych arcydzieł Matejki, przemierzała ówczesny polski Dziki Zachód wśród sowieckich maruderów i niedobitków z Wehrwolfu

Wojenna epopeja „Batorego pod Pskowem” i „Rejtana” rozpoczęła się we wrześniu 1939 r. Obrazy wisiały w Zamku Królewskim, siedzibie prezydenta RP. Ignacy Mościcki już 28 sierpnia ze względu na spodziewane niemieckie bombardowania przeniósł się do rezydencji w Spale. Do Warszawy powrócił 1 września. Prezydencka kolumna przejechała bombardowane miasto, kierując się do Błot pod Warszawą, gdzie prezydent zatrzymał się u senatora Tadeusza Karszo-Siedlewskiego. Willa była oddalona od centrum i ukryta wśród drzew, ale niemieckie bombardowania Błot i pobliskiej Falenicy z każdym dniem się nasilały. Pojawiły się też pogłoski o niemieckim desancie, który miał porwać głowę państwa. Zapadła decyzja o ewakuacji prezydenta i jego kancelarii na wschód.

„Batory” i „Rejtan” zostały zdjęte ze ścian i wyjęte z ram, po czym nawinięte na jeden wałek razem z jedwabnym kobiercem. Tak zapakowane zostały dołączone do transportu ewakuowanej Kancelarii Cywilnej Prezydenta. Oprócz nich znajdowały się tam też regalia Stanisława Augusta, najcenniejsze przedmioty ze zbiorów muzeum w Kórniku, książki z Biblioteki Narodowej i Biblioteki Kapituły w Pelplinie. 7 września kawalkada samochodów przez Lublin dotarła do Ołyki na Wołyniu, do zamku księcia Janusza Radziwiłła. Radziwiłł był nie tylko arystokratą. Dwukrotnie wybierano go posłem na sejm z ramienia BBWR i tyleż razy prezydent mianował go senatorem. Przed wybuchem wojny stał na czele senackiej komisji spraw zagranicznych.

W ciągu następnego tygodnia książę gościł w Ołyce premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego, Naczelnego Wodza, Edwarda Śmigłego-Rydza i ministra Józefa Becka. Na naradach omawiano aktualną sytuację i dalsze kroki. Postanowiono, że w związku z postępami Niemców, którzy 12 września znaleźli się pod Lwowem, władze ewakuują się dalej na południe. Trzy dni później prezydent ze świtą ruszył na południe, do majątku Załucze koło Śniatynia, przy granicy z Rumunią.

Złożeni w kostkę

W pałacu Radziwiłłów pozostawiono część wyposażenia prezydenckiej kancelarii, w tym i obrazy. Zaopiekować się miał nimi prezydencki majordomus, Kacper Michalski. Ołykę uznawano za bezpieczne miejsce dla składowania takich precjozów ze względu na dobre stosunki, które łączyły gospodarza z Niemcami. Przed wojną książę Radzi-

eprasa.pl 7a862733ee

wił polował z Hermanem Göringiem w Puszczy Rominckiej. Ani Mościcki, ani jego urzędnicy nie spodziewali się jednak, że za kilka dni do pałacu wejdą Sowieci. Janusz Radziwiłł został przez nich aresztowany i wywieziony na Łubiankę. Znalezione w jego rezydencji prezydenckie obrazy, mierzące 3 na 5 m, zostały poskładane kilkanaście razy w kostkę, farbą do środka. Potem zostały przewiezione do Muzeum Regionalnego w Łucku, gdzie przesypano je naftaliną i zapakowano w papier pakowy, owijając sznurkiem. W takim stanie przeleżały tam ponad cztery lata, kiedy zainteresowali się nimi Niemcy, przenosząc je do Muzeum Historycznego Miasta Lwowa.

W grudniu 1943 r. niemiecki zarządca Lwowa Egon Höller wezwał do siebie Jana Marksena, głównego konserwatora Galerii Miasta Lwowa, i pokazał mu ciągle złożone obrazy, każąc zająć się ich restauracją. Niemcy dobrze znali wymowę i wartość dzieł Matejki. Potrafili też doskonale odróżniać obrazy antyniemieckie od antyrosyjskich.

Marksen, mimo braku formalnego wykształcenia, był doświadczonym konserwatorem dzieł sztuki. Od początku lat 30. prowadził własną pracownie we Lwowie. W czasie wojny pracował w Ossolineum i w Galerii Miasta Lwowa. Po przewiezieniu obrazów do pracowni od razu zabrał się do pracy. Samo rozprostowanie „Rejtana" trwało do końca grudnia, a „Batorego" aż do lutego 1944 r. Konserwator był bardzo skrupulatny. Szkicował, opisywał i fotografował każde zagięcie, zebrał też resztki gruntu i farby, odrywające się na zgięciach płócien. Zaprojektował specjalny stół do restauracji wielkoformatowych obrazów oraz skrzynie do ich transportu. Obrazy były w nich nawinięte na wałki, nie dotykając płótnem ścian. W tym czasie do Lwowa szybko zbliżał się front. Polscy konserwatorzy byli zgodni, że obrazy trzeba jak najszybciej ewakuować. 26 marca Marksen zaczął pakować dzieła. Do „Matejki" i „Rejtana" dołączona została wtedy „Unia lubelska", wisząca dotychczas w lwowskim ratuszu. Następnego dnia wszystkie trzy zostały przewiezione do zbiorczego magazynu przy ul. św. Marcin, a potem na dworzec kolejowy na Kleparowie, gdzie załadowano je do wagonów.

Obrazy miały zostać zdeponowane w dawnym klasztorze Karmelitów



Jan Marksen FOT. MUZEUM W ZAKOPANEM



Franciszek Hałatek
FOT. FACEBOOK MIG NOWY WIŚNICZ

w Wiśniczu, pełniącym wówczas funkcję więzienia. Nie dotarły tam jednak, więc Marksen zaczął poszukiwania, rozsyłając listy do znajomych konserwatorów. W końcu odnalazły się w Przemyślu i 27 kwietnia samochodami zostały przywiezione do Wiśnicza. Stół do konserwacji skonstruowany przez Marksena dotarł tam dopiero w czerwcu. W tym czasie do miejscowości zaczął się zbliżać front. Konserwator planował ukryć obrazy w betonowej piwnicy pod pracownią. Udostępnił ją miejscowy notariusz Franciszek Hałatek, były legionista i członek AK. Zanim to zrobiono, w sierpniu 1944 r. w Wiśniczu pojawili się wysłannicy Höllera. Na jego polecenie obrazy miały zostać przewiezione do ratusza w Sosnowcu. Marksen przekazał tę wiadomość krakowskiemu antykwariuszowi Tadeuszowi Wierzejskiemu, który poinformował o tym przedwojennego dyrektora warszawskiego Muzeum Narodowego Stanisława Lorentza. Obrazy zostały wywiezione w nieznanym kierunku. Trop się urywał.

Bezpieczna przystań złodziei

Niemcy zaczęli przygotowania do wywozu polskich dzieł sztuki z Generalnego Gubernatorstwa wiosną 1944 r., w związku ze zbliżającym się frontem. Miejscem ich ewakuacji i ukrycia miał być głównie Dolny Śląsk, traktowany przez nich jako bezpieczna przystań. Do 1945 r. nad ten region bardzo rzadko zapuszczały się alianckie bombowce. Położone na uboczu pałace i kopalniane sztolnie doskonale nadawały się do składowania cennych dzieł. Rozmieszczeniem zabytków zajął się Günther Grundmann. Ten urodzony w Jeleniej Górze historyk sztuki od 1932 r. był konserwatorem zabytków Prowincji Dolnośląskiej. Doskonale znał nie tylko kulturowe skarby tutejszych kościołów i muzeów, lecz także prywatnych kolekcji, od lat gromadząc o nich informacje. Od 1942 r. sporządzał zaszyfrowaną listę miejsc, w których można było ukryć dzieła sztuki zwożone na Dolny Śląsk z zagrożonych alianckimi bombardowaniami części Niemiec. Oficjalnie prace zakończył w lipcu 1944 r., typując 80 skrytek. Zwykle były to dolnośląskie i łużyckie, często ukryte w górskich dolinach kościoły i pałace, średniowieczne zamki i sanatoria. Prawdopodobnie później powstało ich jeszcze ok. 100.

Jednym z takich miejsc był pałac na wodzie Manfreda von Richthofena w Seichau, leżący między Jaworem i Złotoryją. Była to również przez pewien czas siedziba ewakuowanego z Krakowa rządu Generalnego Gubernatorstwa. Znalazły się tu najcenniejsze obrazy z zagrabionych przez niego kolekcji, m.in. dzieła Leonarda da Vinci, Rembrandta, Rubensa, Cranacha. Być może był tam również „Portret młodzieńca" Rafaela. Z pewnością znajdował się on w kolekcji Franka, jednak jego trop urywa się

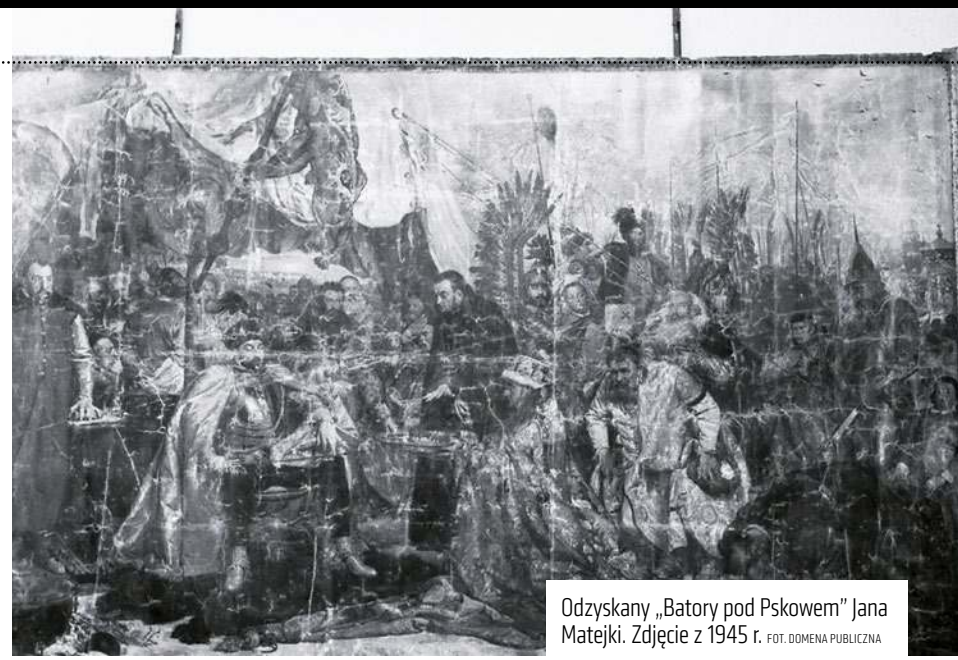
eprasa.pl 7a862733ee

gdzieś pomiędzy Wawelem a Seichau. Jego los do dzisiaj stanowi zagadkę.

Frank opuszcza Seichau 24 stycznia 1945 r., ewakuując swój rząd do Bawarii przed zbliżającymi się szybko Sowietami. Część dzieł sztuki wywieziono przedtem do pobliskiego pałacu w Muhrau pod Strzegomiem. 29 stycznia zjawia się tam Grundmann, który wywozi część dóbr do Cieplic pod Jelenią Górą. Sam po latach tak to opisał w swoich wspomnieniach: „Wystarczył krótki rzut oka, by stwierdzić, że są to obrazy wielkich polskich mistrzów, dzieła sztuki z Wawelu, sławne dywany z czasów króla Zygmunta, sławne obrazy Canaletta z Zamku Warszawskiego, obrazy ołtarzowe z kościoła Mariackiego w Krakowie. Major, dowódca niemieckiego oddziału, dał mi ludzi i jedną noc na wywiezienie tego. Rano miały być zniszczone. W tym momencie nie było dla mnie istotne, czy to niemieckie czy polskie dobro kulturowe. Mogłem się tylko obawiać późniejszych konsekwencji. Obrazy pozdejmowaliśmy z ram. Zostały porozmieszczane między dywanami i zrolowane. Była to cała noc ciężkiej pracy. Rano dwie ciężarówki odjechały ze skarbami w stronę Jeleniej Góry". Stamtąd, w miarę skąpych już wówczas niemieckich możliwości transportowych, były wywożone do skrytek znajdujących się na liście.

Muzealnicy na ratunek

W zasadzie od razu po przejściu frontu poszukiwaniem zagrabionych skarbów kultury zajęli się polscy muzealnicy. Marionetkowy Rząd Tymczasowy miał tyle instynktu samozachowawczego, żeby na Ziemie Odzyskane wysyłać grupy operacyjne, mające ratować fabryki i mienie przed żołnierzami Armii Czerwonej i szabrownikami. Lorentzowi udało się przekonać komunistów do mianowania go dyrektorem Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i wysłania grupy poszukującej również zrabowanych zabytków. O tym, że najcenniejsze polskie zbiory mogą znajdować się na Dolnym Śląsku, wiedziano od polskich robotników przymusowych i kolejarzy pracujących dla



Odzyskany „Batory pod Pskowem" Jana Matejki. Zdjęcie z 1945 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Niemców. Grundmann pilnował jednak swoich tajemnic i dokładne lokalizacje znane były tylko nielicznym. W maju 1945 r. Lorentz razem z kilkoma współpracownikami wyruszył na Dolny Śląsk, by szukać skarbów. Pełniący wówczas funkcję generalnego konserwatora zabytków Jan Zachwatowicz tak po latach opisał tą wyprawę: „Wyruszyliśmy z Warszawy ciężarówką, zaopatrzeni w kilka skrzyń nie pieniędzy, ale alkoholu – nie dla własnego użytku. Wiadomo było, że to najpewniejszy środek płatniczy załatwiający np. tak ważne dla nas zaopatrzenie w benzynę. Poza tym mieliśmy przepustkę na tereny, na które nie wolno było wyjeżdżać. To wszystko".

We Wrocławiu ekipa zaczęła poszukiwania od zbombardowanego gmachu Muzeum Sztuk Pięknych, gdzie mieściły się biura Grundmanna. Szybko natrafiono na dokumentację związaną z ukrywaniem skarbów. Jak pisał później w swojej książce Józef Gębczak, który złamał szyfr ukrywający położenie skrytek: „W czerwcu 1945 roku odkopywałem rozrzucone skoroszyty, teczki i luźne akty, które Niemcy pozostawili na biurkach, opuszczając 16 stycznia 1945 r. biura konserwatora Grundmanna wraz z całą ludnością nieprzydatną do potrzeb twierdzy, w jaką zamieniono Wrocław". Nie było to łatwe, bo informacje znajdowały się w różnych dokumentach, w dodatku porozrzucanych w różnych miejscach i częściowo zniszczonych. Gębczak stopniowo odkrywał kolejne miejsca, a do sukcesu walnie przyczyniło się porównanie posiadanych materiałów ze spisem sprzętu przeciwpożarowego, wysyłanego do miejscowości, w których zorganizowano składnice.

Pod koniec czerwca polscy poszukiwacze wiedzieli, że jeden z ważniejszych skarbców znajduje się w miejscowości Rückers w Kotlinie Kłodzkiej. Ich



Dom wybudowany na miejscu gospody Waldschlösschen
FOT. GRZEGORZ JANISZEWSKI

eprasa.pl 7a862733ee



Obelisk w Przesiece odsłonięty w 2019 r., upamiętniający odnalezienie obrazów
FOT. GRZEGORZ JANISZEWSKI

delegację, która przybyła tam 5 lipca, przyjął mianowany kilka dni wcześniej burmistrz Jerzy Lisowski. Obiad wydany w miejscowym pałacu zamienił się w popijawę w towarzystwie komendantów wojskowych z Kłodzka, polskiego i sowieckiego, oraz kilkunastu oficerów polskich i sowieckich. Muzealnikom towarzyszyła przedwojenna muza warszawskiej bohemy Izabela Stachowicz, pierwowzór Belli Hertz z „Pożegnania jesieni" Witkacego. Podczas wojny, jako Żydówka, znalazła się w getcie w Warszawie. Uciekła z niego, ukrywając się z pomocą polskiej rodziny. Potem dołączyła do oddziału Armii Ludowej. Teraz jako Stefania Czajka – oficer Milicji Obywatelskiej i szefowa grupy ochrony muzealników – przemierzała z nimi Dolny Śląsk. Miała w tym swój interes. Niemcy podczas okupacji obrabowali ją z kolekcji ponad 250 cennych obrazów, w tym jej portretów wykonanych przez Matisse'a. Miała więc nadzieję, że podczas poszukiwań natrafi na ich ślad.

Czajka spotkała wśród biesiadników znajomego z Warszawy, kpt. Zygmunta Bratkowskiego, który opowiedział jej, że kiedy jeszcze niedawno stacjonował w Kotlinie Jeleniogórskiej, w gospodzie w miejscowości Hein widział stojące pod ścianą wielkie skrzynie z napisem „Museum der Stadt Warschau", w których miały znajdować się dzieła Matejki. Muzealnicy podejrzewali, że te rewelacje spowodowane były wypitym spirytusem przywiezionym przez Sowietów w kanistrach. Zwłaszcza że Lorentz wiedział od Marksena, iż obrazy zostały wywiezione ze Lwowa. Postanowili jednak na drugi dzień udać się do Hein.

Matejko pod szynkwasem

Według oficjalnej wersji muzealnicy przyjechali do gospody Waldschlösschen i pod szynkwasem odkryli skrzynie z dziełami Matejki. Oprócz nich znajdowało się tam też kilkanaście innych dzieł zrabowanych z Wawelu i wywiezionych z wrocławskich muzeów. Czajka tak potem opisała moment odnalezienia obrazów: „Profesor Stanisław Lorenz klęka przed skrzynią, której wieko jest oderwane, i usiłuje z trudem rozwinąć olbrzymi rulon płótna. Przez otwarte drzwi wpada nagle jasna smuga światła słonecznego. Profesor klęczy teraz w tej strudze… Podchodzę bliżej. – Profesorze… Profesor Lorentz podnosi głowę. Jego opalona na brązowo twarz jest dziwnie pobladła. Widzę, że błękit oczu ma przesłonięty szkliwem łez. Nie pytam więcej. Wiem, że odnaleźliśmy Matejkę".

Opis romantyczny i sugestywny, jednak odnalezienie płócien mogło wyglądać nieco inaczej. O obrazach Matejki znajdujących się w karkonoskiej gospodzie jeleniogórski starosta Wojciech Tabaka wiedział już najprawdopodobniej w czerwcu 1945 r. Odkrycia dokonała mieszkanka Hein Stanisława Urban. Już w maju przybyła do Hein ze Starachowic z trojgiem dzieci. Jej mąż nie wrócił z robót przymusowych. Znała niemiecki, więc Tabaka skierował ją do rozdzielania przybywającym osadnikom poniemieckich domów. W czerwcu w wiosce pojawił się człowiek zainteresowany przejęciem gospody nazywanej Waldschlösschen, mieszczącej się na górskim grzebiecie ponad wsią. Urban udała się tam wraz z wójtem Sylwestrem Pawlakiem i miejscowym milicjantem, żeby komisyjnie przekazać nieruchomość. Podczas opisywania w protokole pomieszczeń gospody w piwnicy znalazła skrzynie z obrazami Matejki. Natychmiast poinformowała o tym Tabakę. Ten fakt już 26 czerwca w swojej notatce opisał referent działu kultury i sztuki jeleniogórskiego starostwa. Wielkich i ciężkich skrzyń, do czasu przyjazdu grupy z Warszawy, pilnował w gospodzie milicjant. Trudno byłoby je ukraść, ale muzealnicy nieraz natrafiali na bezcenne dzieła zniszczone przez Sowietów albo szabrowników. W Muhrau XVIII-wiecznymi grafikami wykonanymi dla Stanisława Augusta żołnierze wymościli sobie legowiska, a część wykorzystali jako papier toaletowy.

Taką wersję zdarzeń po latach potwierdził również prof. Lorentz. Świadczyłoby też o tym „odnalezienie" obrazów pod szynkwasem. Prawdopodobnie przed przyjazdem zostały tam przeniesione przez miejscowe władze, żeby ułatwić pracę muzealnikom, których wcześniej powiadomiono o znalezisku. Telegram o treści: „Odnalazłem Matejki Batory Rejtan Unia. Przyśpieszyć remont Zachęty" wysłał Lorentz do Zachwatowicza dopiero 11 lipca 1945 r. Kilka tygodni później obrazy zostały przewiezione do byłego Muzeum Riesengebirgsverein (Towarzystwa Karkonoskiego) w Jeleniej Górze i dalej pod eskortą żołnierzy z 7. DP do Warszawy. Wieś Hein na pamiątkę została przemianowana na Matejkowice, ale w 1946 r. nadano jej stosowaną do dzisiaj nazwę Przesieka.

Restauracja „Rejtana" i „Batorego pod Pskowem" prowadzona w Zachęcie trwała ponad trzy lata. Obrazy można do dzisiaj oglądać na Zamku Królewskim w Warszawie i wciąż inspirują Polaków. Pod wpływem tego pierwszego Jacek Kaczmarski napisał „Rejtana, czyli raport ambasadora", a symbolicznie pod „Batorym" prezydenci Polski i Litwy 11 listopada 2022 r. prowadzili rozmowy. Nie byłoby to pewnie możliwe bez zaangażowania polskich konserwatorów i muzealników, ratujących arcydzieła podczas wojennej zawieruchy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7a862733ee



Zdjęcie z ćwiczeń POW pod Warszawą w 1917 r. Karol Lilienfeld-Krzewski stoi trzeci z prawej FOT. NAC

XX w. / Rzecz o duchu i postawie I Brygady

Ojciec kaprala „Szczapy”



Marek Gałęzowski

Karol Lilienfeld-Krzewski, wstępując do Legionów, „zdradził literaturę dla wojska”. Pozwoliło mu to stworzyć świetną opowieść satyryczną o legionistach

Jestem w Hadasie dziś z Jerzym [Giedroyciem] u umierającego Lilienfelda-Krzewskiego – jasne oczy, żywe, wiara, że wraca do zdrowia, twarz émaciée [wyniszczona] i bardzo żydowska. Inteligencja w pełnym ruchu – wzruszył mnie ten człowiek, o którym Jerzy wiele mi opowiadał. Jerzy kryje swoje serce, niby nalega na artykuły, których ten człowiek nigdy na pewno już nie napisze, mówią o wielu sprawach – a wprost temu człowiekowi chce dać trochę radości i wiary, że nie jest tak źle” – zapisywał 15 listopada 1943 r. w swoim dzienniku Józef Czapski. Hadas – a właściwie Hadassa – to nazwa do dziś istniejącego szpitala w Jerozolimie. Tak daleko od Polski umierał jeden z najbardziej znanych piłsudczyków, choć przecież nie generał, minister czy inny dygnitarz obozu rządzącego Polską po przewrocie majowym.

Komendant zaśmiewał się do łez

W środowisku legionowym zasłynął książką „Kaprala I-ej Brygady Piłsudskiego Szczapy poglądy różne na rzeczy rozmaite” – zapewne najsłynniejszego zbioru opowieści satyrycznych, jaki powstał w kręgu tej formacji niepodległościowej. „Dziwny to był człowiek. Zrodził go staromiejski Lublin za Krakowską Bramą, której konterfekt wisiał zawsze nad jego biurkiem; nazywał się Lilienfeld i szczycił się, że jego pradziad hebrajskimi literami pisał rabinowi lubelskiemu polską przemowę na powitanie wmaszerowującego przez tę bramę księcia Józefa, rabin bowiem naturalnie po polsku nie umiał” – tak Antoni Bogusławski przedstawił rodowód urodzonego w 1893 r. w silnie już spolonizowanej rodzinie żydowskiej Karola Lilienfelda, który z czasem dodał do swojego nazwiska pseudonim Krzewski, pochodzący z okresu służby w Polskiej Organizacji Wojskowej.

Maturę zdał w rodzinnym mieście, które opuścił, by studiować polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, w Krakowie, tym mieście, które dla Polaków z zaboru rosyjskiego było uosobieniem wolności. „Jaka szalona radość ogarnęła mię, gdy po ukończeniu studiów uniwersyteckich w Dorpacie pierwszy raz przekroczyłem granicę w Szczakowej; ogarnął mię powiew wolności” – pisał Marian Zdziechowski; to samo musiał czuć i nasz bohater, przybywając do Krakowa blisko ćwierć wieku później, w 1911 r.

Został uczniem prof. Ignacego Chrzanowskiego, jednego z najwybitniejszych

eprasa.pl 7a862733ee



Karol Lilienfeld-Krzewski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANONYMOUS

wówczas historyków literatury polskiej, związanego ze środowiskiem Narodowej Demokracji przyjaciela Romana Dmowskiego. I to z inspiracji profesora, który postarał się o stypendium dla zdolnego studenta, zajął się pracą badawczą, debiutując artykułem „Rok 1863 w twórczości Elizy Orzeszkowej". Zaraz jednak ją przerwał, jak studia na UJ, na które już nie wrócił. Był bowiem członkiem „Strzelca", który „oderwał go od namiętnego studium literatury" (Bogusławski) i kiedy w 1914 r. wybuchła wojna, zgłosił się do powstających Legionów Polskich. Wtedy popełnił jedyną zdradę w życiu – „zdradził literaturę dla wojska, Chrzanowskiego dla Piłsudskiego", jak z romantyczną nutą pisał inny legionista Janusz Gaładyk, który, jak przypuszczam, sam podobnej „zdrady" dokonał.

Młody polonista nie wyruszył jednak na razie na front. Józef Piłsudski wyznaczył mu inne zadanie, kierując do rodzinnego miasta, by tam zakładał POW. W chwili oswobodzenia Kongresówki spod władzy Rosjan był w Warszawie i stamtąd w sierpniu 1915 r. jako żołnierz baonu warszawskiego POW wyruszył do Legionów. Został sierżantem 5. pp „zuchowatych" I Brygady i wziął udział w jesiennych walkach na Wołyniu, podczas których został ranny pod Wielką Miedwieżą.

Po rekonwalescencji wrócił do pułku, jednak wkrótce odkomenderowano go ponownie do szeregów peowiackich. Objął dowództwo lubelskiej POW, wszedł także w skład jej komendy naczelnej jako szef Wydziału Szkolnego. 29 kwietnia 1917 r. uczestniczył w ćwiczeniach baonu POW w Zielonej pod Wawrem, w obecności Piłsudskiego. Jak pisał jeden z uczestników ćwiczeń, Wacław Jędrzejewicz, dzień był piękny, a Komendant „był w doskonałym humorze, przy śniadaniu spożywanym na trawie pod lasem opowiadał wiele i dowcipkował. Z przebiegu ćwiczeń był bardzo zadowolony". Na wykonanych wówczas fotografiach znajdziemy go w towarzystwie wiernych oficerów. Wśród nich i Lilienfelda-Krzewskiego, który niespełna dwa tygodnie wcześniej odczytał na wieczorze literackim zorganizowanym przez POW w teatrzyku Aleksandryna u zbiegu ul. Mokotowskiej i pl. Trzech Krzyży fragmenty swojej niedawno opublikowanej książki. Były to wspomniane „Kaprala I-ej Brygady Piłsudskiego Szczapy poglądy różne na rzeczy rozmaite", które dedykował „swojemu kochanemu, macierzystemu Pułkowi pierwszemu piechoty Legionów". Na wieczorze byli obecni oficerowie legionowi na czele z Józefem Piłsudskim i Kazimierzem Sosnkowskim, a jak wspominał Jędrzejewicz, wszyscy zaśmiewali się do łez z przygód „Szczapy", które ten odczytywał, a najbardziej sam Komendant.

Szybko stały się one jednym z najbardziej znanych utworów literatury legionowej, w jej nurcie mniej nastrojowym i poważnym, a sowizdrzalskim. „Napisana z dużym temperamentem, pełna dosadnych i jędrnych żołnierskich zwrotów, nasycona realiami i swoistym humorem, książka ta służyła spopularyzowaniu ducha i postawy I Brygady oraz stanowiła zarazem dokument literacki tzw. okresu przesilenia legionowego" – pisał inny wybitny legionista, Kazimierz Pluta-Czachowski. Doczekała się trzech wydań w międzywojniu, ostatniego na uchodźstwie w Londynie w 1971 r., a samego Lilienfelda nie nazywano już wśród piłsudczyków inaczej niż „kapralem Szczapą". I chyba nie będzie już następnych wydań, gdyż – jak pisał Gaładyk – jest to książka „nieprzetłumaczalna nawet dla Polaków, którzy nie żyli w atmosferze roboty niepodległościowej sprzed 1918 r. i nie zetknęli się choć pośrednio z nastrojami żołnierza I Brygady".

Rzadko wartościowy obywatel nowej Polski

W listopadzie 1918 r. Lilienfeld był wśród tych, którzy rozbrajali Niemców w Warszawie, a później wstąpił do WP. Służył na różnych stanowiskach sztabowych w Naczelnym Dowództwie, ale kiedy latem 1920 r. bolszewicy podeszli pod Warszawę, poprosił o przeniesienie na front. Dowodził kompanią, a później batalionem 201. pp, utworzonym z ośrodków zapasowych legionowego 5. pp i przydzielonym do Dywizji Ochotniczej. W czasie prowadzonych walk awansował do stopnia kapitana. Bohaterstwo jego uhonorowano Orderem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych – czterokrotnie



Batalion warszawski POW w drodze do I Brygady, 1915 r. FOT. NAC

eprasa.pl 7a862733ee



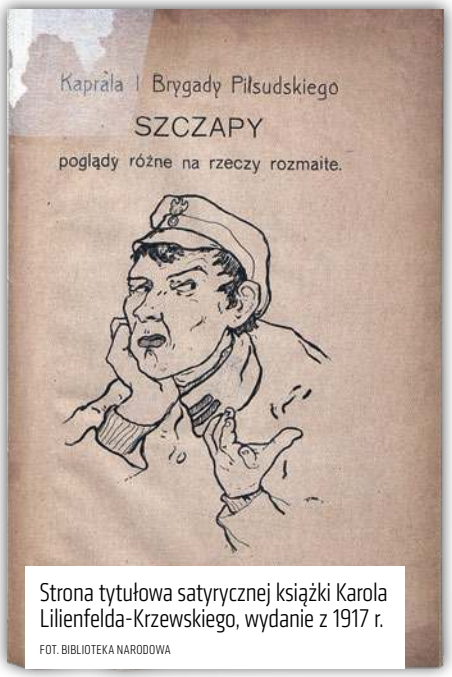
Oficerowie i żołnierze 5. Pułku Piechoty Legionów Polskich, 1916 r. FOT. NAC

nadanym, a udział w walce o niepodległość – Krzyżem Niepodległości i odznaką „Za Wierną Służbę".

Po zakończeniu wojny nadal służył w wojsku, m.in. w Wydziale Ewidencyjnym Oddziału II Sztabu Generalnego WP, a jako delegat Ministerstwa Spraw Wojskowych uczestniczył w zawieraniu umów handlowych z innymi państwami i przygotowaniu umów dotyczących tranzytu materiałów wojennych. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej i mianowaniu na stopień majora dyplomowanego wszedł do elity korpusu oficerskiego WP. Świadectwem tego, że był rzetelnym, fachowym oficerem, była pochwała, której udzielił mu za pracę w Sztabie Generalnym WP jego szef, generał spoza środowiska piłsudczykowskiego – Stanisław Haller, brat stryjeczny „błękitnego generała".

Wierny piłsudczyk w przededniu przewrotu majowego wraz z kilkoma innymi oficerami wywodzącymi się z Legionów m.in. z Adamem Kocem i Feliksem Kwiatkiem uczestniczył w spotkaniu z dowódcą 36. pp Legii Akademickiej płk. Kazimierzem Sawickim i skłonił go do poparcia działań marszałka Józefa Piłsudskiego, co nie było trudne, gdyż i ten był legionistą. Po przejęciu władzy przez Marszałka, w którym wziął udział, został oficerem sztabowym do zleceń w biurze II wiceministra do spraw wojskowych. Później zajmował stanowisko dowódcy baonu 1. pp Legionów, służył w Biurze Inspekcyjnym Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych jako oficer do spraw szkolenia, był wreszcie szefem sztabu 10. DP.

Otrzymywał dobre opinie służbowe – podkreślano jego sumienność, obowiązkowość, wybitną inteligencję, ideowość, wysoki poziom kultury, ujemną cechę dostrzegając jedynie w dbałości o własne wygody. W opinii z 1932 r. pisano: „Char[akter] b[ardzo] dobry, bez wad. Uspos[obienie] człowieka myślącego, pełnego inicjat[ywy]. Niekiedy sentymentalny literat. Ideowość bezsprzecznie wybitna. Ambicja pracy na równi z osob[owością]. Zawsze taktowny z punktu widzenia potrzeby państwowej. Rzadko wartościowy obywatel nowej Polski. Na trudy wytrz[ymały], chętny w ich znoszeniu [...]. Inteligencja nieprzeciętnie wysoka. Wykształcenie szerokie, staranne. Doświadcz[enie] b[ardzo] duże. Typ b[ardzo] zdolnego, już o ustalonej w Polsce sławie literata, co harmonijnie wiąże z zawodem ofic[era]. W dowodzeniu decyzje śmiałe, trafne, realne. Taktycznie wyszkolony wzorowo. Zdolności organizacyjne i administracyjne duże. Wpływ na podwładnych umiejętny, skuteczny i pożądany. W dowodzeniu baonami połączonymi b[ardzo] dobry [...]. Nadaje się na wzorowego dowódcę baonu. Bardzo dobry na zastępcę dowódcy pułku".



Strona tytułowa satyrycznej książki Karola Lilienfelda-Krzewskiego, wydanie z 1917 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Jesienią 1932 r. mjr Lilienfeld-Krzewski został szefem Wydziału Propagandy Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego, był również redaktorem naczelnym wydawanego przez Instytut czasopisma „Wiarus", w którym też publikował.

„Szczapa" i „Lód" Dukaja

Służba wojskowa harmonijnie, jak ujęto w cytowanej opinii, łączyła się z pracą literacką Lilienfelda-Krzewskiego. Autor „Szczapy", do którego – jak wspomniano – na zawsze już przylgnął ten pseudonim, zasiadał w redakcji piłsudczykowskiej „Drogi" – poza tym czasopismem publikował także w „Gazecie Polskiej", „Kurierze Porannym", „Wiadomościach Literackich". Napisał wstęp do własnego wyboru wypowiedzi marszałka Józefa Piłsudskiego, opublikowany w 1924 r., co miało swoją wymowę, ponieważ był to okres emigracji wewnętrznej Komendanta w Sulejówku. Nie była to pierwsza publikacja Lilienfelda związana z Piłsudskim. W 1919 r. wydał bowiem broszurę „Komendant – wychowawca" (dedykowaną Adamowi Kocowi). Treść koncentrująca się nad tym, jak Piłsudski stworzył piłsudczyków, nie jest może szczególnie oryginalna, warto może jednak wspomnieć o niej dlatego, że prawie wiek później odniesienia do jej treści znalazły się w powieści „Lód" Jacka Dukaja, porywającej, alternatywnej wizji dziejów, w której pierwsza wojna światowa nie wybuchła, Piłsudski nie rezygnuje

eprasa.pl 7a862733ee

jednak z walki – zagadka, gdzie umieści go autor „Lodu" i gdzie spotka go główny bohater, niech będzie zachętą do lektury tej pasjonującej książki.

Chociaż nie ukończył ostatecznie polonistyki, po odejściu z wojska „Szczapa" wracał czasem do badań nad historią literatury polskiej. Jednym z tego efektów była rozprawa „Broszura polityczna J.I. Kraszewskiego", opublikowana w „Księdze ku czci Józefa Ignacego Kraszewskiego", a także praca „Spór o walkę »młodych« ze »starymi«, czyli mały przewodnik po pozytywizmie warszawskim" (Warszawa 1937), w której „w oparciu o bogaty materiał dokumentacyjny, z dużą swadą dowodził ścisłych związków warszawskiego pozytywizmu z pozytywizmem europejskim, kładąc nacisk na jego podbudowę filozoficzną" (Pluta-Czachowski).

„[...] zobaczym się w błękicie..."

Kilka miesięcy przed przeniesieniem w stan spoczynku, co nastąpiło w lutym 1935 r., „Szczapa" objął stanowisko prezesa Głównej Rady Programowej Polskiego Radia. W czasie uroczystości żałobnych po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego był jednym ze sprawozdawców. I z jego to inicjatywy jako sygnał rozgłośni warszawskiej Polskiego Radia wprowadzono melodię „Pierwszej Brygady", która po raz pierwszy zabrzmiała w eterze 23 czerwca 1935 r., po raz ostatni zaś chwilę przed wysadzeniem stacji przez wycofujących się obrońców Warszawy w pierwszych dniach września 1939 r. W tym czasie mjr Lilienfeld-Krzewski, chociaż w stanie spoczynku, ponownie włożył mundur. Przydzielony do Biura Propagandy Sztabu Naczelnego Wodza dzielił jego losy i rankiem 18 września 1939 r. wraz z nim znalazł się w Rumunii.

W Bukareszcie zaangażował się w działania polityczne piłsudczyków, m.in. w początkową fazę przygotowań ucieczki z Rumunii marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. Nie uszło to uwagi polskich władz wojskowych na uchodźstwie. Na ich polecenie miał zostać wysłany do Francuskiej Afryki Północnej, zignorował jednak tę oczywistą szykanę, która oznaczałaby brak możliwości jakiejkolwiek aktywności niepodległościowej i mimo rozwijającej się już ciężkiej choroby – nowotworu gardła – w 1940 r. przedostał się do Turcji, a następnie do Palestyny. Osiadł w Jerozolimie i zaczął starać się o przydział wojskowy, czego jednak długo mu odmawiano. Nie chciał jednak pozostać bierny. Włączył się do działalności politycznej piłsudczyków w Palestynie, odpowiadając za łączność m.in. w ramach grupy określanej w dokumentach władz RP jako tzw. ośrodek dyspozycyjny, która z czasem przybrała formę organizacyjną Związku Pracy dla Państwa.

Upragniony powrót do wojska uzyskał dopiero w 1943 r. Ale był już wówczas śmiertelnie chory, dlatego przydział był jedynie symboliczny, z równoczesnym przeniesieniem w stan nieczynny. „Byłem znów u niego po śmierci Sikorskiego [...]. Krzewski już nie mógł mówić, ale i to nie wpłynęło na jego humor. Pisał karteczki, zaśmiewał się nad niektórymi swoimi spostrzeżeniami z życia szpitalnego i ze swojego raka gardła. Umierał »z fasonem«, jakby powiedział kapral Szczapa w przez niego napisanej w czasach legionowych epopei. Dał mi napisaną przez siebie kartkę: wyjątek z piosenki legionowej »zasrane nasze życie, zobaczym się w błękicie...«. Patrzył na mnie i śmiał się" – wspominał Wiktor Tomir Drymmer. Kilkanaście dni po tej rozmowie, 29 kwietnia 1944 r., mjr Lilienfeld-Krzewski zmarł. Wiele lat wcześniej zmienił wyznanie, dlatego pochowano go na cmentarzu katolickim na górze Syjon w Jerozolimie.

Był kimś nie tylko wśród piłsudczyków – bo to jemu rok później Kazimierz Wierzyński poświęcił poemat „Podzwonne za kaprala Szczapę", którego fragment niech posłuży nam za zakończenie opowieści o tym oficerze polskim, którego żydowscy przodkowie od czasów Rzeczypospolitej szlacheckiej mieszkali w Lublinie, ale wieki wcześniej wywędrowali wszak z Palestyny, do której wojenne losy rzuciły mjr. Karola Lilienfelda-Krzewskiego:

„Znam, znam ten marsz i wiem ja, iż w nim nie ustaną
I zmęczeni gdy w słomie obudzą się rano,
Będą klęli, szemrali – to mnie nie przeraża.
Powiem wam wszystko teraz, o krok od cmentarza:
W tym marszu jest jak w murach, coś co się nie zmienia,
Padną czy też nie padną, ale są z kamienia,
Poszli, wybrali drogę, może niedorzecznie.
Idą, idą, aż dojdą. Czy długo tak? Wiecznie.

To nie żaden testament. To są zwykłe rzeczy,
Moja prawda prywatna, zasady domowe,
Którym największa w świecie burza nie zaprzeczy
I tylko wiatr nasz nimi owiewa mi głowęWolność,
człowiek i ziemia – by rzecz jeszcze prościej [...]".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.



Aktorzy przedstawienia o kpr. Szczapie – członkowie Ogólnego Związku Podoficerów Rezerwy w Kole FOT. NAC

eprasa.pl 7a862733ee



XV–XIX w. / Handel Afrykanami

Czarni przeciw czarnym

Transport niewolników

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RUDOLF CRONAU



Anna Szczepańska

Nie da się zaprzeczyć, że to biali stworzyli ogromny popyt na niewolników. Gdyby jednak nie współpraca afrykańskich pośredników z handlarzami z Europy, nigdy tak wielu ludzi zakutych w kajdany nie trafiłoby za Ocean Atlantycki

W sierpniu 1619 r. statek z ponad 20 czarnoskórymi niewolnikami dobił do brzegów Nowego Świata. Afrykanie mieli pracować w osadzie Jamestown, w Wirginii. Byli to pierwsi afrykańscy niewolnicy (przynajmniej ci udokumentowani), którzy postawili stopę w Ameryce Północnej. Ich przybycie zapoczątkowało trwający dwa i pół stulecia proceder, w wyniku którego kilkanaście milionów Afrykanów zostało wywiezionych ze swoich rodzinnych stron, głównie, choć nie tylko, do Ameryki.

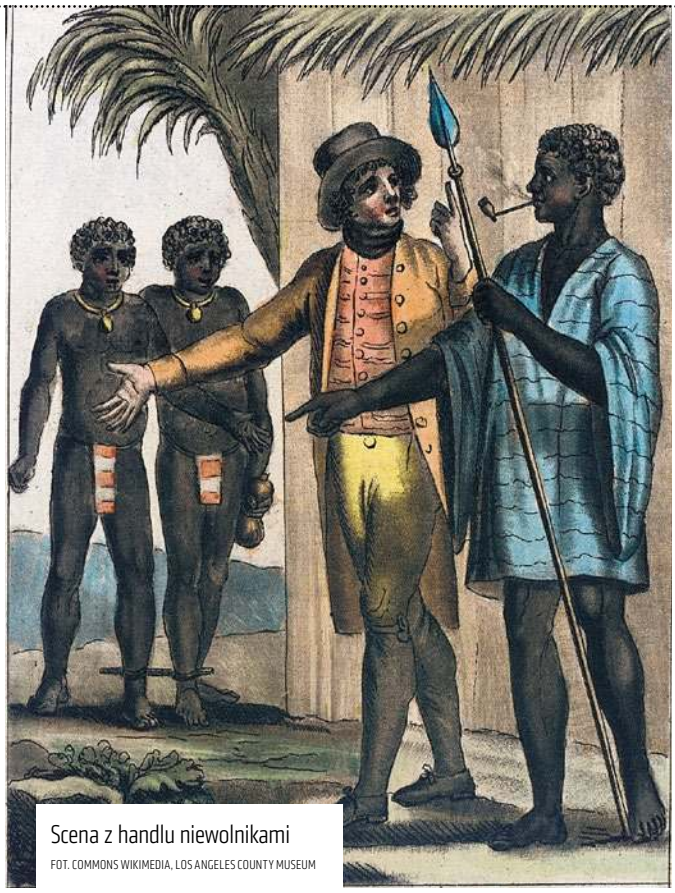
Wbrew temu, co chcą wmówić światu „postępowe" ruchy pokroju Black Lives Matter, handel niewolnikami nie jest wyłącznie zbrodnią białego człowieka, który jako jedyny ma się kajać za ból i cierpienie sprzed wieków. Aktywiści tego typu lewicowych organizacji nie chcą zauważyć, że odpowiedzialni za wywóz milionów niewolników z Afryki byli również czarni. Szacuje się bowiem, że nawet 90 proc. wszystkich niewolników zostało wywiezionych z Afryki w wyniku współpracy białych kupców z czarnoskórymi handlarzami. Bez tych pośredników oraz lokalnych przywódców handel afrykańskimi niewolnikami na tak wielką skalę nigdy nie byłby możliwy. Całkiem pokaźny udział w tym procederze mieli ponadto muzułmanie.

Zanim dotarł biały

Niewolnictwo nie narodziło się wraz z przybyciem białego człowieka do Afryki. Ten proceder jest bowiem tak samo stary jak historia ludzkości.

Szlaki handlowe, którymi pędzeni byli niewolnicy, istniały w Afryce już w starożytności. Czarni niewolnicy pojawiali się przecież w Rzymie czy na obszarze Cesarstwa Bizantyńskiego. Darmową siłę roboczą z dalszych obszarów Afryki wykorzystywano również wcześniej, w starożytnym Egipcie. Niewolników trzymali także władcy różnych państw afrykańskich. Zjawisko to nie było wów-

eprasa.pl 7a862733ee



Scena z handlu niewolnikami
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LOS ANGELES COUNTY MUSEUM

czas niczym nietypowym. Na handlu ludźmi bogaciła się mieszkająca na zachodnim wybrzeżu Czarnego Lądu ludność Bono, Aszanti, Jorubowie, Mande czy Imbangala, a także mieszkańcy wschodniej Afryki, którzy utrzymywali kontakty ze światem muzułmańskim.

Niektóre afrykańskie państwa, jak imperium Mali, państwo Aszanti, imperium Songhaju, królestwo Kongo czy Beninu, osiągnęły tak ogromną potęgę tylko dzięki temu, że na masową skalę handlowały ludźmi. Każde z tych królestw wytworzyło na przestrzeni wieków struktury administracyjne, własne języki, wierzenia oraz sztukę, w tym przedmioty z brązu, kości słoniowej, złota i terakoty. Pod rządami władców tych państw znajdowało się niejednokrotnie kilkaset tysięcy ludzi. Zanim w Afryce pojawili się Europejczycy, państwa te toczyły ze sobą wojny, a układ sił zmieniał się co kilka dekad. Część z nich, jak imperium Mali czy państwo Aszanti, przetrwała kilka wieków. Aszanti, mieszkający na terenie dzisiejszej Ghany, aż do końca XIX w. stanowili poważną konkurencję dla Wielkiej Brytanii.

Pierwszymi Europejczykami, którzy pojawili się w Afryce, byli Portugalczycy (w drugiej połowie XV w.). Nie wszyscy wierzyli jeszcze, że Ziemia jest kulą, w związku z czym ludzie z północy bali się zapuszczać daleko na południe. Kiedy jednak strach został przezwyciężony, biali szybko przekonali się, jakie bogactwa oferuje ta egzotyczna kraina. W zamian za broń, alkohol czy tkaniny Portugalczycy otrzymywali drogocenne kamienie, złoto, kość słoniową oraz przyprawy. Swoje dobra wymieniali także na niewolników. Niedługo później do Afryki zaczęli przybywać Holendrzy, Francuzi, Anglicy, Belgowie i Niemcy. Stary Świat szybko wyczuł, że na handlu z Afryką można dorobić się fortuny. Nie byłoby to jednak możliwe, gdyby nie nawiązanie relacji handlowych z miejscowymi władcami i kupcami, którzy dobrze znali interior. Pamiętajmy bowiem, że Europejczycy dopiero w XIX w. zaczęli samodzielnie eksplorować Afrykę i zbrojnie zajmować terytoria, tworząc kolonie. Wcześniej wnętrze Czarnego Lądu było dla białego człowieka jedną wielką białą plamą.

Udany biznes

Niewolnicy, których wyłapywali czarnoskórzy pośrednicy, byli sprzedawani Europejczykom już na przełomie wieków XV i XVI. Niektórych Afrykanów biali porywali sami, podczas rajdów wzdłuż zachodniego wybrzeża, jednak zdecydowaną większość kupowali od swych miejscowych wspólników, którzy znali teren i mieli kontakty sięgające zdecydowanie dalej niż skromne możliwości europejskich handlarzy, którym towarzyszyły zazwyczaj nieduże siły zbrojne.

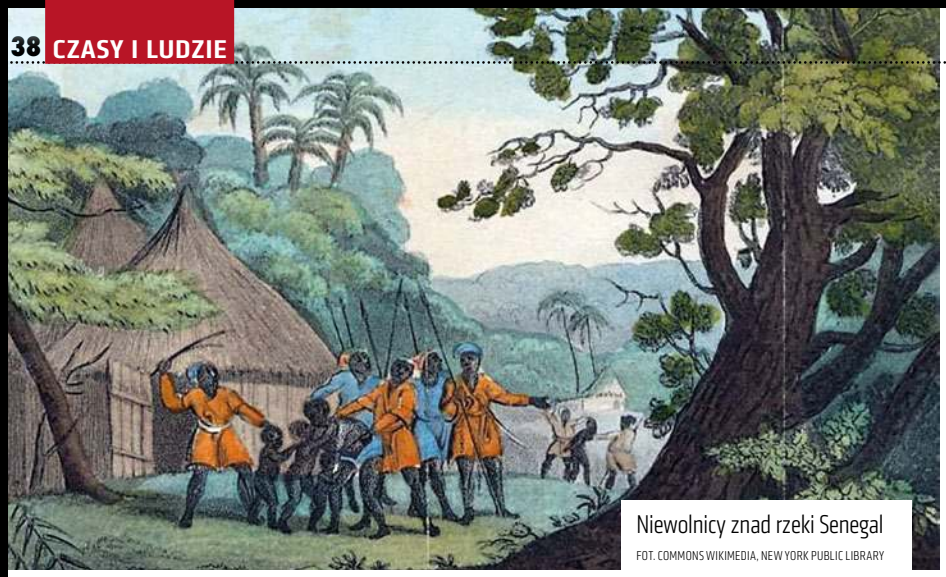
Początkowo handel niewolnikami nie miał masowego charakteru. Zapotrzebowanie na ludzi do pracy zwiększało się jednak z każdą dekadą, zwłaszcza od czasu rozwoju europejskiego osadnictwa w Ameryce Północnej. Afrykanie potrzebni byli przede wszystkim do pracy na plantacjach. Wraz z coraz większym popytem rozwijał się niewolniczy przemysł. Wydaje się jednak mało prawdopodobne, aby „zinstytucjonalizowany" proceder handlu ludźmi pojawił się w Afryce dopiero po przybyciu Europejczyków. Bardzo możliwe, że działający wtedy handlarze bazowali na istniejącym już wcześniej systemie pozyskiwania ludzi do pracy przymusowej.

Niemniej wraz z pojawieniem się białych kupców wśród Afrykanów było coraz więcej ludzi gotowych sprzedawać swych ziomków. Handlarze rozwijali więc sieci swoich „agentów", którzy sięgali coraz dalej w głąb kontynentu. Pojawiali się oni m.in. tam, gdzie toczyły się konflikty, aby wykupić jeńców wojennych. Kupowanie jeńców było prawdopodobnie najbardziej powszechną (najłatwiejszą) formą pozyskiwania niewolników. Ludzie byli także porywani. W jaki sposób? Dla przykładu: jeden klan urządzał zasadzkę na wioskę innego, z którym był skonfliktowany, a pojmanych wrogów sprzedawał handlarzom lub bezpośrednio Europejczykom.

Ludzie, którzy zostali przeznaczeni na sprzedaż, byli często „zbierani" z większych terenów i gromadzeni w jednym miejscu. Stamtąd ruszali ku zachodniemu (lub wschodniemu) wybrzeżu, na piechotę, często przykuci łańcuchami jeden do drugiego. Na miejscu przetrzymywano ich w specjalnie zbudowanych fortach, gdzie mieli czekać na przybycie statków. Kiedy te dobijały do brzegu, ich kapitanowie byli zobowiązani wypłacić lokalnym wodzom stosowny „podatek" oraz obdarować ich prezentami. Następnie dokonywali wymiany handlowej z pośrednikami.

Dzięki pracy historyków, którzy stworzyli Bazę Danych Transatlantyckiego Handlu Niewolnikami (Trans-Atlantic Slave Trade Database), możemy poznać nie tylko imiona, lecz także miejsce pochodzenia dużej liczby zniewolonych osób. Z danych, które zawiera wykaz,

eprasa.pl 7a862733ee



Niewolnicy znad rzeki Senegal

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NEW YORK PUBLIC LIBRARY

wynika, że 16 proc. wszystkich niewolników pochodziło z terenów dzisiejszej wschodniej Nigerii, a 24 proc. z Konga i Angoli. Wiemy też, że większość niewolników wysłanych za Ocean Atlantycki pochodziła z zaledwie ok. 50 grup etnicznych. To pokazuje zarazem, z których grup i z jakich regionów wywodzili się lokalni handlarze niewolników.

Afrykańskie państwa, które decydowały się współpracować z białymi handlarzami, rosły w siłę, a dzięki nowoczesnej broni podbijały kolejne terytoria i wchłaniały coraz to nowe grupy ludności. Od początku XVI w. przez następne niemal 400 lat kontynent, targany wewnętrznymi konfliktami, pustoszał. Żyjący w XVIII w. John Newton, który przez wiele lat był kapitanem statku do przewozu niewolników, sam zauważył w końcu, że „większość wojen w Afryce ustałaby, gdyby Europejczycy przestali kusić tych ludzi, oferując towary na sprzedaż. Uważam, że jeńców przeznaczonych na sprzedaż jest mniej niż zabitych [w wewnętrznych konfliktach]".

Europejczycy bez wątpienia mieli interes w podsycaniu animozji wśród afrykańskich wodzów. Zachęcali ich do nabywania towarów z północy, aranżowali sojusze wojskowe jednych przeciwko drugim, a także często zmieniali miejsca cumowania swych statków, aby skłonić poszczególnych władców do współpracy. Niemal każdy chciał przecież handlować z białymi kontrahentami, a żeby ich do tego namówić, zamierzał dostarczyć im najbardziej potrzebne towary. Oraz niewolników. Jednak wbrew temu, co mogłoby się wydawać, Europejczycy nie zawsze handlowali z Afrykanami na swoich zasadach. Układy z afrykańskimi wodzami także bywały kruche, a każdy biały handlarz stąpał po niepewnym gruncie, gdyż nie znając miejscowych zwyczajów, łatwo mógł urazić swego „wspólnika". Dlatego tak kluczową rolę w całym procesie odgrywali pośrednicy.

Szacuje się, że od chwili uruchomienia transatlantyckiego szlaku handlowego zniewolono ok. 12 mln Afrykanów. Z Czarnego Lądu do Ameryki Północnej wywieziono ok. 3,4 mln ludzi. Inni zostali sprzedani islamskim handlarzom, a jeszcze inni nie przeżyli podróży na wybrzeże, umarli z wycieńczenia lub głodu albo trafiali do pracy niewolniczej na terenie Afryki. Niektórzy natomiast woleli śmierć od zniewolenia i popełniali samobójstwo.

Gwoli sprawiedliwości dodajmy, że pojawiał się też opór. W Afryce Zachodniej i Środkowej wokół niektórych osiedli budowano fortyfikacje, wystawiano straże i werbowano wojowników, którzy mieli ostrzegać i bronić mieszkańców przed łowcami niewolników. Kiedy jeńców jednak schwytano, niejednokrotnie dochodziło do zorganizowanych buntów, poza tym pojmani na własną rękę próbowali uciekać. Rebelie miały miejsce także na statkach. Niektóre z nich kończyły się tragicznie, kiedy niewolnicy woleli rzucić się do wody i utonąć w oceanie, niż trafić do Nowego Świata. Niektóre grupy etniczne, np. mieszkające w Górnej Gwinei, uchodziły za szczególnie skore do buntów. Miejsca, gdzie mieszkali ludzie mający opinię sprawiających problemy, były po pewnym czasie na ogół omijane przez handlarzy niewolników.

Jednocześnie byli też tacy, jak żyjąca na przełomie wieków XVI i XVII królowa Angoli Ngola Ana Nzinga Mbande. Władczyni długo przeciwstawiała się portugalskiej dominacji, zwalczając przy okazji wszystkich handlarzy ludźmi na swoim terenie. To wszystko nie przeszkadzało jej jednak dokonywać „rajdów" setki kilometrów w głąb lądu i brać w niewolę obcych ludzi, których następnie sprzedawała tym samym, zwalczanym u siebie Portugalczykom. Co więcej, kiedy została ochrzczona, zniewoliła wszystkich szamanów, którzy sprzeciwili się jej nowej religii, i ich także sprzedała Europejczykom. Nzinga była wielkim wojownikiem i zdolnym przywódcą, lecz polityka, którą prowadziła, w końcu obróciła się przeciwko niej, a Portugalczycy zajęli także jej ziemie.

Podwójne standardy

Coraz więcej mieszkańców Afryki zdaje sobie sprawę z tego, że bez pomocy ich przodków niewolnictwo nie rozwinęłoby się w biznes o takiej skali. Niektórzy wstydzą się tego dziedzictwa, inni chcą je wyprzeć naiwnym przekonaniem, że wina białych ludzi i tak jest większa, ponieważ gdyby Europejczycy nie potrzebowali rąk do niewolniczej pracy, to cały proceder nie miałby miejsca. Trudno się z tym zgodzić.

Debata dotycząca winy afrykańskich pośredników nasiliła się w ostatnich latach, gdy Amerykanie będący potomkami niewolników zaczęli domagać się wypłacenia im odszkodowań od państwa amerykańskiego. Natomiast inni, których pradziadowie trudnili się handlem ludźmi, zaczęli stawiać pytania, czy oni także mieliby „dorzucić się" do zadośćuczynienia z racji zbrodni swoich przodków. Nigeryjski polityk Donald Duke, którego przodkowie byli zaangażowani w handel niewolnikami, na pytania dotyczące przeszłości swojej rodziny odpowiadał, że nie wstydzi się jej, gdyż sam „nie był w to bezpośrednio zaangażowany", a ponadto tematem debaty nie są wydarzenia z Afryki, lecz złe traktowanie i niesprawiedliwość, których czarna ludność doznała w Stanach Zjednoczonych. Inni potomkowie handlarzy ludźmi mawiają z kolei, że ich przodkowie nie mogli przewidzieć, jak ich współbracia będą traktowani za wielką

eprasa.pl 7a862733ee



Mapa zachodniej Afryki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GEOGRAPHICUS.COM

wodą, a jeszcze inni, że winę ponoszą tylko biali handlarze, którzy przekupywali, kogo tylko się dało.

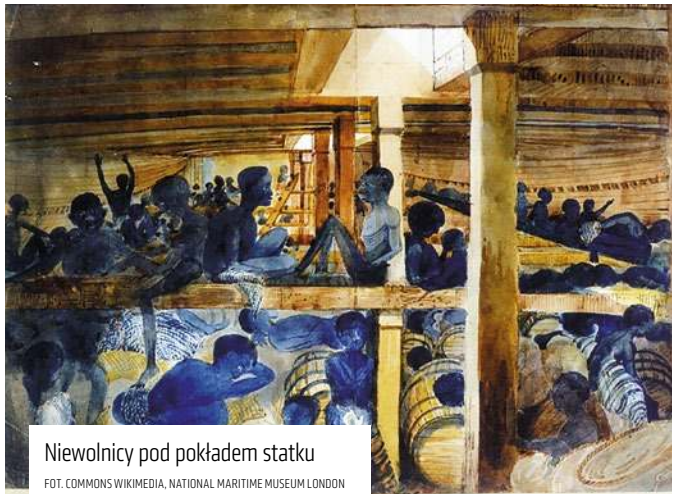
Jednak część Afrykanów doskonale zdaje sobie sprawę ze skali przewin swych przodków. Na tle przytoczonych wyżej wyjaśnień uderzające było zachowanie prezydenta Beninu Mathieu Kérékou, który w roku 1999, w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych, podczas spotkania z Afroamerykanami, klęknął i prosił o wybaczenie za „haniebną i ohydną rolę", którą Afrykanie odegrali w handlu niewolnikami.

Nie jest to odosobniony przypadek. Pochodząca z Nigerii Adaobi Tricia Nwaubani, pisarska i dziennikarka, także odważnie mierzy się z przeszłością swojej rodziny. Jej pradziadek był bowiem znanym w Nigerii pośrednikiem, który wyłapywał ludzi i sprzedawał ich białym handlarzom. Miał swoich „agentów" na rozległym terenie i cieszył się szacunkiem europejskich kontrahentów. Nwaubani pisze o tym ze wstydem, uznając jego współudział w okrutnym procederze. Wstyd czują też inni. Nwaubani zauważa w swoich artykułach, że niektóre znane jej osoby, powołując się na fragment Księgi Wyjścia („[Bóg] karze występek ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia"), uważają, że problemy współczesnej Afryki to kara za grzechy przodków, w tym za udział w handlu ludźmi.

Czy Afrykanie faktycznie nie mieli pojęcia o tym, czym jest niewolnictwo i jak cierpią ich pobratymcy? Amerykański historyk i krytyk literacki (notabene czarnoskóry, co jest jednak istotne w tym kontekście), Henry L. Gates Jr., autor artykułu pt. „Ending the Slavery Blame-Game" („Zakończmy przepychanki o winę za niewolnictwo"), pisze: „Wielu należących do elity Afrykanów odwiedzało Europę w tamtej epoce [tj. w wiekach XVII–XVIII], podróżując na statkach z niewolnikami […]. Na przykład gdy Antonio Emanuele Ne Vunda, ambasador Kongo przy Watykanie, udał się do Europy w 1604 r., najpierw zatrzymał się w Brazylii, gdzie doprowadził do uwolnienia rodaka, który został niesłusznie zniewolony. Afrykańscy monarchowie tymi samymi szlakami niewolniczymi wysyłali również swoje dzieci, aby kształciły się w Europie. Były ponadto tysiące byłych niewolników, którzy wrócili, aby osiedlić się w Liberii i Sierra Leone. Innymi słowy, »szlak atlantycki« był czasami ulicą dwukierunkową. W tych okolicznościach trudno twierdzić, że Afrykanie byli nieświadomi lub niewinni".

Henry L. Gates pisze ponadto, że „rola Afryki w handlu niewolnikami była w pełni rozumiana i otwarcie uznawana przez samych Afroamerykanów jeszcze przed wojną secesyjną". Co więcej, żyjący w Stanach Zjednoczonych w połowie XIX w. niewolnicy uważali nawet, że nie ma dla nich powrotu do Afryki, gdyż tak jak w USA nie są uznawani za pełnoprawnych ludzi, tak samo będą traktowani w Afryce, gdyż dla czarnych handlarzy są tylko towarem na sprzedaż. Dyskusja na temat udziału Afrykanów w handlu niewolnikami stała się zatem tematem tabu znacznie później, i to – jak pisze Gates – przede wszystkim w samych USA (a nie w Afryce). To, że jest to niewygodny temat, widać choćby po liczbie dostępnych materiałów – najwidoczniej badacze niewolnictwa o wiele bezpieczniej czują się, pokazując jedynie zbrodnie białych handlarzy.

Tymczasem rozwiązanie tej kwestii – komu przypisać winę za niewolnictwo – wydaje się dosyć proste. Odpowiedź brzmi bowiem: obydwu stronom. Tak rozległy proceder handlu ludźmi nie istniałby bez zapotrzebowania ze strony państw kolonialnych, a także nie byłby możliwy, gdyby nie zaangażowanie miejscowych, czarnoskórych pośredników.



Niewolnicy pod pokładem statku

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL MARITIME MUSEUM LONDON

© Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Campbell J., ***„Confronting Africa's Role in the Slave Trade"***; *Gates H.L.*, ***„Ending the Slavery Blame-Game"***; *Nwaubani A.T.*, ***„My Great-Grandfather – the Nigerian Slave-Trader"***; *Nwaubani A.T.*, ***„When the Slave Traders Were African"***; *Sieff K.*, ***„An African country reckons with its history of selling slaves".***

eprasa.pl 7a862733ee

Wywiad / Z dr. Kimmo Rentolą, autorem książki „Finlandia kontra Stalin”



rozmawia Piotr Włoczyk

Fińska trauma Kremla



Fiński żołnierz Rájá-Jovnna w Laponii w towarzystwie renifera, 1944 r. FOT. OSWALD HEDENSTRÖM MILITARY MUSEUM OF FINLAND

PIOTR WŁOCZYK: Wiemy, że los Finlandii wisiał na włosku na przełomie lat 1939 i 1940, a następnie pod koniec wojny kontynuacyjnej (1941–1944). Tymczasem – jak pisze pan w swojej książce – „Finlandia ledwie ocalała w roku 1948”...

DR KIMMO RENTOLA: Sowieci byli wtedy bliscy zamienienia Finlandii w „demokrację ludową”.

Po tym, jak we wrześniu 1947 r. w życie wszedł pokój paryski, Sowieci postanowili na nowo ukształtować relacje z Finlandią. Stalin chciał sojuszu wojskowego z Helsinkami, który pozwoliłby na zdominowanie nas. Na wypadek, gdyby fińskie władze powiedziały „nie”, Moskwa miała w zanadrzu plan zainstalowania u nas „demokracji ludowej”.

Stalin na pewno rozumiał, z czym to się może wiązać...

Oczywiście. Zdecydowana większość fińskiego społeczeństwa i klasy rządzącej była przeciw takiemu „sojuszowi”. Ostatecznie jednak prezydentowi Juho Paasikiviemu udało się przekonać Sowietów, by umowa wyglądała inaczej. Stanęło na tym, że „sojusz” zadziałałby tylko, jeżeli zachodnie państwa zaatakowałyby ZSRS przez terytorium Finlandii.

Jak prezydentowi Paasikiviemu udało się przekonać do tego Moskwę?

Sowieci doskonale pamiętali swoje doświadczenia z okresu drugiej wojny światowej, gdy Finowie byli w stanie dwukrotnie powstrzymać uderzenia Armii Czerwonej – najpierw w trakcie wojny zimowej, a następnie latem 1944 r. Stalin rozumiał, że jeżeli będzie się starał przymusić Finlandię do zawarcia pełnego sojuszu wojskowego, to pochłonie to mnóstwo zasobów, sił militarnych i będą z tego same problemy. Zdecydował więc podpisać taki ograniczony układ, który był dla Finów maksimum, na co mogli się zgodzić. Poza tym widział już na horyzoncie inne kryzysy – m.in. jugosłowiański i berliński – więc stwierdził, że na północy lepiej mieć spokój.

Stalin powiedział kiedyś, że Hitler był geniuszem, ale nie wiedział, kiedy się zatrzymać. Jak widać, sowiecki dyktator doskonale wiedział, kiedy powiedzieć sobie „dość”.

Tak, on był ostrożny, choć również jemu zdarzały się błędy. Stalin wiedział też doskonale, że taka nieidealna umowa z Finlandią wcale nie oznacza, iż w przyszłości nie będzie mógł wysunąć wobec niej kolejnych żądań.

W książce kreśli pan szerokie tło tych wydarzeń, zaczynając od okresu, gdy na początku XIX w. Finlandia przeszła – z rąk Szwedów – pod władzę Rosji. Relacje fińsko-rosyjskie nie wyglądały źle, szczególnie na tle sytuacji Polaków. Mieliście całkiem sporo autonomii, Rosjanie np. nie zwalczali języka fińskiego. Z czego to wynikało?

Fiński nacjonalizm, gdy rodził się w pierwszej połowie XIX w., nie był postrzegany przez Rosjan jako zagrożenie. Uważali oni, że jeżeli fiński nacjonalizm, a wraz z nim język, się rozpowszechni, to ograniczy to szwedzkie wpływy i w przyszłości utrudni Szwedom ewentualne próby przywrócenia zwierzchności nad Finlandią. Tymczasem Rosjanie od początku uważali polski nacjonalizm za zjawisko bardzo groźne. Dopiero na początku XX w. Rosjanie próbowali ograniczyć fiński nacjonalizm, jednak wtedy było już za późno.

Co ciekawe, Finowie nie byli wciągani do rosyjskiej armii – płaciliśmy specjalny podatek, by nie dochodziło do takich sytuacji. I dlatego w praktyce nie braliśmy udział w wielkiej wojnie.

Ale jednak wasz słynny marszałek Carl Gustaf Mannerheim służył w rosyjskiej armii...

eprasa.pl 7a862733ee

Szkoły oficerskie przyjmowały chętnych Finów, ale nie było mowy o braniu siłą w kamasze.

W 1918 r. doszło w Finlandii do kilkumiesięcznej wojny domowej między białymi a czerwonymi. Ci ostatni oczywiście przegrali. Jak to wpłynęło na relacje z czerwoną Moskwą?

Wojny domowe w Finlandii i Rosji potoczyły się diametralnie różnie. Oczywiście w Moskwie bolszewicy negatywnie postrzegali stronę, która zwyciężyła w Finlandii i relacje między oboma krajami były w dwudziestoleciu międzywojennym raczej chłodne. Prawdę mówiąc, sytuacja przypominała to, co mamy dziś, odkąd Finlandia dołączyła do NATO – zamknięta granica i praktycznie brak handlu (śmiech).

W porównaniu do II RP komuniści byli w przedwojennej Finlandii dosyć mocni.

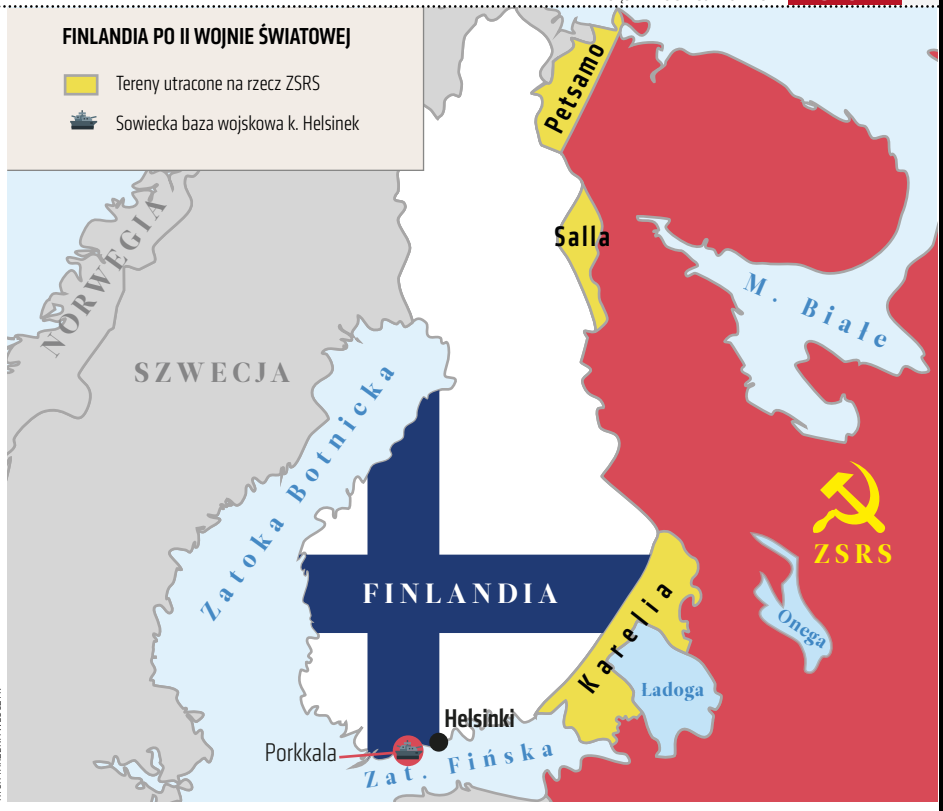
Czerwoni dzielili się u nas na socjaldemokratów oraz komunistów i faktycznie ci ostatni byli u nas dużo silniejsi niż w innych krajach nordyckich. W obozie białych widać było silne antykomunistyczne nastroje, ale Finlandia uniknęła losu innych państw europejskich, w których do władzy doszły prawicowe dyktatury. Na początku lat 30. było bardzo blisko realizacji takiego scenariusza, ale jednak na szczęście udało się utrzymać demokrację. W innym przypadku obawiam się, że nasz los w trakcie drugiej wojny światowej byłby inny – gorszy.

W jakim sensie?

W trakcie wojny wielką siłą Finlandii było to, że zdecydowana większość społeczeństwa popierała rząd. Gdybyśmy mieli prawicową dyktaturę, to myślę, że Sowietom byłoby łatwiej złamać ducha oporu Finów.

Kiedy dokładnie Stalin postanowił zaatakować Finlandię?

Dosyć późno. Stalin podjął decyzję na początku listopada 1939 r., jakieś trzy tygodnie przed atakiem. Sowieckie władze uważały, że pokonanie nas nie będzie większym problemem. Nasi przeciwnicy wciąż żyli zwycięstwem w Polsce, które przyszło im łatwo w związku z tym, że to Niemcy złamali polską armię. Myśleli, że w Finlandii też nie napotkają większego oporu.



RYS. MARZENA WŁOCZYK

A kiedy rząd fiński zrozumiał, że będzie następnym celem?

Również dosyć późno. Sowieci zorganizowali prowokację graniczną cztery dni przed atakiem. Dopiero wtedy fiński rząd zrozumiał, że szykuje się coś naprawdę złego.

Ale na szczęście Finlandia przygotowywała się na ciężkie czasy. W październiku, gdy rozpoczęły się w Moskwie negocjacje z Sowietami, Helsinki na wszelki wypadek zmobilizowały armię. Więc gdy Sowieci uderzyli, mieliśmy już na granicy żołnierzy.

Stalin nie docenił ducha oporu Finów. Czy jednak fiński rząd był pewien, że armia nie „pęknie"?

Prawdę mówiąc, nasze władze wcale nie były przekonane, że uda się przetrwać uderzenie Sowietów. Nastroje nie były zbyt dobre i Finowie liczyli na porozumienie.

Wiele jednak zmieniło utworzenie przez Sowietów 1 grudnia 1939 r. marionetkowego rządu Ottona Kuusinena...

Tak. Przed utworzeniem tego tworu niektórym mogło się wydawać, że Sowietom zależy głównie na „korekcie" przebiegu granicy. Jednak po tym, gdy okazało się, że Stalin ma już przygotowany „rząd", który miałby przejąć władzę w Helsinkach, Finowie widzieli, że to walka na śmierć i życie.

Czyli powołanie rządu Kuusinena było ogromnym błędem ze strony Stalina.

Bez wątpienia. Sowieci pamiętali, że w Finlandii doszło do wojny domowej i czerwoni wciąż byli tam silni. Uważali, że powołany przez nich rząd zyska popularność. Tymczasem nawet w środowisku czerwonych widać było spory sceptycyzm wobec ZSRS – ludzie wiedzieli, że w czasie terroru coś złego stało się z fińskimi komunistami, którzy pozostali w Sowietach. Nie było pewności, co do ich losu, ale skoro kompletnie urwał się z nimi kontakt, to podejrzenia prowadziły w jedną stronę...

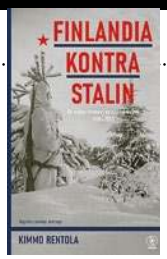
I dlatego fińscy komuniści generalnie nie byli zbyt zainteresowani pomaganiem Armii Czerwonej.

A niektórzy nawet walczyli z Sowietami! To się chyba nie zdarzyło nigdzie indziej na świecie.

W książce sugeruje pan pewną zależność między zbrodnią katyńską a wojną zimową. Co ma pan na myśli?

Sowieci potrzebowali więcej miejsca w obozach jenieckich, ponieważ zakładali rozgromienie Finów. To przyspieszyło

eprasa.pl 7a862733ee



KIMMO RENTOLA
„FINLANDIA KONTRA STALIN"
REBIS

decyzję o zgładzeniu Polaków – została ona podjęta w ostatnich dniach trwania wojny zimowej. Stalin był wówczas wściekły i chciał, by ktoś zapłacił za to własną krwią. Myślę też, że zdecydował o wymordowaniu oficerów, bo chciał się upewnić, że ci Polacy nigdy nie będą dla niego takim problemem jak Finowie.

Wojna zimowa nie zakończyła się po myśli Stalina. Finlandia utraciła niemałą część terytorium, ale jednak uratowała niepodległość. Czy Finowie byli zadowoleni z porozumienia z Moskwą?

Nie, Finowie byli generalnie przybici. Straciliśmy duże połacie kraju i wielu ludzi. Ale z drugiej strony ludzie rozumieli, że to się mogło skończyć dużo gorzej.



Prezydent Finlandii Urho Kekkonen podczas spotkania z Nikitą Chruszczowem, 1960 r. FOT. FINLANDS RIKSDAG

Tej lekcji Kreml nie zapomniał chyba do dziś?

Na to wygląda. Mołotow został pod koniec życia [zmarł w 1986 r. w wieku 96 lat – przyp. red.] zapytany, dlaczego Kreml postanowił zostawić Finlandię w spokoju. Odpowiedział, że to była mądra decyzja – Finowie są tak uparci, że byliby wiecznie jątrzącą się raną w sowieckim ciele. Pamiętał o tamtej lekcji niemal pół wieku po wojnie…

Dość szybko doszło do „dogrywki". Czy w 1941 r. atak na ZSRS wzbudzał w Finlandii jakieś większe kontrowersje?

Bez wojny zimowej Niemcy mieliby duże problemy, by przekonać Finów do zaangażowania się w wojnę z Sowietami. Ale ponieważ mieliśmy za sobą to doświadczenie, Niemcy nie musieli długo namawiać fińskich władz. Było oczywiste, że przy pierwszej nadarzającej się okazji Finlandia będzie chciała odzyskać utracone terytoria. Decyzję podjęło bardzo wąskie grono polityków: marszałek Mannerheim, prezydent Risto Ryti oraz przywódca socjaldemokratów.

Czy słychać było głosy sceptyczne, argumentujące, że Niemcy nie dadzą rady pokonać tak ogromnego i ludnego państwa?

Na początku raczej nie było takich głosów. Fińskie władze zrozumiały, że są po stronie przegrywającej wojnę dopiero po bitwie o Stalingrad.

Proces wychodzenia Finlandii z wojny to fascynujący rozdział historii. Trzeba uczciwie przyznać, że Finowie mieli szczęście do bardzo sprawnych elit politycznych.

Na dobre zaczęło się to jesienią 1943 r. Początkowo Finowie nie chcieli się zgodzić na sowieckie żądania: powrotu do granicy ustalonej w wyniku wojny zimowej oraz pewnych dodatkowych ustępstw terytorialnych. Finowie potrzebowali trochę czasu, by zrozumieć, że stracą wszystko, co zajęli w 1941 r.

Problemem było jednak to, że w naszym kraju stacjonowało ok. 300 tys. niemieckich żołnierzy. Władze w Helsinkach musiały zatem czekać na odpowiedni moment, gdy Niemcy będą na tyle słabi, że nie zdecydują się przeciwdziałać, a Sowieci nie będą jeszcze na tyle potężni, by przełamać fińskie linie.

W książce wskazuje pan, że powstanie warszawskie mogło odegrać pewną rolę w wyjściu Finlandii z wojny. Jak to rozumieć?

Powstanie warszawskie popsuło relacje ZSRS z Zachodem, szczególnie z Brytyjczykami. Stalin potrzebował jakiegoś gestu, by pokazać, że jednak jest politykiem umiarkowanym. Wrócił więc do warunków pokoju z Finlandią uzgodnionych z zachodnimi mocarstwami w trakcie konferencji w Teheranie. Chciał pokazać, że jest zdolny do rozsądnej polityki, jeżeli druga strona zachowuje się podobnie. Równolegle krytykował Polaków za to, że są ekstremistami. Uważam więc, że Polacy, poprzez wywołane w Warszawie powstanie, pomogli w tym sensie Finlandii uzyskać akceptowalne warunki pokoju.

Czyli?

Granica miała przebiegać z grubsza tak, jak po wojnie zimowej, do tego dochodziły utrata rejonu Petsamo (ros. Pieczenga) dającego dostęp do Oceanu Arktycznego, oraz pozwolenie na zbudowanie ogromnej bazy wojskowej tuż obok Helsinek. Poza tym Finlandia miała zapłacić dosyć wysokie reparacje. To nie było nic przyjemnego, ale Finowie mogli jednak żyć z takimi warunkami.

W ten sposób położone zostały fundamenty pod tzw. finlandyzację. Jak ta polityka z okresu zimnej wojny jest dziś oceniana w pańskim kraju?

Ludzie wiedzą, że nie było innej opcji, szczególnie w latach 50. i 60. Byliśmy pod ścianą. Bywały momenty, gdy ze strony Finlandii dochodziło do zbyt dużego zaspokajania sowieckich oczekiwań, ale generalnie Finowie widzą w finlandyzacji odbicie ówczesnych realiów.

Jak tłumaczy pan to, że Finlandii udało się uratować niepodległość, sąsiadując z czerwonym supermocarstwem?

Myślę, że jednym z powodów było to, że Finlandia straciła w trakcie wojny tylko 2 tys. cywili. Z tego powodu nie było u nas nieprzejednanej nienawiści wobec Sowietów. Oczywiście utrata 100 tys. żołnierzy była dużym ciosem, ale jednak ludzie są przyzwyczajeni, że na wojnie giną ludzie w mundurach. Dużo gorzej jest, jeżeli agresor morduje masowo cywili, a to – jak już wspomniałem – nie miało u nas miejsca. Dzięki temu społeczeństwu łatwiej było w stanie zaakceptować ustępstwa wobec Moskwy. Ponadto Sowieci czuli wobec nas respekt i uważali, że zagarnięcie Finlandii wiązałoby się dla nich ze zbyt dużym bólem. Oby te uczucia wciąż były żywe na Kremlu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Kimmo Rentola jest historykiem, wykładowcą Uniwersytetu Helsińskiego, znawcą XX-wiecznych dziejów Finlandii i relacji z ZSRS. W Polsce właśnie ukazała się jego najnowsza książka – „Finlandia kontra Stalin".

eprasa.pl 7a862733ee

REPUBLIKA

„Rozmawiam o polityce. Z moimi gośćmi komentuję najważniejsze wydarzenia z kraju i z zagranicy. Zadaję konkretne pytania i oczekuję rzeczowych odpowiedzi. Zapraszam do Republiki od wtorku do czwartku o godzinie 17:35, a w piątki o 18:20" – Miłosz Kłeczek

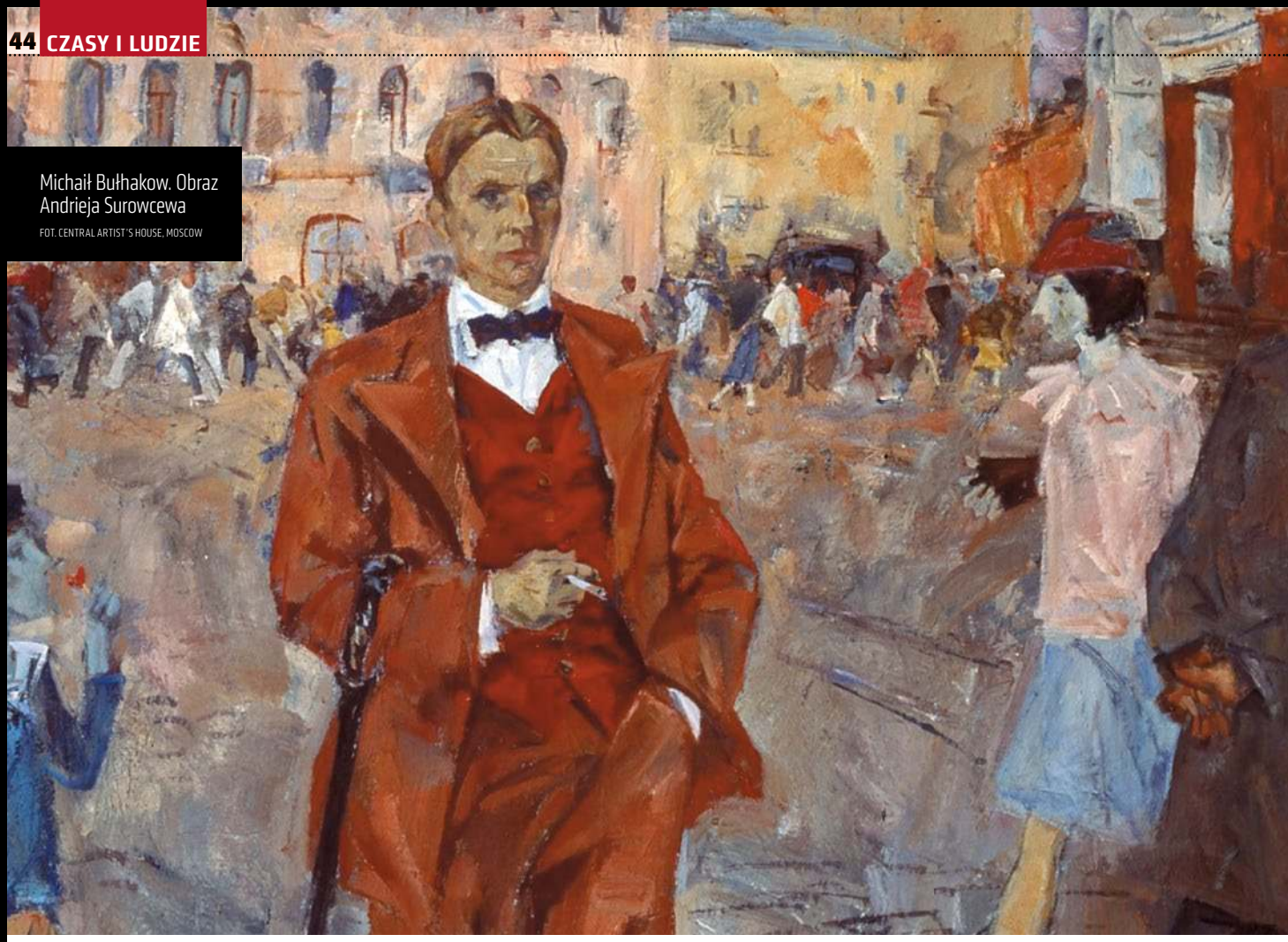


RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 7a862733ee



Michaił Bułhakow. Obraz Andrieja Surowcewa

FOT. CENTRAL ARTIST'S HOUSE, MOSCOW

XX w. / Pisarze w ZSRS

Stalin i literaci



Mikołaj Iwanow

Sowiecki tyran potrafił bez mrugnięcia okiem wysłać do łagru nawet najbardziej oddanego pisarza. A jednak do niektórych twórców miał zagadkową słabość...

Był wieczór 8 kwietnia 1930 r. O godz. 18 w mieszkaniu Michaiła Bułhakowa (uważanego dziś za największego rosyjskiego pisarza XX w.) zadzwonił telefon. Słuchawkę podniosła żona pisarza, Liuba. Dzwoniący przedstawił się jako pracownik Komitetu Centralnego partii i poprosił do telefonu Bułhakowa.

– Michaił Afanasjewicz Bułhakow?

– Tak, tak.

– Teraz będzie z wami rozmawiał towarzysz Stalin.

– Co? Stalin? Stalin?

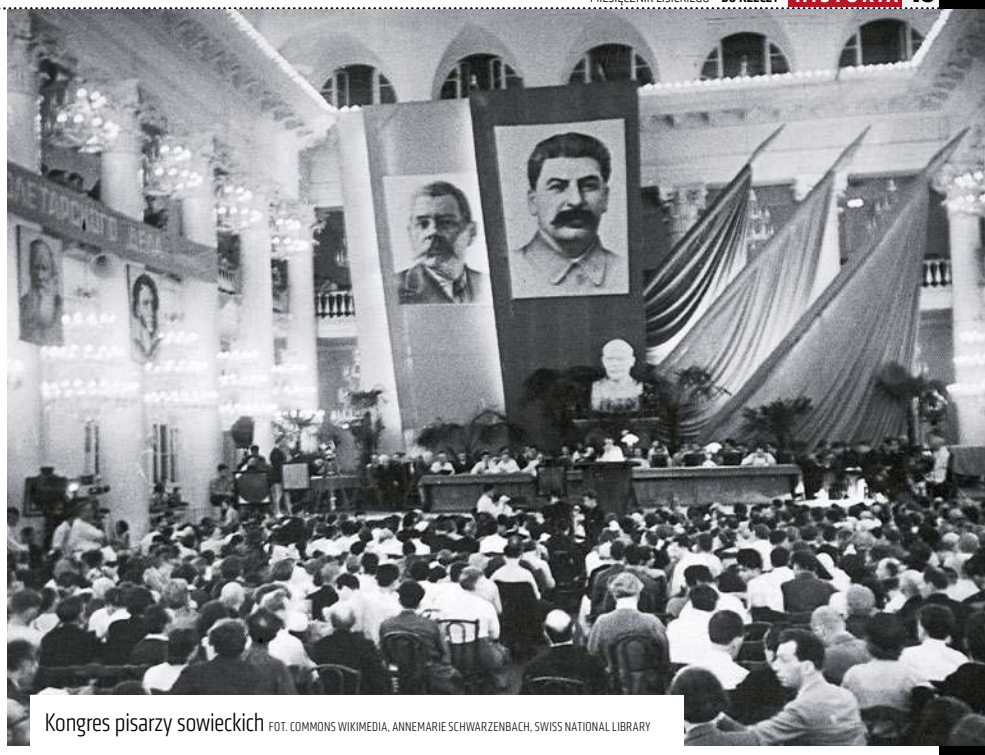
Bułhakow był całkowicie pewien, że to mistyfikacja, ale czekał. Po dwóch–trzech minutach w słuchawce zabrzmiał chrypiący głos z wyraźnie gruzińskim akcentem.

– Tak, Stalin z tobą rozmawia. Witam, towarzyszu Bułhakow.

– Witam, Józefie Wissarionowiczu.

– My tu w KC otrzymaliśmy twój list.

eprasa.pl 7a862733ee



Kongres pisarzy sowieckich FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANNEMARIE SCHWARZENBACH, SWISS NATIONAL LIBRARY

Czytaliśmy go z towarzyszami z KC. Ogólnie zrobił na nas pozytywne wrażenie, ale jedno nas zasmuciło. Czy to prawda, że prosisz o wyjazd za granicę? Co, naprawdę masz nas dość?

Bułhakow po latach wspominał, że był całkowicie zaskoczony telefonem, zupełnie nie spodziewał się takiego pytania i nie odpowiedział od razu.

– Ostatnio dużo myślałem o tym, czy rosyjski pisarz może żyć poza swoją ojczyzną. A wydaje mi się, że nie może.

– Masz rację. Ja też tak myślę. Gdzie chcesz pracować? W Teatrze Artystycznym?

– Tak, chciałbym. Ale złożyłem podanie do MChAT-u (Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny). Odmówiono mi.

– Proponuję ponownie złożyć tam wniosek. Wydaje mi się, że się zgodzą. Przepraszam, towarzyszu Bułhakow, że nie mogłem szybko odpowiedzieć na Twój list, ale jestem bardzo zajęty. Twój list bardzo mnie zainteresował. Chciałbym porozmawiać z Tobą osobiście. Nie wiem, kiedy będzie to możliwe, bo... Powtarzam, jestem bardzo zajęty, ale powiadomię Cię, kiedy będę mógł się z Tobą spotkać. W każdym razie postaramy się coś dla Ciebie zrobić. Chcielibyśmy się z Tobą spotkać i porozmawiać.

– Tak, tak! Józefie Wissarionowiczu, naprawdę muszę z Wami porozmawiać.

– Tak, zdecydowanie musimy znaleźć czas i się spotkać. A teraz życzę Ci wszystkiego najlepszego.

Pogrzebanie żywcem

Do tego obiecanego przez Stalina spotkania nigdy nie doszło, jednak sytuacja Bułhakowa zmieniła się diametralnie. Dostał pracę kierownika działu literackiego w MChAT, a był to przecież jeden z czołowych rosyjskich i sowieckich teatrów (Konstantin Stanisławski był kierownikiem artystycznym tej słynnej instytucji kultury). Dodatkowo do repertuarów moskiewskich teatrów wróciły niektóre ze sztuk Bułhakowa.

Wspomniany w przytoczonej wyżej rozmowie list Bułhakow wysłał do Komitetu Centralnego partii 28 marca 1930 r. Pisarz charakteryzuje w nim swoją sytuację słowami: „Teraz jestem zniszczony"; „Moje utwory są uznawane przez krytyków literackich za beznadziejne"; „Oskarżają mnie o antysowieckość i wrogość wobec własnego narodu". Ta sytuacja – pisał – „wprowadza mnie w stan niezdolności do pisania... jest to dla mnie równoznaczne z pogrzebaniem żywcem".

Bułhakow w swym liście zamieścił liczne cytaty z druzgocąco negatywnych, kłamliwych jego zdaniem, recenzji swoich dzieł. Pisarz alarmował: „Na podstawie posiadanych dokumentów dowodzę, że cała prasa ZSRS, a wraz z nią wszystkie instytucje, które otrzymały kontrolę nad repertuarem teatralnym, przez wszystkie lata mojej twórczości literackiej jednogłośnie i z niezwykłą wściekłością argumentowały, że dzieła Michaiła Bułhakowa nie mogą istnieć w ZSRS".

Prawdopodobnie na Stalinie wrażenie zrobiła niecodzienna odwaga Bułhakowa. W liście do sowieckiego satrapy pisarz otwarcie nazywał siebie przedstawicielem inteligencji rosyjskiej, która w warunkach „dyktatury proletariatu nie mogła sobie znaleźć miejsca w nowej rzeczywistości, która bardzo boleśnie odczuwała dyktat partii". Pisał, że jego sztuki teatralne „Dni Turbinych", „Bieg" i powieść „Biała Gwardia" pokazują cały wachlarz odcieni tego bólu i absolutnie nie są kpiną z władzy sowieckiej, jak próbowała przedstawić to oficjalna krytyka partyjna.

Pisarz apelował w liście do KC, by traktować go jak pisarza rosyjskiego, który ma swoje prawa. W razie jednak uznania go za autentycznego wroga nowej władzy Bułhakow postawił sprawę wprost: „Proszę KC i rząd ZSRS, by nakazać mi jak najszybsze opuszczenie Związku Sowieckiego w towarzystwie mojej żony. Apeluję do poczucia humanitaryzmu rządu sowieckiego i proszę mnie, pisarza, który nie może być przydatny we własnym kraju, po prostu uwolnić".

„Batum" zagrożeniem

Stalin niewątpliwie doceniał talent pisarski Bułhakowa. Sądził prawdopodobnie, że wypuszczenie tak wielkiego pisarza poza granice kraju byłoby błędem, który zaszkodzi jego władzy. Dlatego Bułhakowowi w Związku Sowieckim stworzono dość dogodne warunki bytu, by mógł się skupić na twórczości. Jego sztuki wróciły do repertuarów teatrów, ale tylko moskiewskich. Na terenie reszty Związku Sowieckiego jego dzieła wciąż były na czarnej liście. Wystawienie najsłynniejszej sztuki pisarza – „Dni Turbinych" – było dozwolone jedynie

eprasa.pl 7a862733ee

w jednym teatrze w ZSRS: we wspomnianym już MChAT. Paradoksalnie była to ulubiona sztuka Stalina, który – jak odnotowują świadkowie – obejrzał to przestawienie 15 razy!

Inną sztukę Bułhakowa, „Mieszkanie Zojki", wystawiono w Teatrze im. Jewgienija Wachtangowa w Moskwie. Jeden z uczestników tego spektaklu, aktor Oleg Leonidow, po latach wspominał: „Stalin był dwukrotnie na »Mieszkaniu Zojki«. Mówił po spektaklu z gruzińskim akcentem: »Dobra sztuka, dobra gra aktorów! Nie rozumiem, w ogóle nie rozumiem, dlaczego ktoś chce tej sztuki zakazać... Nie widzę w niej niczego złego«".

Spory wpływ na tę swoistą rehabilitację Bułhakowa wywarł list Maksima Gorkiego, pierwszego sowieckiego pisarza proletariackiego. Jego autorytet w partii i państwie był ogromny. Gorki pisał do Stalina: „To właśnie krytyka sowiecka stworzyła z »Dni Turbinych« sztukę antysowiecką. Bułhakow »nie jest moim bratem ani swatem« i nie mam najmniejszej ochoty go bronić. Ale jest wyjątkowo utalentowanym pisarzem, a nie mamy ich zbyt wielu. Nie ma sensu robić z nich »męczenników za ideę«. Wroga należy albo zniszczyć, albo ponownie wyedukować. W tym wypadku jestem zwolennikiem reedukacji. To jest łatwe. Narzekania Bułhakowa sprowadzają się do prostego motywu: nie ma z czego żyć. Wydaje się, że zarabia 200 rubli miesięcznie".

Gwoli sprawiedliwości odnotujmy, że Bułhakow pozostał w kraju całkiem przypadkiem. W czasie wojny domowej znajdował się bowiem w szeregach białych – redagował antybolszewicką gazetę na południu Rosji. Nie zdążył się ewakuować, ponieważ zachorował na tyfus. W Paryżu miał dwóch braci, z którymi utrzymywał cały czas kontakt. Po rozmowie ze Stalinem dwukrotnie zwracał się o pozwolenie na wyjazd za granicę. Odmówiono mu. Został natomiast przyjęty do Związku Pisarzy ZSRS, co ostatecznie ugruntowało jego sytuację materialną.





Michaił Bułhakow i Bruno Jasieński

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, POCZTA SERBII I KUJAWSKO-POMORSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Stalin w obawie przed wykryciem przez Bułhakowa obciążających go dokumentów uznał eskapadę za niebezpieczną

W lutym 1936 r. na scenie MChAT ukazała się sztuka Bułhakowa o życiu i twórczości Molière'a pt. „Niewola świętych". Premiera sztuki odbyła się po prawie pięciu latach prób i okazała się ogromnym sukcesem. Jednak cenzorzy partyjni byli innego zdania. Po siedmiu zaledwie przedstawieniach zakazano dalszych spektakli. „Prawda" opublikowała druzgocący artykuł na temat tej „fałszywej, reakcyjnej i bezwartościowej" sztuki. Po artykule w „Prawdzie" Bułhakow opuścił MChAT i rozpoczął pracę w Teatrze Bolszoj jako librecista i tłumacz.

W 1939 r. pracował nad sztuką o młodzieńczych latach Stalina pt. „Batum", która w warunkach wielkiego terroru miała się stać swoistą podstawą jego ostatecznej rehabilitacji. Na polecenie kierownictwa Ludowego Komisariatu Kultury Bułhakow pojechał z żoną i z grupą współpracowników do Gruzji, aby poszukiwać nowych dokumentów o młodym Stalinie. Niespodziewanie dla nich wszystkich z Moskwy przyszedł telegram o odwołaniu wszelkich prac na tym tematem. Stalin w obawie przed wykryciem przez Bułhakowa obciążających go dokumentów uznał eskapadę za niebezpieczną.

Od tego momentu pisarz zaczął mieć coraz większe problemy ze zdrowiem – jego wzrok był coraz gorszy. Lekarze zdiagnozowali u niego stwardnienie nerek z nadciśnieniem tętniczym. Bułhakow zaczął stosować przepisaną mu jeszcze w 1924 r. morfinę, aby złagodzić bóle. Nawiasem mówiąc, ślady morfiny odkryto na kartach rękopisu powieści „Mistrz i Małgorzata" ponad 50 lat po śmierci Bułhakowa. W tym samym okresie pisarz zaczął dyktować żonie najnowszą wersję tej powieści. Ukazała się ona po raz pierwszy w czasopiśmie moskiewskim w 1966 r., czyli 26 lat po śmierci pisarza.



Okładka tomu poetyckiego „Ziemia na lewo" Anatola Sterna i Brunona Jasieńskiego. Projekt Mieczysława Szczuki FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 7a862733ee

Los Michaiła Bułhakowa nie był typowy, jeżeli przyjrzymy się życiorysom sowieckich twórców okresu stalinizmu. Uznawano go za otwartego wroga, ale pozwalano tworzyć. Oto co pisała o nim „Encyklopedia literatury sowieckiej": „Michaił Bułhakow nie potrafił ani docenić śmierci starego, ani zrozumieć narodzin nowego. Jego częste przewartościowania ideologiczne nie stały się zatem źródłem wielkiej twórczości artystycznej. M. Bułhakow wszedł do literatury ze świadomością śmierci swojej klasy i konieczności przystosowania się do nowego życia. Zwycięstwo ludu przyjął nie z radością, ale z wielkim bólem uległości".

Wierny Jasieński

Inni wybitni pisarze musieli mierzyć się z zakazem pracy twórczej, a czasem nawet fizycznego wyniszczenia. Pod tym względem Stalin i jego kaci byli bezwzględni. Nie liczyły się ani talent, ani nawet stosunek literata do nowej władzy. Paradoksalnie na pierwszy ogień poszli tzw. pisarze partyjni. W ten sposób zamordowany został Isaak Babel, jeden z najbardziej utalentowanych pisarzy komunistycznych, uczestnik wojny domowej w szeregach Konarmii Budionnego. Nie oszczędzono też wybitnego pisarza, członka partii Michaiła Kolcowa. Przed plutonem egzekucyjnym, a może i przed pojedynczym katem z pistoletem stanął z kolei twórca polskiego futuryzmu, niedawny emigrant z II Rzeczypospolitej – Bruno Jasieński, który w ciągu kilku lat pobytu w ZSRS nauczył się rosyjskiego do tego stopnia, że zaczął pisać w tym języku wiersze. W przededniu egzekucji skreślił znamienny utwór, w którym nadal podtrzymywał swą wiarę w komunizm i Stalina:

W wirze walki przyszłej i w komunie
Pieśń swą dokończyć nie zdążyłem,
Więdną me obrazy jak dojrzałe jabłka
Których już nikt nie zerwie
Lecz, moja pieśń, w szeregach znamiennych,
Nie płacz, że tak mało tego życia przypadło mi.
Los nasz haniebny, lecz wcześniej lub później –
Ojczyzna przyzna się do błędu swego.

(tłum. Mikołaj Iwanow)

Do dziś nie wiadomo, czy Maksym Gorki zmarł w 1937 r. z przyczyn naturalnych czy też pomogło mu w tym NKWD.



Józef Stalin i Maksym Gorki
FOT. WIKIPEDIA

O zabójstwo Gorkiego oskarżono w czasie moskiewskich procesów pokazowych kilku czołowych opozycjonistów. Ówczesny szef NKWD Gienrich Jagoda przyznał się nawet do zabójstwa pisarza.

Osipa Mandelsztama, poetę, którego twórczość do dziś uważa się za jedno z największych osiągnięć rosyjskiej poezji XX w., zamordowano w łagrze. Jego wiersz „Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi" uznawany jest za swoisty hymn ruchu oporu wobec stalinizmu:

Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi,
Nie słychać i na dziesięć kroków, co szepczemy.
A w półsłówkach, półrozmówkach naszych
Cień górala kremlowskiego straszy.
Palce tłuste jak czerwie w grubą pięść układa,
Słowo mu z ust pudowym ciężarem upada.
Śmieją się karalusze wąsiska
I cholewa jak słońce rozbłyska.
Wokół niego hałastra cienkoszyich wodzów:
Bawi go tych usłużnych półludzików mozół.
Jeden łka, drugi czka, trzeci skrzeczy,
A on sam szturcha ich i złorzeczy.
I ukaz za ukazem kuje jak podkowę –
Temu w pysk, temu w kark, temu w brzuch, temu w głowę.
Miodem kapie każda nowa śmierć
Na szeroką osetyńską pierś.

(tłum. Stanisław Barańczak)

Współżycia z „nieludzką władzą" nie wytrzymali inni najwybitniejsi twórcy tzw. srebrnego wieku poezji rosyjskiej. Poprzez samobójczą śmierć odeszli m.in. Sergiusz Jesienin, Władimir Majakowski, Marina Cwietajewa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7a862733ee



Członek Selous Scouts przesłuchuje jeńców
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CW ROSS BAUGMAN COLLECTION

XX w. / Na drodze ku Zimbabwe

Tragedia białej Rodezji



Arkadiusz Karbowiak

Czarne bojówki stosowały coraz bardziej brutalne metody, by wywrócić biały rząd. W apogeum ataków partyzanci strącali nawet cywilne samoloty i bezlitośnie mordowali pasażerów, którym udało się przeżyć zderzenie z ziemią

W 1980 r. władzę w Rodezji (przemianowanej na Zimbabwe) przejęli czarni nacjonaliści, z Robertem Mugabe na czele. Ustanowił on reżim bardziej opresyjny niż ten, który obalił. Jego masowe zbrodnie na Afrykanach dokonane w latach 1983–1987 nie budziły już jednak tak dużego zainteresowania tzw. światowej opinii publicznej jak ograniczenia praw czarnej społeczności, które miały miejsce w białej Rodezji.

Ogłoszona 11 listopada 1965 r. przez rząd Iana Smitha jednostronna deklaracja niepodległości od Wielkiej Brytanii nie spotkała się z międzynarodowym uznaniem. Mimo to z władzami w Salisbury (obecnie Harare) ściśle współpracowały Portugalia, posiadająca w tym regionie swoją kolonię (Mozambik), oraz Republika Południowej Afryki. Powodem ostatecznego zerwania z Londynem była chęć przekazania władzy w kolonii przez polityków z Downing Street w ręce czarnej większości. Tego właśnie obawiali się najbardziej biali mieszkańcy Rodezji, którzy w 1969 r. stanowili niewielką mniejszość – było ich zaledwie ok. 260 tys. wobec 4 mln 840 tys. czarnych Rodezyjczyków.

Trudno się dziwić, że obserwując przebieg wydarzeń w belgijskim Kongu, gdzie przejęciu władzy przez Murzynów towarzyszyły morderstwa, gwałty, napady m.in. na mieszkańców pochodzenia europejskiego, biali Rodezyjczycy nie byli zainteresowani takim scenariuszem. Chcieli oni stworzyć afrykańską elitę, która dopiero w pewnej perspektywie mogłaby zacząć współrządzić krajem. Do realizacji tych zamierzeń potrzebny był jednak czas pozwalający na zmniejszenie dystansu między białymi a czarnymi. Choć z drugiej strony w Rodezji, w przeciwieństwie do RPA, nie było na poziomie konstytucyjnym przepisów pozbawiających praw obywatelskich z powodu koloru skóry. Każdy obywatel, który ukończył 21 lat – zarówno biały, jak i czarny – posiadał prawa wyborcze. Udział w głosowaniu ograniczony był jednak cenzusem majątkowym i poziomem wykształcenia. Niewielu Afrykanów spełniało te warunki i w związku z tym w zdecydowanej większości nie mogli oni brać udziału w wyborach. Jednak dzięki reformom rządu premiera Garfielda Todda liczba czarnych wyborców systematycznie rosła. W 1957 r. w elekcji mogło uczestniczyć 16 proc. rdzennej afrykańskiej spo-

eprasa.pl 7a862733ee

łeczności (ustawa zasadnicza z 1969 r. dawała czarnym stałą, choć częściowo pochodzącą z nominacji 16-osobową reprezentację parlamentarną).

ZAPU i ZANU

Dla polityków afrykańskich był to jednak zbyt mały progres w porównaniu z oczekiwaniami. Główną kwestią, która pchnęła czarnych Rodezyjczyków w ramiona radykalnych nacjonalistów, były negatywne skutki ustawy z 1951 r. dotyczącej gospodarki gruntami. Pozbawieni możliwości rozwojowych czarni Rodezyjczycy, wegetujący na słabej jakości ziemiach, zaczęli masowo popierać utworzony w 1957 r. Południoworodezyjski Afrykański Kongres Narodowy (ang. Southern Rhodesia African National Congress – SR ANC). Początkowo ta murzyńska opozycyjna struktura wzywała do aktów obywatelskiego nieposłuszeństwa, ale szybko jej członkowie zaczęli uciekać się do przemocy. Władze w Salisbury zdelegalizowały SR ANC, ale utworzona w jego miejsce Narodowa Partia Demokratyczna (ang. National Democratic Party – NDP) inicjowała równie burzliwe protesty.

Delegalizacja NDP doprowadziła w końcu do pojawienia się organizacji czarnych nacjonalistów – Afrykańskiego Ludowego Związku Zimbabwe (ang. Zimbabwe African People's Union – ZAPU). Organizacja opierała się na ludności wywodzącej się z plemienia Matabele, a jej przywódcą był Joshua Nkomo. Członkowie ZAPU swoją furię skierowali w pierwszym rzędzie przeciwko afrykańskim kolaborantom należącym do utworzonych przez białych ugrupowań politycznych, czarnym policjantom, cywilom niebiorącym udziału w protestach i zamieszkach, urzędnikom, plemiennym wodzom, a nawet kobietom ubierającym się po europejsku. Te posunięcia miały zastraszyć wszystkich czarnych Rodezyjczyków nieangażujących się w walkę z reżimem w Salisbury.

W 1962 r. ZAPU skupiła się na działalności na prowincji. Krok ten wiązał się ze zwiększeniem radykalizacji. Nacjonalistyczne bojówki zaczęły podpalać szkoły, sklepy, kościoły, lasy, wyklejać pociągi, przecinać druty telefoniczne. Według policji w tym czasie zdetonowano 33 bomby oraz dokonano 28 podpaleń i 27 aktów sabotażu. Bojownicy ZAPU byli kierowani na szkolenia wojskowe do ChRL, ZSRS, Ghany, Egiptu, Libii czy Algierii. Nacjonaliści przygotowywali w ten sposób kadry zdolne do podjęcia walki zbrojnej. Tych posunięć nie dostrzegł liberalny rząd premiera Edgara Whiteheada, chociaż zdelegalizował ZAPU i internował jej liderów. Paradoksalnie miało to miejsce w czasie, gdy parlament Rodezji Południowej przegłosował likwidację wielu przepisów dyskryminacyjnych czarną społeczność.



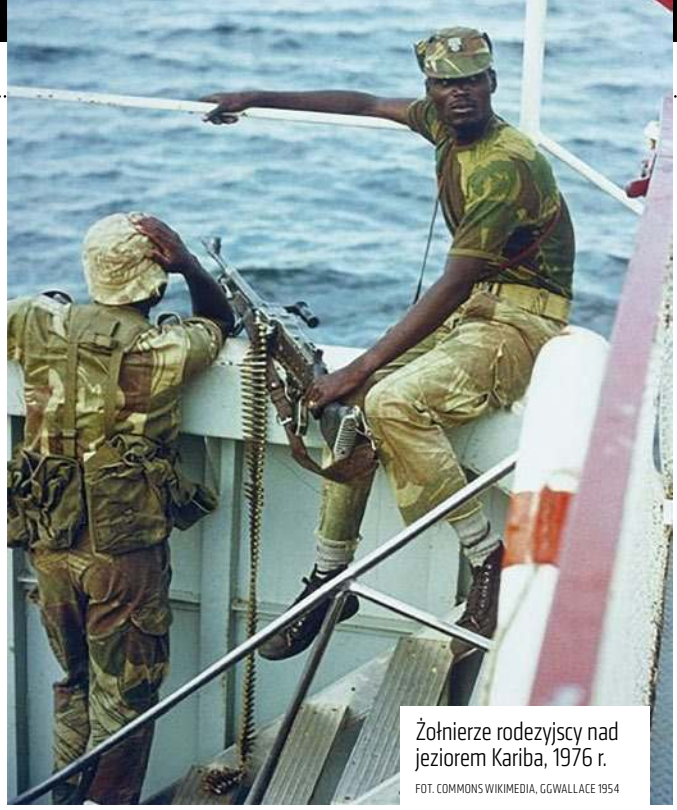
Ian Smith podpisuje deklarację niepodległości Rodezji, 1965 r.
FOT. TOPFOTO/FORUM

Wydawało się, że wybory z 1962 r. będą szansą na poprawienie sytuacji ludności murzyńskiej. Wszelkie nadzieje przekreśliła ogłoszona przez nacjonalistów akcja zastraszania i bojkotu. Jednocześnie porażkę zanotowała umiarkowana Zjednoczona Partia Federalna (ang. United Federal Party – UFP), która przegrała wybory i utraciła władzę na rzecz Frontu Rodezyjskiego (ang. Rhodesian Front – RF) Iana Smitha. Rhodesian Front reprezentował interesy białych farmerów z niepokojem obserwujących erupcję czarnej przemocy – ludzie ci nie zamierzali kapitulować i oddawać władzy w ręce afrykańskich nacjonalistów. Tymczasem siły tych ostatnich zostały wzmocnione pojawieniem się w 1963 r. nowego ugrupowania – Afrykańskiego Narodowego Związku Zimbabwe (ang. Zimbabwe African National Union – ZANU) pod wodzą Ndabaningiego Sithole, a następnie Roberta Mugabe. ZANU wspierane było przez Chiny, Tanzanię i Ghanę. Obie grupy utworzyły swoje formacje zbrojne. W przypadku ZAPU była to tzw. ZIPRA, z kolei ZANU utworzyła ZANLA.

Akcje specjalsów

Rok 1966 okazał się przełomowy w historii rodezyjskiego konfliktu. 28 kwietnia 1966 r. ZANLA rozpoczęła walkę partyzancką, ścierając się z siłami porządkowymi (w trakcie tej potyczki zginęła cała siedmioosobowa grupa dywersyjna). Partyzanci walczyli z regularną armią rodezyjską, która wzmocniona została zagranicznymi ochotnikami z USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Nowej Zelandii i Australii. Zasadniczą część tej grupy stanowili weterani wojny w Wietnamie. Takim żołnierzem był np. Amerykanin Robert Callen MacKenzie, który zakończył swą służbę w rodezyjskim SAS (jednostce specjalnej) w stopniu kapitana, a po przejściu do bliźniaczych południowoafrykańskich sił specjalnych Recces (Reconnaissance Commando) awansował do stopnia majora. Do rodezyjskich „czarnych diabłów" – korpusu pancernego – zaciągnął się z kolei belgijski korespondent wojenny,

eprasa.pl 7a862733ee



Żołnierze rodezyjscy nad jeziorem Kariba, 1976 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GGWALLACE 1954

poległy potem w Syrii – Yves Debay. Bardzo znaną postacią był Brytyjczyk szkockiego pochodzenia Peter McAleese. Wstąpił on, podobnie jak wielu innych zagranicznych wojskowych, do liczącej 250 żołnierzy Rhodesian SAS (służyli w niej tylko biali Rodezyjczycy). McAleese zdecydował się na ten wybór z powodu znakomitej reputacji tej jednostki, utworzonej podczas konfliktu na Malajach jako 100-osobowy Squadron C SAS (w latach 1951–1953 Rodezyjczycy uczestniczyli w zaciętych walkach z komunistycznymi rebeliantami z Malajskiej Armii Narodowo-Wyzwoleńczej; szwadronem C dowodził kpt George Walls, późniejszy generał i dowódca armii rodezyjskiej, odznaczony Orderem Brytyjskiego Imperium).

Podobny poziom wyszkolenia prezentowała licząca ok. 1 tys. żołnierzy (zarówno białych, jak i czarnych) formacja Selous Scouts (oprócz niej powstały także poruszające się konno oddziały Grey Scouts). Strukturą tą dowodził weteran szwadronu C SAS ppłk Ron Reid-Daly. Selousi przez długi czas działali w cztero-, pięcioosobowych zespołach na obszarach opanowanych przez przeciwnika. Ich zadaniem było namierzanie baz i większych oddziałów przeciwnika, a następnie wzywanie większych sił, które miały je niszczyć. Jeżeli jednak napotykali małe grupy partyzanckie, to likwidowali je samodzielnie. To samo dotyczyło zidentyfikowanych członków siatek cywilnych współpracujących z partyzantami.

Zdarzało się, że rodezyjscy specjalsi posługiwali się bronią chemiczną, a nawet biologiczną, zatruwając studnie oraz żywność we wsiach współdziałających z rebeliantami. W czasie infiltrowania wrogich grup Selous Scouts udawali rebeliantów – trudno było ich odróżnić, ponieważ nosili partyzanckie mundury, a ponadto posługiwali się zdobyczną bronią. Nawiasem mówiąc, afrykańscy żołnierze z szeregów skautów nierzadko byli dawnymi partyzantami, których udało się przekonać, by przeszli na stronę rządową. Ich lojalność była niemal stuprocentowa. Jednakże wiedzieli doskonale, że ci, którzy odmówili walki ze swymi dawnymi towarzyszami broni, byli z reguły zabijani.

Skuteczność Selous Scouts według analiz dokonanych przez armię rodezyjską wynosiła 68 proc. Taki odsetek przeciwników został zabity albo zginął za sprawą informacji pozyskanych przez skautów. Intensyfikacja wojny partyzanckiej powodowała, że coraz częściej oddziały tej formacji wykorzystywano do udziału w bezpośrednich walkach.



Ofiary masakry w Vumba, 1978 r. FOT. THE CHRISTIAN MILITANT

Przykładem jest operacja „Eland" przeprowadzona 9 sierpnia 1976 r. Zasadniczym jej celem był atak na znajdującą się w Mozambiku bazę Nyadzonya należącą do ZANLA. W akcji wzięło udział 84 zwiadowców pod dowództwem kpt. Roberta Warrakera. Komandosi wjechali do Mozambiku czterema samochodami pancernymi typu Ferret oraz siedmioma unimogami, z których dwa wyposażono w sprzężone działka kalibru 20 mm. Kolumna oznakowana była tak, jakby należała do komunistycznych jednostek FRELIMO (Frente de Libertação de Moçambique – Front Wyzwolenia Mozambiku). Po wjechaniu do obozu (partyzantów zmyliły także frelimowskie mundury przybyłych) Rodezyjczycy otworzyli ogień do zaskoczonych rebeliantów oraz przemieszanych z nimi przebywających w obozie cywilów. W masakrze zginęło 1028 osób.

Tereny Mozambiku (oraz Zambii) ze względu na ulokowane tam obozy rebelianckie należały do obszarów szczególnie często „odwiedzanych" przez rodezyjskie siły specjalne. Efektem upadku portugalskiego imperium kolonialnego po rewolucji goździków i uchwycenia władzy przez komunistów z FRELIMO było udzielenie przez nich poparcia siłom czarnych nacjonalistów walczących z rządem w Salisbury. Na terytorium Mozambiku pojawiło się wiele baz i obozów szkoleniowych rodezyjskich partyzantów. Biali z Rodezji postanowili w odpowiedzi utworzyć opozycyjne wobec FRELIMO ugrupowanie Narodowy Ruch Oporu Mozambiku (RENAMO). Kontakt z antykomunistycznie nastawionymi politykami i dysydentami oraz byłymi żołnierzami portugalskiej armii, tzw. Flechas, nawiązały struktury wywiadowcze CIO (ang. Central Intelligence Organisation – Centralna Organizacja

eprasa.pl 7a862733ee



Partyzanci rodezyjscy w 1980 r., gdy skończyło się brytyjskie panowanie FOT. PIERRE HASKI/AFP/EAST NEWS

Wywiadowcza). Tak więc przez pierwsze lata istnienia RENAMO wywiad rodezyjski (aż do 1979 r.) wspierał tę organizację w toczącej się w Mozambiku wojnie domowej. Po upadku białej władzy w Rodezji miejsce głównego patrona RENAMO zajęła RPA. W latach 90., po podpisaniu porozumień pokojowych i zakończeniu wewnętrznego konfliktu z rządem Maputo, RENAMO stało się największą opozycyjną partia polityczną w Mozambiku.

Samoloty w ogniu

Przeciągająca się wojna domowa w Rodezji powodowała, że afrykańscy partyzanci stosowali coraz bardziej brutalne metody. Celami ataków coraz częściej byli cywile. 6 sierpnia 1977 r. ZANLA podłożyła ładunki wybuchowe w sklepie Woolworths. Zginęło wówczas ośmiu czarnych, w tym dwie kobiety w ciąży i młody chłopiec, oraz troje białych. 23 czerwca 1978 r. partyzanci ZANLA dokonali masakry wśród zielonoświątkowych misjonarzy w Vumba. Od kul i maczet śmierć poniosło trzech mężczyzn, pięć kobiet oraz troje dzieci (do tego momentu liczba misjonarzy zamordowanych przez uczestników guerrilli wynosiła 40).

3 września 1978 r. jedna z grup partyzanckich ZIPRA ostrzelała z sowieckiej wyrzutni samolot rodezyjskich linii lotniczych (lot 825) lecący z Wodospadów Wiktorii do Salisbury. Piloci trafionej i ciężko uszkodzonej maszyny próbowali lądować na polu bawełny, ale po uderzeniu w rów melioracyjny samolot się rozpadł, w efekcie czego śmierć poniosło 38 osób z 56 znajdujących się na pokładzie. Spośród 18 ludzi, którzy przeżyli uderzenie o ziemię, zaledwie ośmiu udało się uniknąć śmierci, odeszli bowiem w poszukiwaniu wody lub się ukryli. Dziesięć osób ujętych w pobliżu wraku, w tym cztery kobiety i dwoje dzieci w wieku 4 i 10 lat, partyzanci rozstrzelali i zakłuli bagnetami.

W odpowiedzi na tę zbrodnię 19 października 1978 r. rodezyjskie siły specjalne (SAS oraz spadochroniarze RLI), wsparte przez samoloty i helikoptery, uderzyły w kilka obozowisk ZIPRA na terytorium Zambii. Według danych rebeliantów zginęło 351 cywilów i partyzantów. Siły specjalne straciły jednego zabitego – kaprala z oddziału SAS Jeffa Colleta. Atakowanie cywilnych samolotów rodezyjskich stało się stałym elementem taktyki ZIPRA. 12 lutego 1979 r. wystrzelony przez partyzantów z tego ugrupowania pocisk trafił samolot (lot 827) lecący na wschód od jeziora Kariba. Zginęło 59 osób znajdujących się pokładzie.

Notoryczne ataki terrorystyczne, sabotaże, podpalenia, morderstwa wytworzyły wśród białej społeczności poczucie oblężenia, co skłoniło wiele osób do opuszczenia Rodezji. Zjawisko masowej emigracji miało wpływ na pogorszenie wskaźników ekonomicznych państwa. Obniżały je dodatkowo embarga i sankcje. Te wszystkie czynniki połączone ze stopniowym spadkiem wsparcia gospodarczo-militarnego udzielanego przez reżim w Pretorii, jedynego pewnego do tej pory sojusznika władz w Salisbury, oraz z presją polityczną ze strony zachodnich mocarstw, USA i szczególnie Wielkiej Brytanii, skłoniły premiera Smitha do podjęcia rozmów z reprezentantami umiarkowanych środowisk czarnej opozycji. 3 marca 1978 r. zawarte zostało w Salisbury porozumienie gwarantujące czarnym Afrykanom 72 miejsca w parlamencie (28 miejsc miało przypaść białym). Wybory przeprowadzone w kwietniu 1979 r. przyniosły zwycięstwo (67 proc. głosów) UANC – Zjednoczonej Afrykańskiej Radzie Narodowej bp. Abela Muzorewy. Duchowny został pierwszym czarnoskórym premierem Rodezji-Zimbabwe. Funkcję prezydenta państwa objął natomiast Josiah Gumede.



Robert Mugabe, premier (1980), a następnie prezydent Zimbabwe (do 2017 r.) FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARCEL ANTONISSE/ANEFO NATIONAL ARCHIEFF

Jednak porozumienie, wybory oraz powołanie rządu zostały zakwestionowane przez władze Wielkiej Brytanii oraz przywódców dwóch głównych afrykańskich ugrupowań nacjonalistycznych – ZANU i ZAPU. W związku z tym we wrześniu 1979 r. rozpoczęły się, tym razem pod auspicjami brytyjskimi, rozmowy w Lancaster House w Londynie. Poza Nkomo i Mugabe przybyli na nie Muzorewa, Smith i Sithole. W wyniku negocjacji ustalono, że Rodezja-Zimbabwe do nowych wyborów stanie się na powrót brytyjską kolonią. Było to o tyle łatwe, że Wielka Brytania nigdy nie uznała deklaracji niepodległości z 1965 r. Na stanowisko gubernatora wyznaczony został Lord Christopher Soames. Białym zagwarantowano 20 miejsc w parlamencie. Wybory miały być całkowicie wolne. Wygrała je partia ZANU Roberta Mugabe i to on zajął fotel premiera. 18 kwietnia 1980 r. formalnie zakończyło się brytyjskie panowanie nad Rodezją. W ten sposób narodziła się Republika Zimbabwe. Pod władzą Roberta Mugabe ten zasobny przecież kraj w niedługim czasie stał się synonimem skrajnej biedy i zacofania. Sytuacja czarnej ludności, która teoretycznie zyskała pełnię praw, znacząco się pogorszyła w związku z kleptokratycznym charakterem dyktatury Mugabe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Baxter P., ***„Selous Scouts: Rhodesian Counter-Insurgency Specialists”;*** *Chołaszczyński K.* ***„Operacja URIC – największa zagraniczna operacja militarna Republiki Zimbabwe-Rodezji”;*** *Dulek P., Kosidło A.*, ***„Przemoc polityczna w Rodezji Południowej w latach 1955–1965”;*** *Howard M.T.*, ***„Black Soldiers in the Rhodesian Army 1956–1981: The Loyalties of Professionals”;*** *Moorcraft P.*, ***„The Rhodesian War. A military history”;*** *Szczepańska A.*, ***„Rodezja Południowa – utracony klejnot na kolonialnej mapie Wielkiej Brytanii. Relacje rodezyjsko-brytyjskie w latach 1961–1979. Zarys problemu”;*** *Wood J.R.T.*, ***„Zambezi Valley Insurgency: Early Rhodesian Bush War Operations”.***

eprasa.pl 7a862733ee



Władł III Palownik (zwany Drakulą) przyjmuje posłów tureckich. Obraz Theodora Amana

FOT. MUZEUM SZTUK PIĘKNYCH W BUDAPESZCIE

XV w. / Furia Włada Palownika

Przejmujący dreszcz Drakuli



Jakub Ostromęcki

Tych makabrycznych wydarzeń nie trzeba już niczym ubarwiać. Prawdziwa historia krwawego hospodara przeraża bardziej niż gotyckie opowieści o wampirach

Najsłynniejszym Rumunem jest hrabia Drakula. Tylko Ceaușescu może mu dorównać" – szydzi dziś Lucian Boia, jeden z czołowych rumuńskich historyków. Wampir hrabia Drakula to XIX-wieczny produkt wyobraźni irlandzkiego pisarza. Jego pierwowzorem jest prawdziwy hospodar Wład Palownik (rum. Vlad Țepeș), zwany również Drakulą (w języku rumuńskim „dracul" to „diabeł"). Tyleż odważny władca, co krwawy psychopata.

Nie wszystkim Rumunom podoba się jego literackie przepoczwarzenie. Jedni są oburzeni, że z okrutnika, ale przecież bohatera walk z Turkami i prekursora rumuńskiej państwowości robi się jarmarcznego stwora z kłami. Inni znowu zacierają ręce, licząc leje, które w Siedmiogrodzie zostawiają żądni wampirzych wrażeń turyści, którym często powieściowa fikcja miesza się z rzeczywistością.

W monografii „Rumuni: świadomość, mity, historia" Boia przytacza badanie społeczne z 1999 r., w którym pytano o najważniejsze osobistości historyczne, które wywarły korzystny wpływ na losy Rumunów. 24,6 proc. wskazało na Aleksandra Jana Cuzę, ojca założyciela nowoczesnej Rumunii. Na kolejnych pozycjach uplasowali się wielcy hospodarowie: Michał Waleczny i Stefan Wielki. Czerwony satrapa Ceaușescu mógł liczyć na 10 proc. poparcia, a krwawy Wład Palownik na 4,1 proc. Dla Boi obecność dwóch ostatnich indywiduów w tym zestawieniu nie jest budująca. Rumuni „bardziej wierzą w ludzi, w mężów opatrznościowych, niż w systemy i abstrakcyjne projekty" – konkluduje historyk. Niestety, za mężów opatrznościowych mając często ordy-

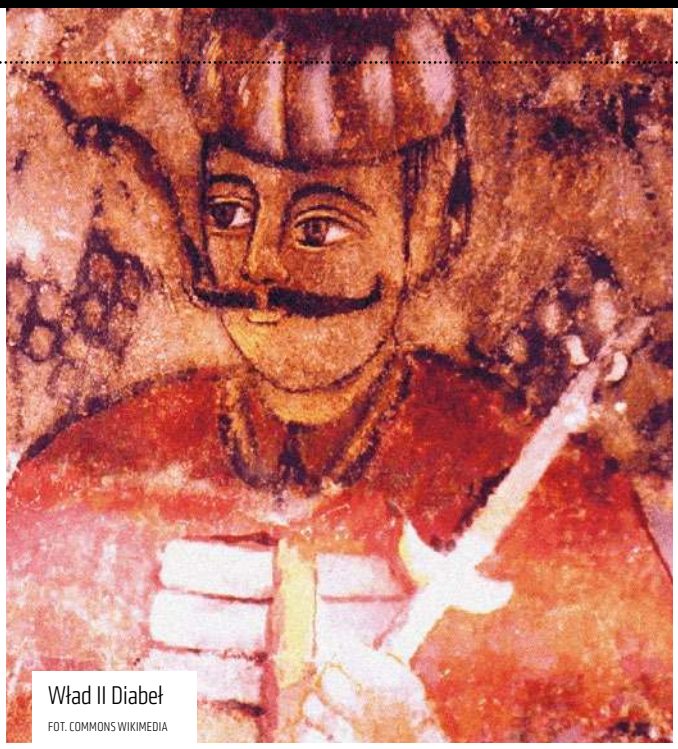
eprasa.pl 7a862733ee

narnych zamordystów. „Że też nie przybędziesz, Władzie Palowniku!" – tęsknie wołał w jednym z listów wrażliwy skądinąd XIX-wieczny romantyk Mihai Eminescu.

Sieroty po Trajanie

Leżącą na północ od Dunaju średniowieczną Wołoszczyznę można porównać do kawałka plaży wciśniętej między dwa falochrony. Jeden falochron to Dunaj, będący granicą Cesarstwa Bizantyjskiego, drugi to Karpaty. Niespokojne morze to wielki step, przez stulecia zalewający Europę falami koczowników. Fale te, nie mogąc sforsować Karpat ani granicy silnego jeszcze cesarstwa, uderzały i wsiąkały w Wołoszczyznę, mieszając się z autochtonami – Wołochami czy, jak ich później zwano, Rumunami – sierotami po Imperium Rzymskim, mówiącymi zbarbaryzowaną ludową łaciną, z czasem pełną zapożyczeń słowiańskich i tureckich. Na Wołoszczyźnie Boga czczono na sposób wschodni, językiem wiary i dokumentów nie był rumuński, lecz staro-cerkiewno-słowiański, a pismem – cyrylica. W żyłach Władla Palownika płynęła krew Połowców, którzy byli ludem tureckim. Po kądzieli był zaś Władl Palownik dalekim potomkiem rządzących Polską i Litwą Giedyminowiczów.

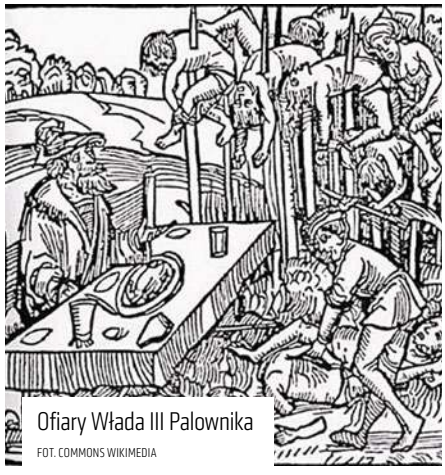
Przekleństwem Wołochów było zarówno położenie geopolityczne, jak i system władzy. Następstwo tronu odbywało się tu według mętnych reguł. Teoretycznie po ojcu powinien dziedziczyć najstarszy syn z dynastii Basarabów, ale do spadku pretendowała zawsze cała gromada braci, kuzynów, wujów, powinowatych, nawet bękartów. Nowy hospodar musiał być poza tym zaakceptowany przez bojarów. Krótko przed narodzinami Władla jeden z władców był ze swojego tronu usuwany przez krewniaka cztery razy w ciągu czterech lat! Natomiast w bliźniaczej pod względem języka i kultury Mołdawii rządzonej przez ród Muszatowiczów w ciągu 15 lat pięciu hospodarów zostało zamordowanych przez krewnych.



Władl II Diabeł
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Był to system niewydolny, a w obliczu zaborczych i potężnych sąsiadów bardzo niebezpieczny. Sąsiadami tymi w XV w. byli na południu Turcy osmańscy, a na północy, za Karpatami, Węgrzy, dzierżący od dawna Siedmiogród, czyli Transylwanię, w której Rumunowi, choć etnicznie najbardziej licznemu, pisano najczęściej los pańszczyźnianego chłopa. Obok Węgrów liczni byli w Siedmiogrodzie niemieccy mieszczanie, a konkretnie Sasi.

Wołoszczyzna nie miała żadnych szans na niepodległość. Musiała płacić imperium osmańskiemu trybut warty tyle, co ponad 200 wsi, a równocześnie uznawała zwierzchność królów Węgier.



Ofiary Władla III Palownika
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Ci natomiast traktowali jej władców jak pionki, trzymając w zamkach sąsiedniej Transylwanii licznych Basarabów, na wołoskim tronie w Tîrgoviște osadzając tego, który akurat potrzebny był z perspektywy bieżącej węgierskiej polityki. Gdy hospodar aktualnie sprawujący władzę zbytnio obrósł w piórka, szybko obalała go węgierska interwencja zbrojna, oddając tron bardziej uległemu księciu. Oczywiście bywały okresy, gdy Węgry słabły. Wtedy Wołoszczyzna, pozbawiona chrześcijańskiego protektora, zmuszona była umizgiwać się do wykorzystujących sytuację Turków. Ci również kilka razy osadzali w Tîrgoviște „swoich" hospodarów, uprzednio wypuściwszy ich ze złotej klatki ukrytej gdzieś w głębi islamskiego imperium. Gdy jednak Węgrzy odzyskiwali siły, natychmiast ogłaszali takowych książąt „zdrajcami i krzywoprzysięzcami".

Byczy kark

Władl Drakula musiał się szybko nauczyć tej gry. Urodzony ok. 1431 r. młodość spędził najpierw w Siedmiogrodzie, a potem jako zakładnik u Osmanów. Niccolo z Modrusu opisał go tak: „Niezbyt wysokiej postaci, ale bardzo muskularny i potężny, z obliczem srogim i przejmującym dreszczem, z szerokim orlim nosem, szerokimi nozdrzami, twarzą pociągłą i nieco zaczerwienioną, na której bardzo długie rzęsy otaczały oczy zielone i szeroko otwarte, brwi zaś, czarne i krzaczaste, nadawały srogości wejrzeniu. Twarz i broda wygolone z pozostawieniem wąsów, szerokie skronie zwiększały objętość głowy. Szyja jak u byka łączyła kark wznoszący się nad szerokimi ramionami, na które spadały czarne i kręcone włosy".

Jego ojciec – Władl Diabeł (Dracul) – stracił głowę w 1447 r., gdy zakazał używania na Wołoszczyźnie coraz mniej wartościowej węgierskiej monety. Na opróżnionym tronie Węgrzy natychmiast usadowili Władysława II Dana.

eprasa.pl 7a862733ee

W 1448 r., w wyniku węgierskiej klęski w drugiej bitwie na Kosowym Polu, młody Wład po raz pierwszy, ale tylko na kilka miesięcy, zdobył władzę. Zaraz jednak wygnany został do Mołdawii. Pierwszy okres panowania zawdzięczał Osmanom – i tych samych Osmanów książę będzie za kilka lat wbijać na pale. Na tron powrócił w 1456 r., gdy Węgrzy pokonali Turków pod Belgradem, a sam Władysław zaczął godzić w interesy siedmiogrodzkich kupców. Panowanie Włada trwać będzie do 1462 r. gdy – tak jak poprzedni władcy – stanie się zbyt samodzielny, zbyt prowokacyjny wobec Turków w czasie, gdy Węgrzy akurat wojny nie planowali. Pochwycony w Siedmiogrodzie spędzi tam w dość komfortowych warunkach ponad 10 lat, gdy znów potrzebny będzie w węgierskiej kampanii w Serbii. Powróci do Wołoszczyzny po raz ostatni na kilka zimowych miesięcy ok. 1476 lub 1477 r.

Czystka

Wład rozpoczął najdłuższy z okresów swojego panowania od egzaminu z najnowszej historii kraju, któremu poddał swoich bojarów. Była Wielkanoc. Zgromadzeni w stołecznym grodzie Tîrgoviște mieli odpowiedzieć na pytanie, ilu Wołoszczyzna miała dotąd książąt od początku panowania dynastii Basarabów. Różne padały odpowiedzi. Najbardziej naiwni, a może po prostu zbyt hardzi podawali liczbę wszystkich członków rodu, którzy nosili tytuł hospodara. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał Wład. Chodziło mu tylko o hospodarów będących jego przodkami w prostej linii. Resztę uznawał za uzurpatorów. Bojarzy, którzy narazili się złą odpowiedzią, zostali wbici na pal – nie wiadomo tylko, czy uprzednio ich litościwie ścięto czy też, tak jak na rysunku jednej z saskich kronik, przebito w poprzek ciała, powodując w miarę szybką śmierć zamiast długich godzin męczarni przy „klasycznym" nabijaniu przez krocze. Tak czy inaczej, byłby to jedyny znany w historii przypadek egzekucji z powodu nieznajomości historii.

Inna wersja opowieści o wielkanocnej masakrze mówi, że ci, którzy ocalali, zostali zapędzeni do budowy górskiej twierdzy Poenari. Harowali tam tak



Wład III Palownik

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KUNSTHISTORISCHES MUSEUM W WIEDNIU

długo, aż zdarli na sobie odświętne ubrania, które mieli w trakcie wielkanocnej uczty. W trakcie tamtej czystki zabito najprawdopodobniej 11 bojarów i bliżej nieokreśloną liczbę członków ich rodzin, przyjaciół i sług. Ówczesne pamflety drukowane przez wrogów Włada, głównie z miast saskich, podawały jeszcze straszniejsze szczegóły. Żony były torturowane wraz z mężami, a okrutny hospodar nie szczędził nawet kobiet w ciąży, podobno uprzednio wywlekając główki niemowląt przez rozcięte łona. Przeciw tym bestialstwom gwałtownie zaprotestował przebywający na wołoskim dworze chorwacki mnich. Wład zrazu wyjaśnił mu spokojnie, że synowie i żony mogą pomścić bojarów, więc „krzak buntu trzeba wyrwać z korzeniami". Ostatecznie również mnich skończył na palu, z tym że wbito go do góry nogami, zaczynając od głowy.

Nie był to koniec krwawej walki o władzę. Niedługo po wielkanocnej masakrze na Wołoszczyźnie pojawił się Dan III, konkurent Włada do tronu. Drakula pokonał go, jego zbrojnych wbił na pale, nie oszczędzając też towarzyszących orszakowi kobiet. Samemu Danowi kazał na to wszystko patrzeć, po czym zmusił go do uczestniczenia w ceremonii swojego własnego pogrzebu, słuchania cerkiewnych śpiewów i kopania dla siebie grobu. Przegrany krewniak miał jednak szczęście – nad grobem zamiast pala czekało na niego ścięcie.

Umacniając swoją władzę, Wład Palownik nie zapomniał o wojsku. Od tej pory za rany zadane w boju czekały złoto lub ziemia, ale jeśli rana zadana była w plecy lub pośladki, czyli w czasie odwrotu, wówczas karano palem.

Las Nawleczonych

Przez pierwsze dwa lata swojego panowania okrutny hospodar płacił trybut Osmanom, a ostrze swojej nienawiści wymierzał w kraj chrześcijański. Dochodząc swoich praw lennych do kilku miast węgierskiego Siedmiogrodu i karząc je za wspieranie Dana III, zaczął bezlitośnie łupić ich okolice, poczynając sobie równie krwawo jak na Wołoszczyźnie, choć starał się nie czynić szkody Niemcom i Węgrom, a głównie szukającym tam schronienia nielojalnym Wołochom.



Zamek w Poenari

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BEATA JANKOWSKA

eprasa.pl 7a862733ee

Nasyciwszy się zemstą i umocniwszy krwawy tron, Wład rzucił wyzywanie Wysokiej Porcie, przestając płacić trybut. Sułtan wezwał go więc do siebie w celu „złożenia wyjaśnień". Misję sprowadzenia niepokornego hospodara otrzymali sokolnik Hamza-bej, dowódca twierdzy Nikopolis w Bułgarii, oraz grecki konwertyta Junusbeg. Wład udawał pokornego niemal do samego Dunaju. Tu, nad samą granicą, Turcy próbowali go spętać, nie wiedzieli jednak, że w ślad za nimi posuwa się wołoski podjazd. Turcy z myśliwego stali się zwierzyną. Hamza i Junusbeg zostali pochwyceni. Część orszaku wbito na pale przy granicy, tak aby po drugiej stronie Dunaju widać było ten makabryczny spektakl, a resztę Wład powiódł do Tîrgovişte i tam dokonał kolejnej odsłony swojego psychopatycznego okrucieństwa – przed nabiciem na pal kazał odrąbać jeńcom członki. Hamza w myśl przewrotnej kurtuazji jako dowódca misji dostał najwyższy pal.

Nadeszła zima i Wład ruszył za Dunaj łupić należącą do Turków Bułgarię. Nie rozróżniał między muzułmanami a prawosławnymi, tych drugich traktując jako „żywy zasób wroga". W listach do króla Węgier chwalił się ponad 20 tys. zabitych, nie liczących tych, którzy zostali spaleni żywcem w swoich domach. Dlaczego tak robił? Chciał postawić Węgry w sytuacji bez wyjścia, by musiały pójść na wojnę z Turcją. Maciej Korwin nie miał jednak na to środków, dlatego z odwetową wyprawą turecką hospodar musiał walczyć sam, i do tego na własnym terenie.

Początkowo szło mu nieźle. Udając tureckiego kupca, zakradł się do obozu wroga i zagadując janczarów, zlokalizował namiot sułtana. Wycofał się chyłkiem, po czym nocą zaatakował znienacka osmański obóz. Jego jeźdźcy pomylili jednak sułtana z wezyrem i atak przyniósł tylko połowiczny sukces.

Gdy turecka armia dotarła pod Tîrgovişte, jej oczom ukazał się makabryczny widok – legendarny Las Nawleczonych. Na gęsto osadzonych palach tkwiły zarówno świeże trupy tureckich jeńców, jak i stare z okresu bojarskich czystek. W szkieletach części torturowanych ptactwo uwiło gniazda, a przy ciałach kobiet widać było przytroczone niemowlęta. Mehmed II, zarządzając odwrót, rzekł podobno: „Nie można zabrać ziemi



Mehmed II Zdobywca. Obraz Gentile'a Belliniego

FOT.COMMONS WIKIMEDIA, VICTORIA AND ALBERT MUSEUM

człowiekowi, który czyni rzeczy tak wielkie ponad ludzką miarę, potrafi używać tak władzy, jak i poddanych. Ale taki człowiek nie zasługuje na szacunek". Dwie ostatnie bitwy tej kampanii wycofujący się Turcy jednak wygrali.

I wtedy, w 1462 r., Wład został przez Węgrów po raz drugi odsunięty od władzy. Sfabrykowano przeciwko niemu listy i dokumenty mające świadczyć o tym, że spiskował z… Turcją, wypominając mu jego działania w miastach Siedmiogrodu sprzed pięciu lat. Maciej Korwin posłużył się jednak hospodarem ponownie w 1476 r., w kampanii przeciw Turkom w Serbii i Bośni.

Srebrenica zdobyta została dzięki podstępowi Palownika, który znów, tak jak w poprzedniej kampanii, przebrał swoich wojów za Turków i chyłkiem otworzył bramy miejskie. Walcząc z Turkami na odzyskanej na chwilę Wołoszczyźnie, oddalił się jednak od swoich wojsk w czasie jednej z konnych szarż i zginął – jak dla niego szczęśliwie – od ciosu włócznią. Widokiem odciętej głowy hospodara rozkoszował się potem sułtan w swoim pałacu Topkapi.

Kraj wampirów

Kilkadziesiąt lat po śmierci Palownika na Wołoszczyźnie i w Mołdawii, jak wierzyli ówcześni mieszkańcy tych ziem, zaczęły straszyć wampiry, czyli – jak je tu zwano – strigoie lub varcolaci. Były to trupy tych, którzy za życia zostali obłożeni klątwą za oszustwa. Mściły się one na żywych, sprowadzając na nich zarazy i niszcząc plony, a czasem jedynie błąkając się po nocy w poszukiwaniu przebaczenia. Aby pozbyć się zła, należało wykopać przeklęte truchło z grobu, posiekać, spalić lub odciąć mu głowę, a najlepiej przebić kołkiem. Żaden chłop przez kolejne setki lat nie twierdził jednak, że plaga wampirów to sprawka dawno pogrzebanego hospodara albo że sam Palownik był wampirem. Podobnie jest z mieszkańcami wołoskiej wsi Marotinu de Sus. Jeszcze w 2004 r. sześciu miejscowych wykopało tu z grobu swojego krewnego, podejrzewając, że jest strigoiem. Wyrwali mu serce, spalili je, a popiół zmieszany z wodą wypili. O Władzie słyszeli być może w szkole.

Krwawy przesąd i przerażający władca żyli w osobnych światach, gdy w latach 90. XIX w. w głowie Irlandczyka Brama Stokera pojawiła się postać wampira szlachcica grasującego gdzieś po wschodnioeuropejskiej dziczy. Stoker nigdy nie był w Rumunii, ale czytał przewodniki turystyczne opisujące czyny krwawego hospodara i znał się z węgierskim etnografem Árminem Vámbéryem, który opowiedział mu o rumuńskich osobliwościach. Irlandczyk stworzył wtedy literacką miksturę i w ten sposób Palownik objawił się w roli wampira. Stoker pomylił absolutnie wszystko. Transylwanię z Wołoszczyzną, węgierskojęzycznych Szeklerów z Rumunami, a książkowy zamek umieścił setki kilometrów od miejsc peregrynacji Włada Palownika. Najciekawsze jest to, że zarówno w Rumunii przedwojennej, jak i w komunistycznej mało kto wiedział o tej fantastycznej kreacji – nie było tu po prostu przekładów książki Stokera. Sytuację zmienił dopiero film Francisa Forda Coppoli z 1992 r.

W roku 2023 r. biolodzy z Uniwersytetu w Katanii nawiązali współpracę z Rumuńskim Archiwum Narodowym. Zamierzali zbadać pozostałości peptydów na zachowanych w dobrym stanie listach Włada. Okazało się, że hospodar obok zapalenia krtani mógł cierpieć na hemolakrię, czyli chorobę objawiającą się krwawymi łzami – byłby to daleki miraż wampira w realnym świecie. O Palowniku znów zaczęło być głośno. Problem w tym, że według historyka Matei Cazacu hospodar był analfabetą. Krwawe łzy roniłby zatem jedynie jego sekretarz lub kanclerz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7a862733ee



Adolf Hitler przemawia w Reichstagu FOT. NAC

1894–1958 / Rozdroża Jego Ekscelencji

Ambasador w mundurze szeregowego



Piotr Kitrasiewicz

Po ataku Niemiec Józef Lipski postanowił wstąpić do wojska. Były ambasador RP w Berlinie jako zwykły szeregowy chciał odkupić swoje „winy" z czasów, gdy na salonach ściskał dłonie hitlerowców

Gdy 30 stycznia 1933 r. urząd kanclerza Rzeszy objął Adolf Hitler, Alfred Wysocki, poprzednik Józefa Lipskiego na stanowisku posła RP w Berlinie, przesłał do Warszawy kilka alarmujących raportów. Wynikało z nich, że lada dzień może nastąpić atak Niemiec na Polskę. Wkrótce jednak jego relacje stały się bardziej stonowane, a wreszcie, ku zdumieniu Warszawy, zaczęły pojawiać się w nich optymistyczne akcenty. Wysockiego przyjął w końcu sam Hitler, który zadeklarował chęć poprawy stosunków z Polską.

Raport posła wywarł duże wrażenie na ministrze Józefie Becku, który natychmiast poszedł z nim do marszałka Piłsudskiego. Obaj zgodzili się, że należy dążyć do porozumienia z Niemcami, jeśli ich intencje są szczere. W tym celu należy zmienić przedstawiciela dyplomatycznego na kogoś o wyższej randze. Pierwszym kandydatem był hrabia Jan Szembek, podsekretarz stanu w MSZ, lecz uznano w końcu, że w Berlinie potrzebny jest człowiek bardziej energiczny. Wybór padł więc na Józefa Lipskiego – specjalistę do spraw niemieckich i naczelnika Wydziału Zachodniego.

Pociągi Göringa

Przyszły ambasador w Berlinie urodził się we Wrocławiu w roku 1894. Jego ziemiańska rodzina posiadała duży majątek w Lewkowie w południowej Wielkopolsce. W latach 1915–1918 studiował na uniwersytecie w Lozannie. Po powrocie do odrodzonej RP rozpoczął służbę w polskiej dyplomacji. Pełnił różne funkcje w placówkach zagranicznych, był m.in. II sekretarzem poselstwa w Londynie, I sekretarzem ambasady

eprasa.pl 7a862733ee

w Paryżu, I sekretarzem poselstwa w Berlinie. W 1925 r. został specjalistą do spraw niemieckich w centrali MSZ, a po trzech latach awansował na naczelnika Wydziału Zachodniego. Był najmłodszym pracownikiem MSZ na takim stanowisku. Miał 39 lat, gdy odszedł z niego, aby objąć kierownictwo polskiego poselstwa w Niemczech.

Natychmiast po przyjeździe do Berlina nowy poseł zameldował się u ministra spraw zagranicznych Konstantina von Neuratha, który przyjął polskiego dyplomatę grzecznie, ale z dystansem. Rozmowa była krótka i zakończyła się typowymi kurtuazyjnymi frazesami. Wkrótce nowy poseł wyprawił bankiet dla korpusu dyplomatycznego pracującego w stolicy Rzeszy. Z niemieckiej strony wzięli w nim udział Joseph Goebbels i Hermann Göring, którzy wydawali się bardziej otwarci niż Neurath. Lipski przyjął zaproszenie Göringa i złożył mu wizytę w położonym w okolicach Poczdamu ogromnym dworze Karinhall. Göring zbudował tam liczącą kilkaset metrów kwadratowych makietę z torami kolejowymi, którą uwielbiał się bawić w obecności gości.

Podczas rozmowy przy koniaku i cygarach Göring przekonywał Lipskiego do zbliżenia politycznego z Niemcami, koniecznego – jego zdaniem – do powstrzymania bolszewickiej ekspansji na Europę. Mówił, że państwa zachodnie są słabe i tchórzliwe, a ponadto ich kręgi intelektualne łatwo ulegają sowieckiej propagandzie. Twierdził, że zadanie to historia wyznaczyła właśnie Rzeszy i Rzeczypospolitej. Była to pierwsza z licznych wizyt, które składali sobie polski dyplomata i niemiecki dostojnik. Wkrótce Hitler powierzy mu rolę swojego nieoficjalnego przedstawiciela do spraw kontaktów z Polską.

Hitler przyjął nowego posła w listopadzie, po trzech miesiącach oczekiwania. Podczas wizyty Lipskiego w Kancelarii Rzeszy obaj zrobili na sobie korzystne wrażenie. Kanclerz nie miał w sobie niczego z „bestii", jak opowiadali niektórzy, mówił dużo, a z jego słów wynikało, że chce budować przyszłość swojego kraju w oparciu o pokój i konstruktywną pracę. Zagrożenie dla Europy widział w bolszewickiej Rosji i dlatego chciał poprawy stosunków z Polską. W związku



Ambasador Józef Lipski po złożeniu listów uwierzytelniających FOT. NAC

z tym Hitler zaproponował podniesienie rangi obu przedstawicielstw dyplomatycznych do ambasad. Przy pożegnaniu Hitler odprowadził Lipskiego do drzwi i długo ściskał mu rękę na pożegnanie.

Poseł zrelacjonował Józefowi Beckowi szczegóły wizyty. Szef MSZ zaaprobował propozycję Hitlera, ale postawił warunek: obie strony podpiszą pakt o nieagresji. Kanclerz był skłonny zgodzić się od razu, jednak von Neurath postawił weto. Nie udało mu się wprawdzie zniechęcić Hitlera do układu, ale doprowadził do osłabienia jego rangi. Miała to być deklaracja o niestosowaniu przemocy, a nie pakt jako taki. Warszawa – za pośrednictwem Lipskiego – wyraziła na to zgodę.

Dokument podpisano w niemieckim MSZ w styczniu 1934 r., a przedstawicielstwa obu krajów stały się ambasadami. W ten sposób Polska zrównała się pod względem hierarchii dyplomatycznej z czołowymi krajami europejskimi, takimi jak Francja i Wielka Brytania, a także ze Stanami Zjednoczonymi (większość dyplomatów akredytowanych w Berlinie pozostała posłami).

Warszawa była zadowolona z nowego ambasadora. Przyjął go w obecności Becka sam Piłsudski, zalecając pilne patrzenie Niemcom na ręce. Zdaniem Marszałka barometrem w relacjach polsko-niemieckich będzie Gdańsk. Jeśli Niemcy nie będą się upierać przy przejęciu go, wówczas będzie można z nimi współpracować z obopólną korzyścią, ale gdyby sytuacja uległa zmianie, należy powiedzieć stanowcze „nie" – bez względu na konsekwencje. Lipski wyszedł od Piłsudskiego w pogodnym nastroju. Nic przecież nie wskazywało na zmianę niemieckiego kursu wobec Polski, a sam Göring powtórzył mu wymowne słowa Hitlera: „Musiałbym być szaleńcem, żeby wywoływać wojnę światową z powodu tak prowincjonalnego miasta jak Gdańsk".

Lipski propagował kulturę polską na terenie Niemiec. Przyczynił się m.in. do wystawienia „Halki" Stanisława Moniuszki – najpierw w operze w Hamburgu, a następnie w Berlinie. Artyści wykonywali partie opery po niemiecku. Ambasador uczestniczył w premierowych pokazach niemieckich filmów o wydźwięku polonofilskim, m.in. historyczno-przygodowego „Ritt in die Freiheit" z fabułą umieszczoną w okresie powstania listopadowego (1937 r., reż. Karl Hartl) oraz „Warschauer Zittadelle", według dramatu Gabrieli Zapolskiej pt. „Tamten" (1937 r., reż. Fritz Peter Buch). Wziął też udział w uroczystym otwarciu wystawy polskiej rzeźby współczesnej, a ponieważ na wernisaż przyszedł sam Hitler, Lipski oprowadzał go i tłumaczył wymowę poszczególnych dzieł.

Niebezpieczne tony

Gdy na początku 1938 r. tekę szefa Urzędu Spraw Zagranicznych objął Joachim von Ribbentrop, ulubieniec Hitlera, relacje niemiecko-polskie zaczęły się psuć. Nowy minister był pełnym wyższości, aroganckim i oschłym bufonem, traktującym z góry nie tylko Polaków. Bezczelny Ribbentrop był Hitlerowi potrzebny, bo w tym samym 1938 r. planował zajęcie Austrii i Czechosłowacji. Doszło wówczas do poważnego błędu ze strony Polski: wykorzystując sytuację, nasze władze wystosowały 30 września ultimatum do Pragi, domagając

eprasa.pl 7a862733ee



Józef Lipski i Magda Goebbels FOT. NAC

się zwrotu tzw. Śląska Zaolziańskiego. Tereny te, za rzeką Olzą, zostały brutalnie i krwawo oderwane od odradzającej się Polski przez Czechów w roku 1919. Rząd czechosłowacki przyjął polskie ultimatum i na początku października wojska polskie zajęły sporny obszar. Posunięcie rządu RP było Hitlerowi bardzo na rękę.

W ślad za euforią kanclerza poszły niemieckie gazety. Październik i listopad 1938 r. to okres, gdy Polska miała w Niemczech najlepszą „prasę". Również pozycja ambasadora Lipskiego była wówczas bardzo mocna. Wydawało się, że stosunki polsko-niemieckie są na jak najlepszej drodze do dalszego pozytywnego rozwoju.

Otrzeźwienie nadeszło niemal natychmiast. Maska rzekomych przyjaciół spadła w listopadzie tego samego roku, gdy Ribbentrop zaprosił Lipskiego na śniadanie w celu omówienia – jak to ujął – całościowych relacji niemiecko-polskich. Niemiec przedłożył wówczas Polakowi propozycje, z których już pierwsza była nie do przyjęcia: „Gdańsk wraca do Rzeszy". W drugim punkcie Niemcy żądały zgody Polski na przeprowadzenie przez „korytarz" pomorski eksterytorialnej linii kolejowej i autostrady do Prus Wschodnich. Inny punkt postulował przystąpienie Rzeczypospolitej do paktu antykominternowskiego potocznie nazywanego „osią". W Warszawie zapanowała konsternacja.

Na początku stycznia 1939 r. Hitler zaprosił Becka na rozmowy do swojej rezydencji w Berchtesgaden. W rozmowach towarzyszył mu Lipski. Kanclerz powtórzył „ofertę" przekazaną przez Ribbentropa w listopadzie, a na długi wywód polskiego ministra, w którym ten przedstawił argumenty wykazujące, jak bardzo Gdańsk jest ważny dla polskiej gospodarki, odparł, że rozumie stanowisko gościa, ale sam musi liczyć się z niemiecką opinią publiczną, dla której miasto to jest jednoznacznie germańskie.

„Zbyt łatwe podboje uderzyły mu do głowy. Już zapomniał, co mówił kilka lat temu o Gdańsku jako o prowincjonalnym mieście, które nie stanie się zarzewiem konfliktu w stosunkach z nami" – powiedział minister do ambasadora, gdy po wyjściu z rezydencji kanclerza omawiali rozmowę. Józef Lipski zgodził się z nim. Nie mógł sobie darować, że dał się omamić niemieckim rozmówcom, którym chodziło tylko o to, żeby przygotować bezpieczny grunt pod ekspansję terytorialną na szeroką skalę.

Następnego dnia w Berlinie Becka podjął Ribbentrop i powtórzył słowa Hitlera. O ile jednak ten ostatni dbał o pozory i zachowywał uprzejmy ton, o tyle szef niemieckiego MSZ był arogancki i natarczywy. Zgodzono się, że ostateczną odpowiedź otrzyma w Warszawie, dokąd zaprosił go Beck na koniec stycznia w celu uczczenia piątej rocznicy podpisania deklaracji o niestosowaniu przemocy.

Przerwane połączenie

Wizyta warszawska niczego jednak nie zmieniła. Zarówno prezydent Ignacy Mościcki, jak i marszałek Edward Śmigły-Rydz, kreowany na następcę Piłsudskiego, uznali, że Berlinowi nie wolno ustępować. Ribbentropa i jego delegację podjęto bardzo grzecznie i gościnnie, ale na koniec Niemcy usłyszeli od Becka twarde „nie". Zmieniło to całkowicie stosunek Rzeszy do Polski.

Niemiecka prasa rozpoczęła wrogą naszemu krajowi kampanię, a po przyjęciu przez Rzeczpospolitą zadeklarowanej przez Anglię pomocy wojskowej Berlin wszedł na wojenną ścieżkę. W kwietniowym przemówieniu w Reichstagu Hitler zerwał układ o nieagresji, obwiniając Polskę o wspieranie wrogów Rzeszy, a na początku maja w sejmowej mowie Józef Beck dał odpór kanclerzowi, oświadczając, że „Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da". Podkreślił również, że „pokój ma cenę wysoką, ale wymierną, ale my w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę".

Zmianę tę bardzo mocno przeżył sam Lipski. Uważał się za winnego, ponieważ prowadził w Berlinie politykę lansującą optymistyczną wizję przyszłości w relacjach polsko-niemieckich. Był bliski depresji. Trzykrotnie złożył rezygnację, ale Beck jej nie przyjmował. Prosił, aby ambasador zaczekał do września, aż powierzy placówkę Szembekowi, jednak ten ostatni nie zdążył jej objąć.

Ostatnie spotkanie Lipskiego i Ribbentropa odbyło się tuż przed wybuchem wojny, późnym popołudniem 31 sierpnia. Doszło do niego z inicjatywy ambasadora Włoch, który na polecenie Mussoliniego próbował powstrzymać Rzeszę przed napaścią na Polskę. Rozmowa trwała dwie minuty. Minister powiedział ambasadorowi, że jeśli Polska nie chce przyjąć niemieckich warunków, to nie mają o czym rozmawiać. Po czym wyprosił go z gabinetu. Wieczorem Niemcy pozbawili ambasadę RP łączności telefonicznej i telegraficznej. Krótką informację o roz-



Od lewej: Józef Lipski, Adolf Hitler i Herman Göring podczas otwarcia wystawy sztuki polskiej FOT. NAC

eprasa.pl 7a862733ee



Jan Kiepura i Joseph Goebbels FOT. NAC

mowie z Ribbentropem Lipski przesłał Beckowi za pośrednictwem iskrówki.

1 września ambasadę otoczyła policja. Polacy dowiedzieli się, że nie wolno im wychodzić na zewnątrz „ze względu na własne bezpieczeństwo". Lipski nakazał palenie szyfrów i ważniejszych dokumentów, a sam zwrócił się do ambasadora brytyjskiego z prośbą o opiekę nad budynkiem i mieniem ambasady, spodziewając się swojego rychłego wyjazdu wraz z personelem. Niemcy nie spieszyli się z jednak z wypuszczeniem polskich dyplomatów, a 3 września opieka brytyjska stała się nieaktualna ze względu na wypowiedzenie przez ten kraj wojny III Rzeszy. W tej sytuacji Brytyjczycy również musieli opuścić Niemcy, a opieki nad polskim mieniem dyplomatycznym na terenie Niemiec podjęło się poselstwo Królestwa Szwecji, które jednak pomimo starań nie zdołało zapobiec zagarnięciu go przez rząd hitlerowski.

Droga przez piekło

4 września Józef Lipski otrzymał zgodę Niemców na opuszczenie wraz z personelem terytorium Rzeszy. Odstawiono ich pociągiem do granicy z Danią, skąd dostali się do Kopenhagi. Po krótkim odpoczynku w poselstwie RP ambasador wyruszył do Polski, ponieważ minister Beck zobowiązał go, żeby zameldował się u niego po wyjeździe z Niemiec. W warunkach wojennych rozkaz ten był absurdalny, ale Lipski twardo zamierzał go wykonać.

Wybuch wojny ukazał jego nowe oblicze – gorącego patrioty gotowego z poświęceniem walczyć o Polskę. Podróż z Danii przez Szwecję i Finlandię nad granicę litewsko-polską trwała trzy doby. Jeszcze w Kownie, skąd Lipski połączył się z Warszawą, przekazano mu polecenie kierowania się na wschód i szukania tam ministra Becka. Gdy w aucie skończyło się paliwo i nie było możliwości zatankowania go, Lipski wraz z towarzyszącym mu personelem większość drogi przebył na piechotę przez kraj pogrążony w piekle wojny, z rzadka korzystając z furmanek. Za Niemnem było mniej samolotów wroga, ale gdy dyplomaci kierowali się na Lwów, a potem dalej na Zaleszczyki, kilka razy otarli się o śmierć. Tym razem nie ze strony Niemców, ale miejscowych Ukraińców, którzy z nietajoną radością obserwowali upadek państwa polskiego. Próbowali pochwycić dyplomatów, jednak ci byli uzbrojeni i skończyło się na kilku strzałach w powietrze.

Lipski odnalazł Becka kilkanaście kilometrów przed granicą rumuńską. Jego kolumna samochodów stała w gigantycznym korku, ponieważ rumuńska straż graniczna nie spieszyła się z przepuszczaniem na swoje terytorium polskich uciekinierów. Noc spędzili we wsi, gdzie w urzędzie gminy wójt kazał przygotować dla nich łóżka polowe. Lipski zdał wówczas raport Beckowi z tułaczki po opuszczeniu Berlina. Ambasador zaproponował, że mógłby zostać i spróbować podjąć rokowania z niemiecką administracją okupacyjną, wykorzystując swoje berlińskie znajomości, z Göringiem na czele. Chodziło mu wyłącznie o ulżenie losowi ludności cywilnej. Beckowi pomysł się spodobał i wydał Lipskiemu polecenie przedostania się do Warszawy i oczekiwania tam na wkroczenie Niemców.

Rozkaz okazał się niewykonalny. Lipski wyruszył wprawdzie w kierunku stolicy, ale wszystkie drogi i dróżki były już we władaniu uzbrojonych ukraińskich nacjonalistów. Wrócił więc na granicę rumuńską – Beck i część rządu ciągle byli po polskiej stronie. Rumuni wzięli pod specjalną „opiekę" zarówno Mościckiego, jak i Śmigłego-Rydza, a także samego Becka, co w praktyce oznaczało ich internowanie. Starania Lipskiego, by dotrzeć do ministra, spaliły na panewce. Wyruszył więc do Bukaresztu, gdzie zgłosił się do ambasadora Rogera Raczyńskiego. Ten poradził mu szybki wyjazd do Francji, co Lipski uczynił.

W Paryżu powstał rząd emigracyjny z gen. Władysławem Sikorskim na czele, a ponieważ nikt nie był zainteresowany usługami byłego ambasadora w Niemczech, jako zgranego dyplomaty, Lipski zdecydował się wstąpić do wojska.

Mundur zamiast smokingu

Jako zwykły szeregowy chciał odkupić swoje „winy" z czasów, gdy na salonach ściskał dłonie hitlerowców. Przyjęto go, nie bez oporów ze strony władz wojskowych, ponieważ miał już 45 lat. Jako piechur (grenadier) wziął udział w walkach we Francji, a po klęsce przedostał się przez Hiszpanię i Portugalię do Anglii. Tam Naczelny Wódz awansował go do stopnia podporucznika i odznaczył Krzyżem Walecznych. Na odznaczenie to Lipski zasłużył w czasie walk nad Albą, kiedy polski szwadron ułanów rozniósł niemal całą kompanię niemieckiej piechoty.

W Londynie ppor. Lipski kierował komórką polityczną do spraw niemieckich w Gabinecie Naczelnego Wodza. Towarzyszył także Sikorskiemu w rozmowach z politykami angielskimi oraz amerykańskimi w czasie podróży tego ostatniego po USA. Po katastrofie gibraltarskiej Lipski pracował w gabinecie politycznym gen. Kazimierza Sosnkowskiego i towarzyszył mu w podróżach zagranicznych.

Po wojnie przeszedł do cywila w stopniu majora. Do Polski nie powrócił, pozostając w Londynie. W październiku i listopadzie 1950 r. towarzyszył gen. Władysławowi Andersowi w czasie jego wizyty w Stanach Zjednoczonych.

W 1951 r. wyjechał do USA jako nieoficjalny przedstawiciel emigracyjnego rządu polskiego w Waszyngtonie. Działał wśród Polonii, spisywał notatki z pobytu na berlińskiej placówce, jak również z okresu wcześniejszego, oraz przygotowywał do druku swoje raporty dyplomatyczne wysyłane do warszawskiego MSZ. Publikował też artykuły w emigracyjnych periodykach: „Bellonie" oraz „Sprawach Międzynarodowych". Zmarł po długiej chorobie na początku stycznia 1958 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7a862733ee



Święty Franciszek wśród trędowatych

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LA FRANCESCHINA, PERUGIA, BIBLIOTECA AUGUSTA

Leki z piekła rodem / Odchody, bezoar i żaby

Medyczne koszmary średniowiecza



Łukasz Czarnecki

Ówczesne terapie równie dobrze, co wyleczyć, mogły posłać pacjenta na tamten świat. Dlatego co bardziej zapobiegliwi średniowieczni medycy zwykli brać wynagrodzenie z góry...

Gdyby do naszych czasów przenieść Polaka z XIV w. i posłać go do przychodni zdrowia, prawdopodobnie uznałby on, że znalazł się w niebie. Za panowania Kazimierza Wielkiego w całym Królestwie Polskim praktykowało bowiem zaledwie... 33 mistrzów medycyny, z których 19 miało swoje gabinety w Krakowie! Za usługi liczyli sobie takie stawki, że mogli z nich korzystać tylko ludzie naprawdę majętni.

Nie wiemy niestety, jak kształtowała się liczba specjalistów działających w średniowieczu na ziemiach polskich, tj. chirurgów, cyrulików i balwierzy. Ci pierwsi zajmowali się nie tylko urazami kości czy organów wewnętrznych, lecz także leczeniem przypadłości, które dziś stanowią zainteresowanie lekarzy innych specjalności, np. chorób skóry. Operacje chirurgiczne przeprowadzali także cyrulicy (granica między nimi a chirurgami była zresztą płynna), balwierze zaś potrafili przeprowadzać najprostsze zabiegi, jak choćby puszczanie krwi.

Jeśli średniowiecznego człowieka spotkał nieprzyjemny wypadek i coś sobie złamał, to nie najgorszym pomysłem było udanie się do... kata. Mistrzowie małodobrzy z racji dużej praktyki w torturowaniu przestępców i przeprowadzaniu egzekucji byli całkiem nieźle obeznani z ludzką anatomią, być może nawet lepiej orientowali się w tej materii niż absolwenci uniwersytetów. Ich wiedza nie ograniczała się tylko do zadawania bólu, jako że czasem na męki trafiał ktoś, kto w toku dalszego śledztwa okazywał się niewinny. W związku z tym torturujący

eprasa.pl 7a862733ee

delikwenta kat zobowiązany był postawić go na nogi. Stąd leczenie pod okiem mistrza małodobrego było jednak jakimś rozwiązaniem.

Humory i planety

Średniowieczne poglądy medyczne ukształtowały się pod wypływem starożytnej spuścizny naukowej. Za niekwestionowany autorytet uchodził żyjący w II w. n.e. Galen, którego teorie przez całą epokę stanowiły podstawę uniwersyteckich studiów. Uczeni byli wręcz zapatrzeni w nauki antycznego mistrza – wychodzili z założenia, że jeśli fakty zaobserwowane w trakcie praktyki lekarskiej stoją w kontrze do poglądów Greka, to… tym gorzej dla faktów.

Zgodnie ze starożytną teorią za podstawowy czynnik decydujący o zdrowiu lub chorobie uważano równowagę czterech humorów (płynów) występujących w ludzkim ciele. Były to: krew, żółć, flegma i czarna żółć. Jeśli substancje te pozostawały względem siebie w odpowiednich proporcjach, to człowiek tryskał zdrowiem. Problemy zaczynały się wówczas, gdy harmonia ta została zachwiana. W takim przypadku zadaniem lekarza było przywrócenie organizmu chorego do stanu wyjściowego.

Podstawową techniką służącą ustalaniu stanu humorów było badanie moczu. Na podstawie jego konsystencji, koloru i innych cech biegły adept medycyny był w stanie określić, co też dzieje się wewnątrz pacjenta, i zaordynować odpowiednią terapię. Naczynie na mocz szybko stało się jednym z podstawowych atrybutów kojarzonych z lekarzem i jako takie trafiło nawet symbolicznie do zbiorów praw Królestwa Jerozolimskiego. Zgodnie z tamtejszymi kodeksami jeśli medyk dopuścił się błędów w sztuce, które doprowadziły powierzonego mu chorego do śmierci, to w drodze na szubienicę musiał nieść przed sobą pojemnik na urynę, tak aby powód egzekucji był dla wszystkich jasny. Nawiasem mówiąc, to



Upuszczanie krwi
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

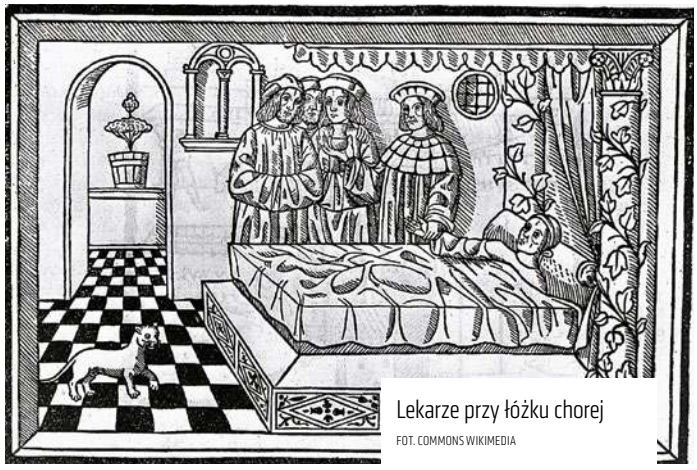
właśnie w Królestwie Jerozolimskim pod wpływem praktyki stanowiącej normę w sąsiednich krajach muzułmańskich po raz pierwszy zaczęto przeprowadzać egzaminy dające prawo do praktykowania medycyny. Lekarz dopiero co przybyły z Europy (lub z innego regionu Bliskiego Wschodu, bo pod władzą Franków działali też lekarze arabscy i żydowscy), chcąc otworzyć gabinet w danym mieście, musiał przejść odpowiednie testy przed specjalną komisją, na której czele stał lokalny biskup.

Badanie moczu, nawet jeśli teoria humoralna była błędna, rzeczywiście mogło powiedzieć medykowi dużo o stanie jego pacjenta i dać wskazówki co do właściwej metody leczenia. Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja w kwestii innego powszechnego sposobu stawiania diagnoz, w którym receptę na lek wypisywano, kierując się… horoskopem chorego. Przez całe średniowiecze astrologia, o której dziś wiemy, że jest zabobonem, uznawana była za poważną naukę. Lekarze zaczynali terapię od sprawdzenia, pod jakim układem planet urodził się chory. Bywali nawet i tacy, którzy uważali, że nie muszą odwiedzać pacjenta i go badać, bo horoskop powie im wszystko. Konfiguracje gwiazd uznawano za kluczowy czynnik choćby w czasie ciąży, ponieważ każdy etap życia płodowego miał znajdować się pod egidą innej planety. Również powszechne w owej epoce puszczanie krwi miało związki z astrologią – autorytety medyczne ze śmiertelną powagą wyznaczały dni, kiedy zabieg ten był niewskazany z powodu układu gwiazd.

Uważano również, że pewne konkretne konfiguracje mogą być przyczyną wybuchu epidemii. Gdy w 1348 r. król Francji skierował do mistrzów Sorbony zapytanie o przyczyny klęski dżumy nawiedzającej Europę, uczeni mężowie poinformowali go, że odpowiedzialne za nieszczęście są wpływy z kosmosu!

Badania pawiana

Warto tu zauważyć jeszcze jedną słabość średniowiecznej medycyny. Praktykujący w tamtej epoce lekarze, legitymujący się uniwersyteckimi dyplomami, bardzo często nie mieli pojęcia, jak ciało ludzkie wygląda w środku! Jak pamiętamy, podstawę studiów medycznych stanowiły dzieła Galena, a ów rzymsko-grecki lekarz nigdy nie przeprowadził sekcji zwłok. Co prawda, lecząc gladiatorów, sporo napatrzył się na różnego rodzaju spektakularne rany, ale jakoś nigdy nie odważył się wziąć na stół nieboszczyka i sprawdzić, co też znajduje się w jego wnętrzu. Nie znaczy to, że klasyk nie odczuwał potrzeby poznania zasad anatomii. Zdawał sobie sprawę, że lekarz powinien orientować się w wyglądzie organów wewnętrznych, ponieważ sprowadzał z Afryki małpy i kroił je na kawałki. Nie za bardzo wiadomo, czy były to człekokształtne w rodzaju szympansów (co miałoby z racji ich bliskiego krewniactwa z ludźmi sens) czy o wiele łatwiej dostępne na rzymskim rynku pawiany z Afryki Północnej. Fakt



Lekarze przy łóżku chorej
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 7a862733ee



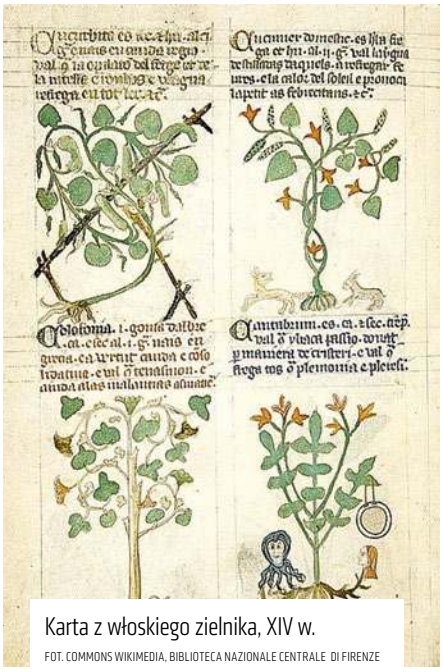
Sekcja zwłok. Obraz Bartholomaeusa Angelicusa z XV w.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

pozostaje jednak faktem – wszystko, co Galen wiedział o konstrukcji ludzkiego organizmu, było efektem badań z zakresu „anatomii porównawczej".

Pomyłki starożytnego lekarza przeszły do kanonu medycyny i jego późniejsi następcy brali je za pewnik, wbijając przy okazji do głowy swym uczniom. Średniowieczni medycy byli przy tym w o wiele gorszej sytuacji niż Grek, bo nie dysponowali nawet małpami. O krojeniu ludzkich zwłok mowy być nie mogło, ponieważ takich praktyk zabraniał Kościół. Co nie zmieniało faktu, że nawet najbardziej twardogłowi zwolennicy Galena wiedzieli, iż nauka anatomii wyłącznie z książek, trudno zresztą dostępnych, to zadanie karkołomne, a legitymujący się takim wykształceniem lekarz prędzej wyśle chorego na tamten świat, niż go wyleczy.

Krakowskim targiem z braku człekokształtnych utarła się praktyka, że studenci medycyny po zajęciach chodzili do miejskich jatek i oglądali oprawianie przez rzeźników świń, robiąc przy tym notatki. Oczywiście wieprzek lub locha różni się od Homo sapiens diametralnie, dlatego żacy stanowili stały element widowni w trakcie publicznych egzekucji. Gdy kat łamał kołem lub – jeszcze lepiej – patroszył skazańca, chciwe oczy adeptów sztuki Eskulapa śledziły każdy jego ruch, starając się zapamiętać jak najwięcej z krwawego widowiska.

Aby najlepiej zobrazować, jakie problemy ze znajomością ludzkiej anatomii mieli średniowieczni medycy, przywołajmy anegdotę z pierwszych lat istnienia Królestwa Jerozolimskiego. W roku 1101 władca Jerozolimy Baldwin I został raniony kopią w bok przez tureckiego wojownika. Do króla czym prędzej wezwano lekarza, który początkowo za bardzo nie wiedział, jak się za leczenie koronowanego pacjenta zabrać, miał bowiem bardzo nikłe i wyłącznie teoretyczne wiadomości na temat budowy ludzkich organów wewnętrznych. Pomysłowy medyk szybko znalazł jednak rozwiązanie, za które dziś pozbawiono by go prawa wykonywania zawodu. Tak się składało, że pod ręką był wzięty do niewoli Saracen. Adept sztuki medycznej zaproponował, by zadać mu dokładnie taki sam cios jak ten, który powalił króla, po czym dobić i przeprowadzić sekcję zwłok, na podstawie której określi się metodę leczenia Baldwina I.



Karta z włoskiego zielnika, XIV w.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTECA NAZIONALE CENTRALE DI FIRENZE

Na plus władcy Królestwa Jerozolimskiego należy zapisać, że stanowczo sprzeciwił się pomysłowi, którego nie powstydziłby się sam dr Mengele. Czas jednak uciekał i coś trzeba było zrobić. Ostatecznie lekarzowi dostarczono niedźwiedzia, wychodząc z założenia, że skoro czasem chodzi na dwóch łapach jak człowiek, to w środku też będzie miał podobną konstrukcję. Nieszczęsne zwierzę zraniono, zabito i pokrojono, by sprawdzić, jakie obrażenia zadała mu kopia. W całej tej historii najdziwniejsze jest to, że król przeżył tę dziwaczną terapię, po czym zasiadał na tronie jeszcze przez 17 lat.

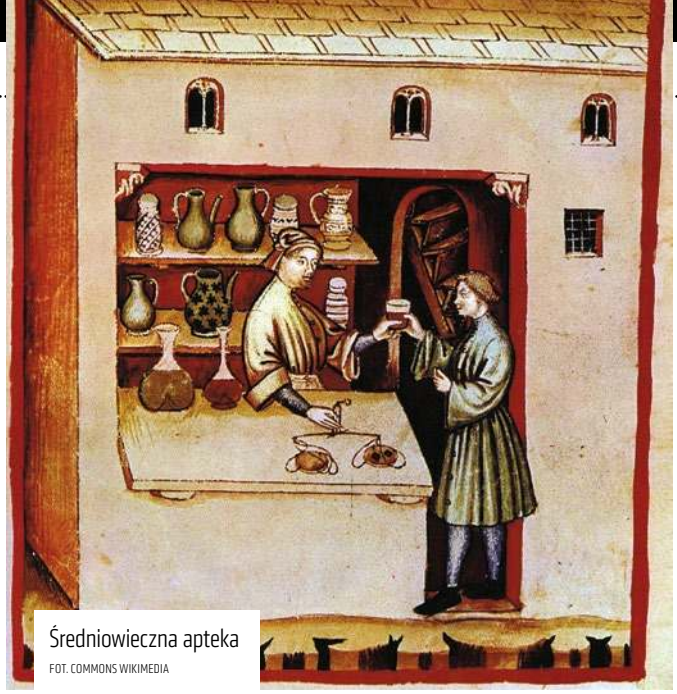
Uniwersalne recepty

Czego mógł się spodziewać chory, gdy przeszedł już podstawowe badania, lekarz przeanalizował skład moczu i postawił horoskop? Średniowiecze znało różnego rodzaju medykamenty, z których znaczna część wedle współczesnej nauki bardziej szkodziła, niż pomagała.

Niektóre z dostępnych wówczas leków wytwarzano z ziół. Te akurat mogły działać naprawdę i przynosić ulgę cierpiącym. W każdym klasztorze przy infirmerii (klasztornej izbie chorych) znajdował się ogród, w którym uprawiano rośliny o właściwościach leczniczych. Przełożony lazaretu produkował z nich specyfiki, które potem serwowano zdjętym niemocą mnichom. Co ciekawe, część ówczesnych leków mogłaby nam całkiem smakować, z dokumentów dotyczących funkcjonowania szpitali w Królestwie Jerozolimskim dowiadujemy się bowiem, że jednym z ważniejszych surowców stosowanych w produkcji medykamentów była trzcina cukrowa. Aptekarze łączyli ją z ziołami i owocami, tworząc lecznicze syropy i powidełka.

Inny sposób leczenia chorych, również mający przynajmniej w części przypadków sens, stanowiła zmiana diety. Uczeni uważali, że to, co jemy, ma wpływ na równowagę humorów w naszym organizmie. Jeśli więc została ona zachwiana, to odpowiedni dobór pokarmów mógł pomóc

eprasa.pl 7a862733ee



Średniowieczna apteka
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

ciału wrócić do pożądanego stanu wyjściowego. Niektóre produkty spożywcze uznawano za ogólnie niewskazane. Przykładowo złą sławą cieszyła się wieprzowina, a zwłaszcza mięso z lochy. W Szpitalu św. Jana w Jerozolimie, prowadzonym przez zakon joannitów, tego ostatniego nigdy nie serwowano chorym, a mięsiwo pochodzące z wieprzy trafiało do menu tylko w określonych porach roku. Za niewskazane uchodziły też sery, zwłaszcza słone, i niektóre gatunki ryby, wśród których za najbardziej niebezpieczne dla zdrowia uznawano węgorze. Pewne zamieszanie panowało w kwestii pstrągów – niektóre autorytety medyczne zalecały karmienie nimi pacjentów, inne zdecydowanie to odradzały.

Tym sposobem omówiliśmy sposoby leczenia, które miały sens. Teraz przejdziemy do dziwniejszych pomysłów. I tak za doskonały lek na różne dolegliwości uchodziły… odchody – zarówno ludzkie, jak i zwierzęce. Suszono je i dodawano do wina, choć wątpliwe, by nawet to było w stanie choć trochę osłodzić taką kurację.

Inny obrzydliwy medykament stanowił bezoar. Był to kamień powstały z substancji odkładających się w żołądkach kóz, jeleni i innych roślinożerców. Uznawano go za cudowny lek na wszystkie dolegliwości, a aptekarze słono sobie zań liczyli. Najbardziej pożądane były bezoary orientalne pochodzące z Indii lub równie odległych wschodnich krain. Działał tu znany mechanizm psychologiczny – skoro coś jest obce i egzotyczne, to musi działać. Dla chorych mieszkańców średniowiecznej Europy jedyne dobroczynne skutki „leczenia" bezoarem wiązały się z efektem placebo. Jeśli nieszczęśnik kurowany tą substancją wracał do zdrowia, to zawdzięczał to raczej przyrodzonej sile swojego organizmu niż cudownym właściwościom rzekomo magicznego kamienia.

Kolejny „wspaniały" lek to driakwie. Nazwą tą określano mieszanki składające się z ogromnej liczby (mogło ich być nawet kilkadziesiąt) składników, których przyrządzenie było ogromnie skomplikowanym procesem. Współczesne badania (prowadzone także przez polskich naukowców), w trakcie których odtwarzano na podstawie dawnych przepisów driakwie, a następnie badano ich właściwości chemiczne, wskazują, że niektóre z nich rzeczywiście mogły mieć działanie lecznicze. Wynikało to z tego, że obok cudacznych wypełniaczy do mieszaniny dodawano również składniki będące substancjami czynnymi o dobroczynnym wpływie na ludzki organizm.

W XIV w. poszukujący remedium na dżumę uczniowie Galena uznali, że doskonałym sposobem leczenia będzie wykorzystanie w terapii… żab. Płazy należało (żywe!) przykładać do dymienic na ciele pacjenta. Z jakichś powodów uznano, że zwierzęta powinny być ułożone na skórze chorego brzuchem do góry. Według tej koncepcji wilgotna skóra płaza wyciągnie z organizmu zakażonego dżumą trawiący go jad...

Megaszpital

Korzenie europejskiej, zorganizowanej służby zdrowia sięgają właśnie do tej epoki. Począwszy od XI w., w miastach zakładane były pierwsze szpitale, z tym że początkowo miały one niewiele wspólnego z leczeniem chorych – nazwą taką określano przytuliska dla biednych, starych i bezdomnych, w których życiowymi rozbitkami opiekowali się członkowie zgromadzeń zakonnych.

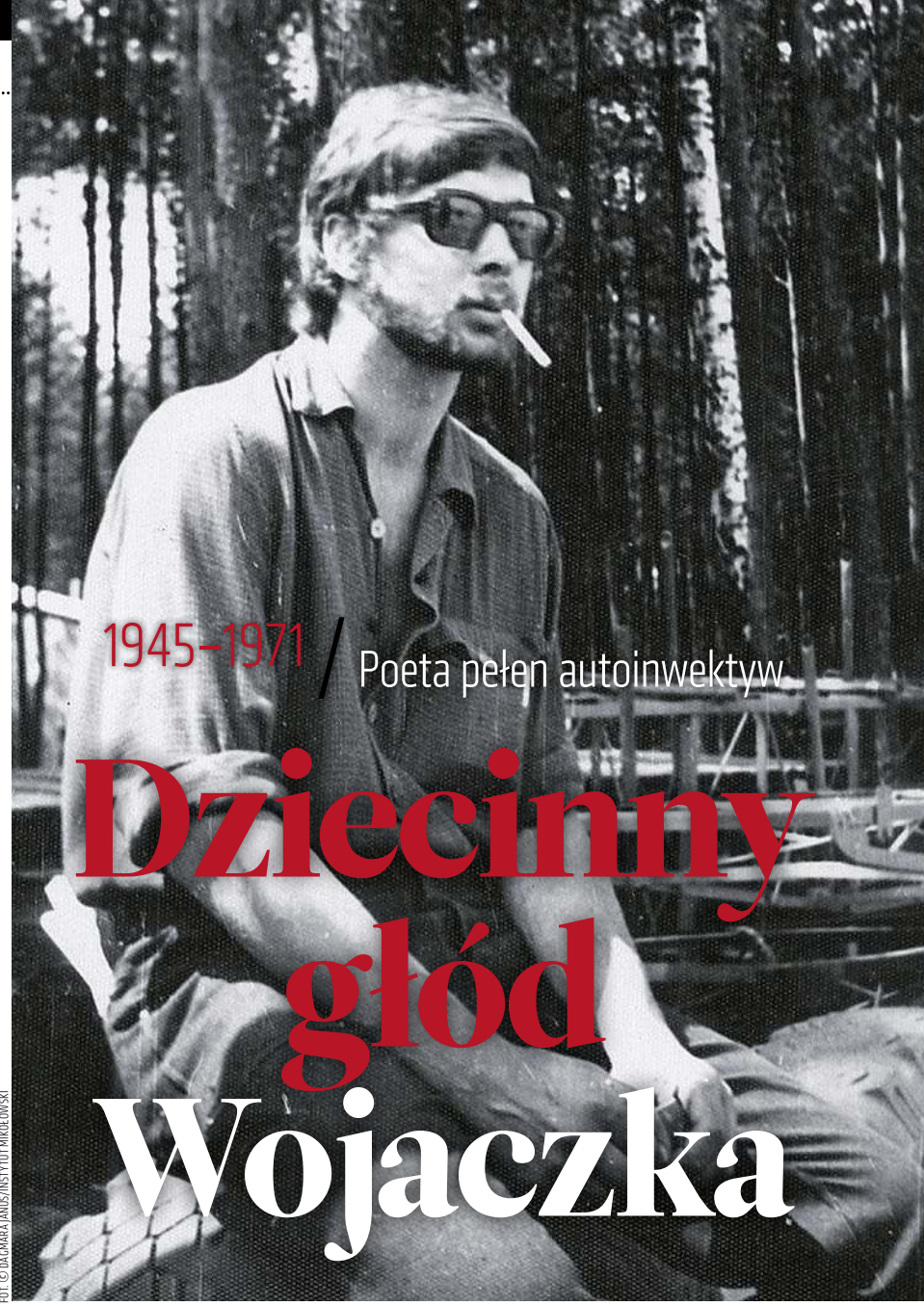
W roku 1048 w Jerozolimie powstał Szpital św. Jana. W okresie wypraw krzyżowych lecznica ta należała do zakonu joannitów, czyli szpitalników. Choć najbardziej kojarzeni są oni jako rycerze walczący z muzułmanami, to równocześnie stawiali sobie za cel opiekę nad chorymi. Początkowo jerozolimska instytucja przypominała swoje europejskie odpowiedniki i miała zapewniać schronienie i odpoczynek przybywającym z Zachodu pielgrzymom. Jednak w ciągu XII w., pod wpływem wzorów czerpanych z państw muzułmańskich oraz Bizancjum, Szpital św. Jana przemienił się w profesjonalną lecznicę. Rozmach, z którym działali joannici, imponuje nawet w XXI w. Ich placówka była w stanie zapewnić opiekę 2 tys. pacjentów jednocześnie!

Mimo swego ogromu szpital zatrudniał nieliczną kadrę. Z dokumentów wynika, że służyli w nim ośmiu lekarzy oraz grupa pielęgniarzy. Nie zaprowadzono podziału na oddziały, ograniczając się do oddzielenia od siebie części budynku przeznaczonych dla mężczyzn i kobiet. Za równie ważną, co pomoc medyczna uważano opiekę duchową. Pacjent rozpoczynał pobyt pod szpitalnym dachem od spowiedzi i przyjęcia Komunii, a przez cały okres terapii, jeśli siły mu na to pozwalały, zobligowany był do udziału w porannej mszy. Dzień również kończyły obrzędy religijne – wieczorem przez szpital przechodziła procesja.

Szpital św. Jana działał aż do zdobycia Jerozolimy przez Saladyna. Sułtan pozwolił braciom ewakuować chorych i bezpiecznie opuścić miasto. W murach Jeruzalem pozostała tylko garstka braci opiekujących się pacjentami, których choroba przykuła do łóżek. W następnych dekadach joannici prowadzili podobne lecznice w Akce i na Cyprze. W ich ślady po III krucjacie poszli Krzyżacy, którzy z czasem stracili jednak zainteresowanie świadczeniem usług medycznych. Z kolei templariusze w pełni ukierunkowali swój zakon na działalność militarną i nie otwierali szpitali – służba zdrowia interesowała ich tylko w kontekście opieki nad chorymi lub rannymi braćmi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7a862733ee



FOT. © DAGMARA JANUS/INSTYTUT MIKOŁOWSKI

1945–1971 / Poeta pełen autoinwektyw

Dziecinny głód Wojaczka



Krzysztof Masłoń

Nieliczni widzieli w nim wielką nadzieję poezji polskiej, zdarzali się nawet tacy, którzy doszukiwali się w nim genialności. Dla większości Rafał Wojaczek był jednak przypadkiem, najdelikatniej mówiąc, kłopotliwym czy wręcz kuriozalnym

Bo i co było z nim począć? „Nie zstąpił pomiędzy nas w kruchym, astmatycznym ciele, powiedzmy, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, ale w ciele gwałtownego, prawie dwumetrowego dryblasa – pisał Stanisław Bereś. – Nie tworzył w samodyscyplinie jak Proust, w pokoju obitym korkiem, ale włóczył się po knajpach, pił wodę brzozową i spirytus salicylowy, wiersze pisał nawet na kontuarach zalanych wódką lub piwem. Nie ma wątpliwości: nie jest łatwo uznać kogoś takiego za brylant swojego środowiska".

Ów „brylant" w wierszu „Koniec świata" tak przepowiedział swoją przyszłość:

To mogło być we wtorek albo w piątek
Niewykluczone też że w poniedziałek lub środę
A równie dobrze w czwartek sobotę czy w niedzielę
W styczniu lecz także w lipcu zgódźmy się
Że to przecież nie jest takie ważne
W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym
Zdaje się – którymś rano lub o zmierzchu
W samo południe albo o północy
W pogodę słoneczną może w deszcz może w czas zamieci
Na własnym pasku powiesił się
Na czymś stosownym czy nie na rurze od bojlera
Dwudziestoiluśtamletni skończony alkoholik
Rafał Wojaczek syn
Edwarda i Elżbiety z domu Sobeckiej.

Pospieszył się, ale tylko trochę. W rzeczywistości dożył 11 maja 1971 r. I nie powiesił się, ale połknął o wiele za dużą dawkę środków farmakologicznych. Do dziś trwają spory o to, czy miało to być samobójstwo czy kolejne, w jego niespełna 26-letnim życiu, igranie ze śmiercią. Wreszcie skuteczne.

Ktoś, kogo nie znam

„Nikt nie osądzał go surowiej niż on sam. Trudno się dystansować od Wojaczkowych autoinwektyw i pogardy, jaką miał dla siebie samego" – twierdził jeden z najbliższych mu ludzi, Bogusław Kierc, autor książki „Rafał Wojaczek. Prawdziwe życie bohatera". I tak, i nie. Jeśli chodzi o swoją poezję miał wszakże niesłychanie rozdęte ego, a najmniejszą krytykę przyjmował fatalnie. Trudno zresztą, by było inaczej, skoro zgodnie z osobiście przez niego rozumianą teorią reinkarnacji, uznawał się za wcielenie Artura Rimbauda, a wspomnę tu jeszcze o Jezusie Chrystusie. „Dopiero wiele lat po śmierci Rafała dowiedziałem się, że Rafał wysyłał niektórym znajomym swoją fotografię z wykaligrafowanym na czole napisem INRI. Co mnie nie zdziwiło,

eprasa.pl 7a862733ee

bo to pragnienie (niemożliwego) upodobnienia się do Chrystusa (a raczej do »roli« Chrystusa) było dla mnie widoczne w Rafale niemal od początku naszej znajomości" – przekonywał Bogusław Kierc.

Poeta był ochrzczony, choć wychowany został w atmosferze zgoła niereligijnej. Nie wiadomo więc do końca, jak to tam było z jego stosunkiem do Boga. Ale chyba z przekonaniem pisał: „Musi być ktoś, kogo nie znam, ale kto zawładnął / Mną, moim życiem, śmiercią; tą kartką".

Stanisław Srokowski rzecz tak ujmował: „Rafał formalnie był niewierzący, ale z całą pewnością przeszedł w swoim życiu kilka etapów myślenia o Bogu. Pochodził z rodziny niewierzącej, szukał więc od najmłodszych lat odpowiedzi na pytanie, jaki jest świat, jeżeli nie jest taki, jakim chcą widzieć go jego rodzice.

Rozważania nad Bogiem widać w jego kilku wierszach z różnych lat. Pytanie, czy traktował Boga jako symbol, kulturowy znaczek i element dekoracyjny języka, czy może rozgrywało się to u niego na poziomie głębokich doznań duchowych, znajduje swoją odpowiedź tylko w jego poezji…".

Bo przecież nie w życiu, które prowadził. Do dzisiaj widzi się w nim tyleż poetę, ile skandalistę. Chociaż… Bolesław Nowicki, towarzysz jego peregrynacji po wrocławskim „szlaku", obruszał się: „Jakie skandale?! A co to za skandal dać komuś w pysk albo rzucić w niego popielniczką? Może jak na tamte czasy w Polsce to było jakieś zdarzenie, ale tak naprawdę Rafał był zdolny co najwyżej do małych incydentów".

Takie małe to znów nie były, skoro huczało o nich w całym Wrocławiu, a potem w całym kraju.

Syn swojej matki

Już jego debiut w grudniu 1965 r. wywołał wielkie wrażenie, by nie powiedzieć szok. Szczególnie dotyczyło to jednego z siedmiu zaprezentowanych wtedy w pierwszym numerze miesięcznika „Poezja" jego utworów. Zatytułowanego „Mit rodzinny":

To jest kiełbasa
To jest moja matka jadalna



Dagmara, córka Rafała Wojaczka, i jego brat Piotr przy tablicy we Wrocławiu upamiętniającej poetę FOT. ADAM HAWAŁEJ/PAP

Ona wisi na niklowym haku
i pachnie kominem

Ona jest tania zresztą nigdy się nie drożyła
była wyrozumiała i znała możliwości

Ja jestem synem mojej matki
i pewnego młodzieńca
który nie był ostrożny
a pewnie był złośliwy
a może tylko nie wiedział
Matka wtedy była zamroczona
a potem było jej żal

Teraz ja jestem głodny
a moja matka wisi

Więc wpatruję się w wystawę
i czuję
jak mi cieknie
ślina i sperma

Wiem za chwilę już nie będę się wahał
wejdę i poproszę
tę właśnie

To jest kiełbasa
To jest moja matka jadalna
A to jest mój głód dziecinny.

Matka dała poecie miłość, bezwarunkową. A także – akcentował Kierc – gwarantowała i chroniła jego tożsamość. „Ojciec uważał – czytamy w »Prawdziwym życiu bohatera« – że za bardzo mu pobłażała i że to »po niej był fantastą«. Można się z tym zgodzić, założywszy uczuciowe podobieństwo Rafała do matki. Jej wybitna inteligencja, cierpliwa łagodność i pobłażliwość miały swoją drugą stronę w ostrych niekiedy i gwałtownych reakcjach, jak wówczas, gdy z kolekcji wiszących na ścianie (jedenastu?) egzemplarzy broni palnej porwała strzelbę i wymierzyła w męża wracającego z birbantki".

Elżbieta Wojaczek z domu Sobecka wymarzyła sobie trzech synów artystów. W pewnej mierze się to spełniło; młodszy brat Rafała – Andrzej – został aktorem, jedynie najstarszy – Piotr – choć nawet miał po temu warunki, stał się nie śpiewakiem, a z odcieniem lekceważenia czy wręcz pogardy nazywanym przez Rafała „panem inżynierem". Miał mu za złe, że prowadzi mieszczański żywot, zresztą taki, o którym skrycie marzył, nie przyznając się oczywiście do tego.

Inżyniera usiłował też ojciec zrobić z Rafała, wbijając mu ten pomysł do głowy, kiedy po problemach szkolnych syna zabrał go do siebie, do Kędzierzyna, gdzie zamieszkał po separacji z żoną i pracował w liceum wieczorowym. „Wspólne bytowanie obu Wojaczków stanowiło jedną z najcięższych prób i dla ojca, i dla syna" – powiada Kierc.

„Kiedy rodzice odseparowali się od siebie – w 1956 roku – co można uznać za konsekwencję poszukiwania innych miejsc pracy (bo przecież ojciec przyjeżdżał do domu w soboty i zostawał na niedziele), kiedy więc rodzice zaczęli żyć osobno, Rafał jaskrawo zobaczył różnicę między domeną »męskiego« i domeną »kobiecego« i uświadomił sobie ich nieprzystawalność" – czytamy w „Prawdziwym życiu bohatera".

Żył krótko, a przecież zdążył nawet, by rzecz ująć górnolotnie, założyć rodzinę. 11 stycznia 1965 r. pojął za żonę poznaną we wrocławskiej Klinice Psychiatrycznej Akademii Medycznej, której był pacjentem, uczennicę liceum medycznego, odbywającą tam prak-

eprasa.pl 7a862733ee

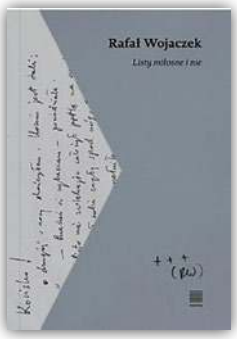
tykę przed ukończeniem szkoły. 15 czerwca tegoż roku przyjdzie na świat ich córka Dagmara. Małżeństwo zaraz się rozleci, a alimenty płacić będzie matka Rafała.

Hektar wódki

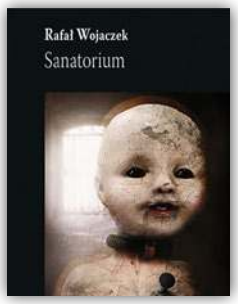
W Mikołowie, gdzie się urodził i spędził dzieciństwo, ma dziś swoją ławeczkę, przypomina go też pamiątkowa tablica. Podobne znajdziemy i w Kędzierzynie-Koźlu, i we Wrocławiu. Jego przeprowadzki wzięły się z problemów edukacyjno-wychowawczych. Żeby zdać maturę, zmieniał licea – najpierw na katowickie, potem na szkoły w Kędzierzynie. W 1963 r. udało mu się zdobyć potwierdzone stosownym dokumentem świadectwo dojrzałości, ale już rok wcześniej dokonał swej pierwszej próby samobójczej i zarejestrowany został w poradni antyalkoholowej. Jeszcze przed maturą, tym razem w mieszkaniu ojca, znów odkręcił kurki z gazem i podciął sobie żyły.

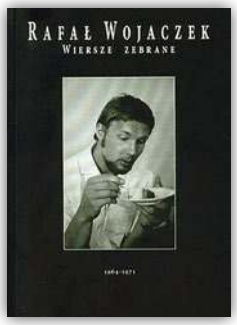
Gdy już zdał maturę, wybrał się na studia, na polonistykę Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ale nie nastudiował się, nie uzyskując już po pierwszym semestrze zaliczenia z łaciny. Przewaletował w Żaczku do końca roku akademickiego, rojąc o kontynuowaniu nauki na wydziale filozoficznym, tyle że na karcie zdrowia zdobył wpis: „Nie może studiować na żadnej wyższej uczelni. Psychopatia". Bogusław Kierc pisze: „Zapytany przez Macieja M. Szczawińskiego o to, czy – jako ojciec – Edward Wojaczek [ojciec poety] był rozczarowany decyzją przerwania studiów przez Rafała, odpowiedział, że zbytnio się tym nie przejął, wiedział bowiem,











że »on już myśli o innych sprawach«. To istotne. Zważywszy, że – po przyznaniu Rafałowi stypendium i miejsca w akademiku, przy skromnym warunku zdania łaciny – wszystko zdawało się układać najpomyślniej, by wybitnie utalentowany student Rafał Wojaczek stał się magistrem Wojaczkiem, doktorem Wojaczkiem, a kto wie (wiedział), czy nie profesorem Wojaczkiem. Oczywiście – profesorem doktorem habilitowanym Rafałem Wojaczkiem. Wolał pozostać w roli (i w ciele) »Tego skur..syna Wojaczka, poety / Pijaka i darmozjada, którego / Dawno powinni byli zamknąć«.

Czym w istocie były te »inne sprawy«, o których »już myślał« Rafał Wojaczek? Najszybciej odpowiadając, uznałbym, że były to duchowe, a najpierw – intelektualne przygotowania do konfrontacji z (rozpoznanym w sobie) własnym geniuszem. Zapewne sam Rafał nie określał tego (ani nie odczuwał) jako geniuszu, ale istoty zjawiska był świadom – w nie mniejszym stopniu niż Jean Genet, autor zdania, które mógłby już wówczas potwierdzić Wojaczek: »Geniusz to rozpacz przezwyciężona samodyscypliną«".

Po opuszczeniu Krakowa swoje najważniejsze i – jak miało się okazać – ostatnie miejsce na ziemi znalazł poeta we Wrocławiu. Jego o 12 lat starszy brat, Piotr Wojaczek, w filmie dokumentalnym z 1993 r. pt. „Rafał Wojaczek, którego nie było" mówił: „Ja do dzisiaj właściwie nie wiem, dlaczego Rafał wybrał Wrocław. Być może uważał, że będzie miał we mnie jakieś oparcie? I zapewne je miał. Powiadam: zawsze gdy był w potrzebie, to do mnie trafiał. A jednocześnie chciał mieć dużo swobody – i ja mu tej swobody nie krępowałem. Pierwsze miesiące były spokojne. Ale potem zaczęły się jego kontakty z wrocławskim środowiskiem twórczym. I taki też był początek osobistej tragedii Rafała. Zaczął pić. Oto zarzewie mojego z nim konfliktu, bo ja żadną miarą tego nie aprobowałem. Nazwijmy to wyraźnie: nie godziłem się z jego alkoholizmem! Przecież kilkakrotnie zaszywano mu Esperal, a on go sobie – na żywca – wydłubywał. Więc powiadam: tego nie aprobowałem. Cóż, usamodzielnił się wtedy i zamieszkał oddzielnie".

A jak to było z jego pijaństwem? Najlepiej oddać głos samemu obiektowi tych wynurzeń i jego „Piosence o poecie II":

Poeta pisze o ojczyźnie
(mała wódka)
Poeta pisze o kobiecie
(mała wódka)
Poeta pisze (czysta wódka)
sztukę robi

Poeta pisze całe rano
(ile wódki)
Poeta pisze po południu
(dużo wódki)
Poeta pisze wieczór noc
(hektar wódki jak mówi
B. Antochewicz kapitan MO)

Poeta pije
(szkoda słów).

Zabił się – młody...

Wrocław Wojaczka to temat rzeka. Nie sposób nie docenić wysiłku Stanisława Beresia i Katarzyny Batorowicz-Wołowiec włożonego w przygotowanie i edycję „Wojaczka zwielokrotnionego", ogromnego rozmiarami tomu wspomnień, relacji i świadectw osób, których drogi życiowe przecięły się z poetą nad Odrą. Niestety, lektura tej książki przede wszystkim przygnębia. Pewnie nie mogło być inaczej. Wciąż bowiem – jak pisze Stanisław Bereś – „dla jednych Wojaczek jest bratem-łatą, z którym wypili morze wódki, dla drugich – budzącym przykre wspomnienia środowiskowym kloszardem, godnym uwagi wyłącznie jako utalentowany poeta, dla trzecich wreszcie –

eprasa.pl 7a862733ee

psychotycznym awanturnikiem, którego ociekające spermą i krwią wiersze stały się – niezasłużenie – symbolem wynaturzenia współczesnej kultury".

A jednak jego grób na cmentarzu św. Wawrzyńca we Wrocławiu, mimo upływu lat, przyciąga wielu ludzi, często zadziwiająco młodych. Czego szukają w tym podtrzymywanym kulcie poety, który jeśli możemy porównywać z jakimkolwiek innym, to tylko z legendą Edwarda Stachury? Obaj poeci znali się zresztą, na pewno cenili, pociąg do alkoholu też ich łączył. Ale ludzi pióra niezmiernie rzadko dotykają takie dowody pamięci jak Wojaczka. Skąd więc ta pośmiertna adoracja? Czy wyłącznie dlatego, że – jak pisał Juliusz Słowacki w „Kordianie" – „Zabił się – młody…"? W końcu nie on jeden.

„Nie wszystkie swoje przygody zbójeckie uznał za godne utrwalenia w pieśni. Wiedział, że i tak to, o czym nie napisze, zostanie opowiedziane przez świadków, a potem – przez tych, którzy tylko słyszeli, ale będą tak mówić, jakby przy tym byli. A więc opowiedzą i o słynnych przejściach przez szybę wystawy i przez szklane drzwi, i o wyskokach przez okno drugiego piętra, i zaraz o zgubionym w tych okolicznościach buciku, i o poszukiwaniu tegoż przez nieszczęsnego, a nieposzkodowanego skoczka; i o jego wściekłości na siebie, kiedy zadźgawszy się kilkakrotnie w szyję, uratowany, musiał zapłacić sporą sumę za czterdzieści szwów. Pieśń ujdzie cało. I pieśni ujdzie". Na szczęście można spuentować te słowa Bogusława Kierca. I przywołać taką np. „Modlitwę bohaterów" – jak by powiedział Miłosz – „jeden z piękniejszych, tak jest, polskich wierszy":

Na brednię naszą i na naszą nędzę
Na zatwardziałość w naszym szaleństwie

I na naszego głodu głośny krzyk
Na dom nasz który opuściły sny

Na naszą mowę wielce bełkotliwą
Na rozpaczliwie niedorzeczną miłość

I na znikomość wszystkich naszych prac
Na koszmar nocy i na bezsens dnia

Na naszych mistrzów bezradnych i smutnych
Oraz na sędziów ponuro okrutnych
Na biedne matki dogorywające
Przez nasze winy chcące i niechcące
Na nasze serca obrzękłe wątroby
Na nasze wargi popękane szorstkie

Na roztrzęsione fatalnie ręce
Oraz na mózgi w daremnej męce

I na te płuca co bez powietrza
Na strach bezsenny Na koszmarny zegar

Na wszystko co jest udziałem naszym
Błagamy wzgląd miej ironiczna Pani.

Poetą się jest

Napisano o nim całą masę bzdur. Niektóre trafiły do Wikipedii, gdzie z hasła mu poświęconego dowiadujemy się, że był kibicem Górnika Zabrze. Niewiele mądrzejsza jest druga adnotacja, o rzekomej fascynacji Wojaczka „burzliwym życiem Marka Hłaski, do którego nawiązywał w poezji".

Polityka interesowała Wojaczka tyle o ile, a raczej nie interesowała wcale. Na wątpliwe wdzięki komuny pozostawał olimpijsko obojętny, pewnie ze względów estetycznych, a także – bądźmy sprawiedliwi – dla esbecji np. też był on nieinteresujący. Za wiele sprawiał kłopotów – sobie samemu i wszystkim wokół.

Trudno zrozumieć dzisiaj tamten czas, w którym poeci bratali się z menelami, a polityczne było wszystko. W zalewającym Polskę oceanie kłamstw takie słowa jak te z wiersza Wojaczka „Ogólniki" miały niesłychaną moc:

Uczciwe społeczeństwo, które mnie wyklucza
Nawet nie wie, jak wielu głosów w sobie słucham,
Prawdziwy naród mając u siebie we krwi.

Słowo polskie, plugawa gazetowa mowa,
Jeśli cenzurze wymknąć się niekiedy zdoła
Nieregulaminowo i tak wdzięcznie brzmi.

Po śmierci poety na podstawie błahych przesłanek usiłowano wmówić czytelnikom, że był poetą koncesjonowanym. Tyle że np. z dwóch dystychów złożonych w wiersz „To nie fraszka" trudno wyciągać jakiekolwiek wnioski poza tym, że w sumie tworzą one całkiem zgrabną całość:

Kiedy Ty mówisz „rzeka", to ja słyszę „Odra"
Kiedy Ty „dom" powiadasz, to ja słyszę „Polska"

Kiedy Ty mówisz „Odra", to ja słyszę „ręka"
Pewne ramię, na którym twój dom się opiera.

Tymczasem wiersz ten miał dowieść, jakoby Wojaczek podlizywał się komunie. No cóż, rzeczywiście utwór ten, z 1969 r., napisany został na konkurs, w którym należało wykorzystać motywy oparte na słowach: „rzeka, ręka, dom". I co z tego?

Rafał Wojaczek w „Sanatorium", swojej na dobrą sprawę jedynej, godnej zauważenia prozie, stwierdził: „Zaprawdę powiadam ci, poetą się jest. Jest się nim, żyjąc. Zaś bywa się czasem skrybą, czyli grafomanem. Bywa się nim wtedy, kiedy braknie siły, by dźwigać ciężar swego życia. Wtedy ucieka się do ogródka sztucznym sposobem ogrodzonego i sadzi się smętne kwiatki na schludnej grządce. Jeszcze dobrze, gdy temu procederowi towarzyszy ironia. Ale najczęściej ogrodnikowi wydaje się, że kwiatek pieczołowicie przez niego hodowany dorównuje urodą niebieskiej róży".

Jaki więc był Rafał Wojaczek? Tymoteusz Karpowicz, w jakiejś mierze jego odkrywca i do pewnego czasu mistrz, uważał, że „był »trochę Verlaine'owski«, »trochę Baudelaire'owski«, co zresztą wskazywał tytułami swoich zbiorów. »Sezon« jest na przykład nawiązaniem do Rimbaudowskiego »Saison en enfer«. On poniekąd kontynuował te – z gruntu bardzo romantyczne – postawy, łącząc proces twórczy z biografią w sposób absolutny, najściślejszy, jakby tylko poprzez biografię dało się coś prawdziwego wydedukować dla poezji – jedność życiorysu, dnia codziennego i słowa. To właśnie mówił. I robił najdoskonalej".

Jak w wierszu „Ojczyzna":

Matka mądra jak wieża kościoła
Matka większa niż sam Rzymski Kościół
Matka długa jak transsyberyjska
Kolej i jak Sahara szeroka

I pobożna jak partyjny dziennik
Matka piękna niczym straż pożarna
I cierpliwa jak oficer śledczy
I bolesna jak gdyby w połogu

I prawdziwa jak gumowa pałka
Matka dobra jak piwo żywieckie
Piersi matki dwie pobożne setki

I troskliwa jakby bufetowa
Matka Boska jak Królowa Polski
Matka cudza jak Królowa Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7a862733ee



Jarosław Kaczyński i Lech Wałęsa FOT. JERZY KOŚNIK/PAP

Książka miesiąca / Burzliwe początki III RP

Szczęśliwa „wojna na górze”

Okrągły Stół, wybory 1989 r., Jaruzelski prezydentem, weryfikacja esbeków, plan Balcerowicza, „wojna na górze”, wyprowadzenie wojsk sowieckich z Polski, pierwsze w pełni wolne wybory. A do tego afera alkoholowa i ART-B. Opowieść prof. Antoniego Dudka o wydarzeniach pierwszych lat III Rzeczypospolitej jest niezwykle klarowna i w sposób bardzo wyważony przedstawia istotę wydarzeń i racje politycznych oponentów.

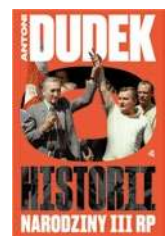
Autor stwierdza, że kontrakt polityczny wynegocjowany między PZPR a opozycją „nie oznaczał ani pokojowego przekazania władzy, jak twierdzą apologeci Okrągłego Stołu, ani makiawelicznego spisku, jak utrzymują jego radykalni przeciwnicy”. Istotą kontraktu były częściowo wolne wybory w zamian za silną prezydenturę Jaruzelskiego – to w Belwederze miał być realny ośrodek władzy. Generał Kiszczak straszył, że żaden inny prezydent nie znajdzie posłuchu w wojsku i w siłach bezpieczeństwa. Moskwa dała zielone światło układowi sformułowanemu przez Adama Michnika: „Wasz prezydent, nasz premier”. Natomiast prezydent George Bush senior obawiał się, że jeśli Jaruzelski nie zostanie prezydentem, to proces demokratyczny w Polsce może się załamać. Jednak – jak stwierdza Antoni Dudek – sposób, w jaki Jaruzelski został wybrany na urząd prezydenta, „przetrącił generałowi polityczny kręgosłup” i nie pozwolił mu skorzystać z ogromnych uprawnień. Można powiedzieć: całe szczęście.

Plan Balcerowicza miał ogromną cenę, którą zapłaciło społeczeństwo. Profesor Dudek uważa jednak, że jeśli Polska chciała wyjść z dramatycznej zapaści, to trzeba było przyjąć ten plan. Odrzucenie go oznaczałoby niemożność uzyskania ze strony Zachodu funduszu stabilizacyjnego do walki z hiperinflacją. Chodziło jednak o coś ważniejszego. „Próba realizacji zasadniczo odmiennego kursu niż ten wyznaczony w Waszyngtonie była oczywiście możliwa, ale jej ceną byłoby prawdopodobnie pozostanie Polski w rosyjskiej strefie wpływów”.

Z rozdziału poświęconego „wojnie na górze” jasno wynika, że Polsce groziło powstanie nowej „siły przewodniej”, a miał stać się nią „sformalizowany ruch obywatelski”, monopolistyczna formacja, której twarzą był m.in. Adam Michnik. Dla redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej” to nie ludzie niedawnego aparatu władzy PZPR, lecz zwolennicy „nacjonalistycznego zaścianka” – jak ich nazwał – byli najgroźniejszymi przeciwnikami. Jego oponent z tego „zaścianka”, Jarosław Kaczyński – jak stwierdza autor – bał się politycznego monopolu jednej formacji. Solidarnie więc działał wraz z prezydentem Wałęsą, który rzucił głośne słowa o „wojnie na górze”. Czytelnikowi nasuwa się tu jeden wniosek: rozłam w obozie solidarnościowym był szczęśliwym wydarzeniem, dzięki któremu nie ma dziś w Polsce hegemonistycznej partii, swoistej „siły przewodniej” narodu, jak niegdyś PZPR. To zasługa Lecha Wałęsy i Jarosława Kaczyńskiego.

W kontekście nadchodzących wyborów prezydenckich zwraca uwagę krytyczna opinia Antoniego Dudka o wprowadzeniu w 1990 r. (co zostało utrwalone w konstytucji z 1997 r.) do systemu parlamentarno-gabinetowego urzędu prezydenta, wybieranego w powszechnych wyborach, a więc mającego silny mandat demokratyczny. Oznacza to bowiem chroniczny konflikt z rządem, możliwy nawet, gdy prezydent i premier wywodzą się z tego samego nurtu politycznego. Profesor Dudek nazywa to „klątwą rzuconą na Rzeczpospolitą”. ©℗

Tomasz Stańczyk



ANTONI DUDEK
„DUDEK O HISTORII. NARODZINY III RP”
WAB

eprasa.pl 7a862733ee

Kripowcy z Garwolina

W książce „Terror niemiecki w powiecie Garwolin 1939–1944” dr Norbert Bączyk przedstawia okupacyjne dzieje Kreishauptmannschaft Garwolin. Jej największą zaletą jest prezentacja struktur niemieckiej administracji cywilnej, policji i wojska, których nierozpoznanie jest słabością wielu polskich publikacji. Autor opisuje więc składy osobowe m.in. podległej żandarmerii Polnische Polizei GG czyli Policji Polskiej nazywanej od koloru mundurów policją granatową. Autor opisał także m.in. złożone z Niemców i Polaków formacje Banhnschutzpolizei (policja kolejowa) i Schupo (Policja Ochronna).

Walką z ruchem oporu kierowała garwolińska placówka Sipo (Gestapo i Kripo) licząca trzech–czterech niemieckich funkcjonariuszy. W pracy wspierało ich kilkunastu wywiadowców z Polskiej Policji Kryminalnej (tzw. polskie Kripo). Ponieważ część z nich pracowała na tym terenie przed wojną, mieli bardzo dobre rozeznanie dzięki dysponowaniu siatkami konfidentów. Polscy kripowcy nie tylko zajmowali się zwalczaniem przestępczości kryminalnej, lecz także uczestniczyli w operacjach przeciwko ruchowi oporu. Jedna z takich akcji miała miejsce we wsi Słup. 7 lutego 1943 r. konfident Kripo Stanisław Łysiak zameldował, że został napadnięty przez bandytów, którzy przebywają w domu jego sąsiada Franciszka Owczarczyka. Kiedy czterech polskich kripowców przyjechało samochodem do wsi, natknęło się na wycofujących się gwardzistów (Gwardia Ludowa). W rezultacie poległ plutonowy PPK Onufry Czyż. Gdy wiadomość o tym dotarła do dowódcy garwolińskiego plutonu żandarmerii, por. Georga Friedricha Petersa, zarządził on akcję odwetową. Żandarmi, którzy pojawili się we wsi w towarzystwie granatowych policjantów i polskich funkcjonariuszy Kripo, zabili członków rodzin miejscowych komunistycznych konspiratorów Owczarczyków (sześć osób) i Chmielaków (dwie osoby) oraz spalili ich zabudowania.

Jednocześnie zapewne z uwagi na dużą wartość, jaką dla okupantów stanowili polscy funkcjonariusze Kripo, Dowództwo SS i Policji w dystrykcie warszawskim nakazało egzekucję 10 osób zatrzymanych jako zakładnicy w areszcie w Garwolinie. Ostatecznie rozstrzelano 17–18 osób. Natomiast denuncjator Stanisław Łysiak zginął w marcu 1943 r. w nieznanych okolicznościach, zabity albo przez GL, albo Armię Krajową. ©℗

Arkadiusz Karbowiak



NORBERT BĄCZYK
„TERROR NIEMIECKI W POWIECIE GARWOLIN 1939–1944”
INSTYTUT PILECKIEGO

Upowski jad

Sośnica. Wioska na Wołyniu, w której Polacy mieszkają obok Ukraińców. Nastoletni Bronek i Hałynka mają się ku sobie – nie byłoby to pierwsze mieszane małżeństwo w tej wiosce. Wkrótce jednak w okolicy pojawia się śmiertelna trucizna. Jad sączą ukraińscy nacjonaliści, którzy planują „oczyścić” Wołyń. Tylko niektórzy Polacy rozumieją, że robi się śmiertelnie niebezpiecznie, inni do końca ufają, że „ich” Ukraińcy nie pozwolą im zrobić krzywdy. Wciągający scenariusz, dynamiczne dialogi i klimatyczne rysunki – gratka dla fanów komiksów. ©℗ ***(p.w.)***



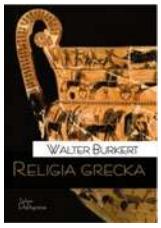
ROBERT KONSZTAT, SŁAWOMIR ZAJĄCZKOWSKI
„MAM NA IMIĘ JÓZIA”
HONES



MAREK WAŁKUSKI
„ZAKAMARKI BIAŁEGO DOMU”
EDITIO

PREZYDENCKIE SEKRETY

Niewiele jest w Polsce osób, które poznały siedzibę prezydentów USA. Autor od lat jest korespondentem w Waszyngtonie, a w Białym Domu przebywa na co dzień. Książka pełna jest historycznych wątków, współczesnych obserwacji i anegdot. Które miejsca są najpilniej strzeżone? Co na śniadanie jada prezydent? Jakie zwierzęta można tam zobaczyć? Ta lektura to jak wycieczka z dobrym przewodnikiem. ©℗ ***(a.s.)***



WALTER BURKERT
„RELIGIA GRECKA”
TEOLOGIA POLITYCZNA

WIĘCEJ NIŻ MIT

W drobiazgowy, ale i syntetyczny sposób autor wykłada dzieje religii starożytnych Greków. To znacznie więcej niż znana powszechnie mitologia grecka. Dzieło pokazuje proces kształtowania kultu, wierzeń, sposobu oddawania czci naturze, bogom, relacji człowieka z mocami nadprzyrodzonymi, które, jak wierzył, wpływały na jego los. ©℗ ***(a.s.)***



WŁADYSŁAW CZAPLIŃSKI, JÓZEF DŁUGOSZ
„ŻYCIE CODZIENNE MAGNATERII POLSKIEJ W XVII WIEKU”
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZ

MAGNAT NA CO DZIEŃ

Autorzy, analizując bogaty materiał źródłowy, przyglądają się codzienności najzamożniejszych mieszkańców przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Czy ich życie było pasmem zabaw, uciech, podróży od pałacu do pałacu i obfitych posiłków czy raczej wypełniały je praca oraz sprawy państwowe? Z czego magnaci żyli? Jak wiele mieli służby? Praca wspaniale wydana. ©℗ ***(a.s.)***

eprasa.pl 7a862733ee



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Donald Bonaparte

Nie wiem, czy przeprowadzano stosowne badania porównawcze, ale gotów jestem się założyć, że pamięć o Napoleonie jest w Polsce znacznie lepsza niż we Francji. Już Mickiewicz w pisanym „na paryskim bruku" epilogu „Pana Tadeusza" wyrzucał Francuzom niedostateczne jego docenianie, podkreślając, że u nas „dłużej płaczą po psów wiernych zgonie, niż tutaj lud po Napoleonie" (w ostatecznej wersji zmienił niecenzuralne wtedy imię na „bohatera"). A od tego czasu zachwyt Napoleonem tylko narastał i żaden Askenazy, perswadujący rodakom, jak to było naprawdę, nie był w stanie tego zmienić. Legenda szwoleżerskich wyczynów, pięknie umundurowanych wojsk Księstwa Warszawskiego i tonącego w Elsterze księcia Poniatowskiego była zbyt malownicza, by przyjmować do wiadomości, że ukochany cesarz Francuzów traktował nas, delikatnie mówiąc, instrumentalnie, że byliśmy dlań tylko kartą w grze i że ponad wszystko pragnął porozumienia z carem Rosji – co mu zresztą przyniosło zgubę.

Myślę, że ta legenda odżywa właśnie w prawicowym oglądzie 45. i zarazem 47. prezydenta Zjednoczonych Państw Ameryki – Donalda Trumpa (zawsze mnie, nawiasem mówiąc, wkurzają te idiotyczne „stany", które wrosły w polszczyznę nie wiadomo dlaczego ani kiedy – „states" to „states" i nic innego). Słyszeli państwo to entuzjastyczne skandowanie jego imienia i nazwiska przez posłów PiS w Sejmie? Czytali państwo te pełne oddania i nadziei tłity tzw. prawicowych polityków i komentatorów? No to wiedzą Państwo, co mam na myśli.

Wspomniany Mickiewicz sformułował to jasno w swoich nieszczęsnych „Księgach narodu polskiego…" (mówiąc jego własnymi słowy: „książce zbójeckiej", która oduczyła całe pokolenia Polaków politycznego realizmu). Rzeczypospolitej Obojga Narodów nie zgubiły jej wady, bo żadnych wad nie miała, ale przeciwnie – jej doskonałość. Stworzyliśmy państwo tak cudowne, tak wspaniałe, tak przyjazne obywatelom, że ościenni tyrani nie mogli znieść jego istnienia. Zmówili się więc i umęczyli Polskę, czystą i niewinną jak sam Chrystus, i zamordowali ją. Żadne liberum veto, brak skarbu, armii i władzy wykonawczej ani inne nasze fakapy nie miały z tym nic wspólnego.

/ Bonaparte potrzebował rekruta. Trump niestety też go będzie potrzebował

Jest jednak siła większa od tyranów – rewolucja! A rewolucję uosobił zwycięski wódz: Bonaparte. On tyranów, którzy zniszczyli Polskę, bije, a skoro ich bije – no to po cóż by innego to robił, jak nie po to, by Polskę wyzwolić? Prosty i oczywisty schemat, który z punktu odżył. Tak, tu, w Polsce, padliśmy ofiarą zmowy wokeistowsko-lewackich elit niemiecko-unijnych i rodzimej targowicy, która je przyzwała, ale za oceanem jest zwycięski wódz, który już „brzydkie lewactwo po dwakroć wymłócił" (jak brzmiałby ten wers, gdyby Mickiewicz pisał dzisiaj) i idzie z pomocą. Robotą dla nas będzie go tylko powitać. Nie żeby trzeba było to jakoś gruntownie przemyśleć: „szlachta na koń siędzie i jakoś to będzie", skoro Kamala przegrała w USA, mając media, pieniądze i przewagę w sondażach, to Trzaskowski mając to samo, też musi przegrać.

Jest tylko jeden problem: Napoleon zażądał od Polaków konkretnej zapłaty. Mniejsza o „sumy bajońskie", bo te okazały się nieściągalne – ale Bonaparte potrzebował rekruta. Trump niestety też go będzie potrzebował. Idea „europejskich wojsk pokojowych" na Ukrainie głoszona jest już zupełnie jawnie. Broń i umundurowanie ma kto sfinansować. A kto dostarczy rekruta?

Nieprzepracowana historia, jak nieprzebity kołkiem wampir, wraca. ©℗

eprasa.pl 7a862733ee



Piotr Semka

/ Felieton

Wiedeńska klątwa

Od wiktorii wiedeńskiej króla Jana III Sobieskiego dzieli nas 341 lat. Przez cały ten czas jakoś nie mamy szczęścia do wdzięczności Austriaków za uratowanie ich od władzy islamskiego półksiężyca.

Od pierwszych chwil po bitwie cesarz austriacki Leopold I robił wszystko, aby umniejszyć wkład polskiego władcy w zwycięstwo. Potem Austriacy odpłacili nam za uratowanie ich kraju swoim udziałem w rozbiorach Polski. A wreszcie ponawiane przynajmniej od trzech dekad starania o postawienie na wzgórzu Kahlenberg, skąd Sobieski uderzył na Turków, pomnika polskiego władcy nie mogą zakończyć się powodzeniem.

Od sześciu lat odlany w Gliwicach kilkutonowy pomnik Sobieskiego stoi w magazynie. Autor monumentu, prof. Czesław Dźwigaj, uczynił dominantą pomnika postać Sobieskiego z buławą w ręku w trakcie natarcia. Za polskim królem widoczni są husarze z ich symbolicznymi skrzydłami, a pod kopytami koni widać chorągwie pokonanej armii osmańskiej. W 2018 r., w 335. rocznicę wiktorii, wydawało się, że pomnik ma szansę na ustawienie, co było efektem porozumienia burmistrza Wiednia Michaela Häupla z Socjaldemokratycznej Partii Austrii (SPÖ) z prezydentem Krakowa Jackiem Majchrowskim. Ale potem do władzy w Wiedniu doszedł nowy burmistrz – Michael Ludwig, znacznie bardziej lewicowy niż Häupl – i sprawa monumentu na Kahlenbergu została zablokowana. Pomnik oskarżono o zbytni heroizm i podgrzewanie antyislamskich emocji. Tymczasem w Wiedniu mieszka przynajmniej pół miliona wyznawców islamu i w związku z tym jest to tu bardzo delikatny temat.

Veronica Kaup-Hasler z SPÖ, która odpowiada w radzie miejskiej Wiednia za kulturę, ogłosiła na początku listopada br., że nie ma zgody na monument, który „może zostać wykorzystany do ksenofobicznej agitacji i podsycania islamofobicznych i antytureckich resentymentów". Austriacka polityk powołała się przy tym na polsko-austriacką grupę ekspertów, choć nie było jasne, kto i kiedy ją powołał.

Jednym z jej członków jest profesor historii Bogusław Dybaś z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, który w latach 2007–2019 był dyrektorem Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu. Profesor Dybaś udzielił wypowiedzi austriackiej agencji prasowej APA, w której poparł negatywną decyzję Rady Miasta Wiednia, uznając ją za „właściwie usprawiedliwioną" ze względu na „charakter pomnika i jego niską wartość artystyczną". Oczywiście swoją negatywną ocenę okrasił „nadzieją", że „nie zamyka to dyskusji o jakiejś kolejnej formie upamiętnienia Jana III Sobieskiego".

Problem w tym, że takie stanowisko nie znajdzie z kolei specjalnego zrozumienia ani wśród Polaków w kraju, ani wśród wiedeńskiej Polonii. Już samo twierdzenie, że pomnik jest antyislamski, jest mało uczciwe. Tyle że z punktu widzenia poprawności politycznej austriackiej lewicy żadne upamiętnienie zwycięstwa nad Turkami nie jest akceptowalne. Wynika to przede wszystkim z niechęci do „heroizacji historii".

Dodatkowo w oczach wiedeńskich socjalistów pomnik kompromituje entuzjastyczne wsparcie dla uczczenia króla Sobieskiego na Kahlenbergu ze strony austriackiej prawicy spod szyldu FPÖ.

Tyle że lewica z Wiednia ma niemały atut. Po swojej stronie może zapisać takie postaci jak prof. Dybaś, który najwyraźniej austriackie normy poprawności politycznej uznaje za bardzo bliskie swoim własnym poglądom. A z takim polskim sojusznikiem można zdyskredytować zasadniczo każdy projekt upamiętnienia Jana III Sobieskiego. No chyba że nowy prezydent Krakowa wymyśli np. „bambusowy gaj pojednania Polaków, Turków i Austriaków". Tyle że taka „instalacja" nie zachwyci z kolei nikogo po polskiej stronie. Impas będzie więc trwał. ©℗

eprasa.pl 7a862733ee



Brytyjscy żołnierze lądują na Falklandach
FOT. FOX PHOTOS/ GETTY IMAGES

Wywiad / Z dr. Andrew Robertsem, autorem książki „Konflikt"

rozmawia Piotr Włoczyk

Najdziwniejsza wojna w historii

– Wysłanie znacznej części Royal Navy na drugi koniec świata wiązało się z wielkim ryzykiem. Margaret Thatcher nie mogła jednak pozwolić, by ta mała brytyjska społeczność nagle znalazła się pod rządami neofaszystowskiej dyktatury – mówi historyk wojskowości

PIOTR WŁOCZYK: Przejęcie Falklandów (nazywanych w Argentynie Malwinami) miało wzmocnić poparcie społeczne junty w Buenos Aires. Czy jednak Brytyjczycy sami nie prosili się o te kłopoty, wydając rok wcześniej, w 1981 r., tzw. białą księgę?

DR ANDREW ROBERTS: Wiele wskazuje na to, że był to duży błąd ze strony Londynu. W „białej księdze" nasz rząd ogłosił wycofanie ze służby m.in. lodołamacza obsługującego południowy Atlantyk, a także dwóch desantowych okrętów-doków – HMS „Intrepid" i HMS „Fearless". Podawano również w wątpliwość sens istnienia Royal Marines, a przecież na wyspach stacjonował wówczas oddział tej formacji. Argentyńska junta uznała, że ten krok to przyznanie, iż nasza marynarka wojenna nie będzie już roztaczać nad Falklandami takiej opieki jak do tej pory. Londyn wysłał tu sygnał słabości i tak też zostało to odczytane w Buenos Aires.

Co by się stało, gdyby to nie Margaret Thatcher była wówczas premierem?

Gdyby na czele rządu stał wtedy ktoś inny, np. laburzysta Michael Foot [ówczesny przewodniczący Partii Pracy – przyp. red.] albo nawet ktoś z torysów, tyle że mniej ambitny, moglibyśmy szukać porozumienia z Argentyńczykami. Nie tylko dlatego, że zachęcali nas do tego Amerykanie. Sekretarz Stanu Alexander Haig latał w tę i z powrotem między Buenos Aires i Londynem, starając się wypracować kompromis, dzięki któremu nikt nie musiałby ze sobą walczyć. Potężne siły wywierały presję na Margaret Thatcher, by zawarła jakiś układ w sprawie współrządzenia Wyspami. Ona jednak niemal od razu rozkazała Royal Navy płynąć na południe.

W swojej książce podkreśla pan, że Thatcher musiała się natrudzić, by przekonać nawet swoich bliskich współpracowników do próby odbicia wysp. Nie dla wszystkich Brytyjczyków było oczywiste, że Falklandy muszą wrócić pod władzę Londynu?

Nie, to nie było takie oczywiste. Od czasu kryzysu sueskiego z 1956 r. Brytyjczycy byli przyzwyczajeni do stopniowego wycofywania się, wywieszania białej flagi. Niektórzy w Partii Konserwatywnej byli bardzo zaniepokojeni decyzją Margaret Thatcher o wejściu do wojny o Falklandy.

Miał pan wówczas 19 lat, więc pewnie świetnie pan pamięta ówczesną atmosferę. I bez argentyńskiego ataku Brytyjczycy byli w „dołku"...

W tamtym okresie Thatcher nie miała dobrych sondaży i wiele wskazywało na to, że przegra wybory w następnym roku. Zmagaliśmy się z bardzo wysokim bezrobociem wynikającym z jej polityki zmierzającej do ożywienia gospodarki. Brak pracy był jednym z krótkoterminowych skutków jej liberalnego podejścia. Thatcher starała się opanować inflację i zmniejszyć wydatki budżetowe, ale ceną tego były jej notowania w społeczeństwie.

Jednak trzeba tu wyraźnie podkreślić, że premier nie podjęła decyzji o walce o Falklandy z egoistycznych powodów, by

eprasa.pl 7a862733ee

ratować swoją przyszłość w polityce. To był jej instynkt, wynikający z patriotyzmu, wiary w Wielką Brytanię. Thatcher nie mogła pozwolić, by ta relatywnie mała brytyjska społeczność – niecałe 2 tys. ludzi – nagle znalazła się pod rządami neofaszystowskiej dyktatury. Premier miała ogromną siłę woli, ale potrafiła też „sprzedać" tę wojnę brytyjskiej publice.

Nie było to takie proste, skoro nawet minister obrony w rządzie Thatcher John Nott wyrażał obawę, czy to jest dobry pomysł.

Wysłanie znacznej części Royal Navy na drugi koniec świata wiązało się z wielkim ryzykiem. Nie wiadomo było, co nasze siły zastaną na miejscu. Czy uda nam się ochronić przed atakami argentyńskich okrętów podwodnych i lotnictwa? Nie mieliśmy jawnego wsparcia ze strony USA, więc istniała obawa, że nie będziemy mogli korzystać z amerykańskich satelitów zwiadowczych. To była jedna wielka niewiadoma.

Nazywa pan konflikt o Falklandy „najdziwniejszą wojną w historii". Dlaczego?

Argentyński pisarz Jorge Luis Borges przyrównał ten konflikt do walki „dwóch łysych o grzebień". Jedna armia walczyła z drugą o wyspy oddalone od metropolii o 13 tys. km, płynąc tam sześć tygodni. Przy czym żaden kraj nie zaatakował „właściwego" terytorium przeciwnika [Falklandy mają status terytorium zamorskiego – przyp. red.]. Jako historyk drapię się w głowie, szukając podobnego konfliktu, i nic nie przychodzi mi do głowy.

Dziwne było też to, że Brytyjczycy kompletnie się tego nie spodziewali.

To był nagły cios. Ani w rządzie, ani nawet w naszym wywiadzie – MI6 – nikt tego nie przewidywał. Mieliśmy zaledwie kilka godzin uprzedzenia. Wydawało się, że co jak co, ale nasz wywiad był świetny. Tymczasem przegapiliśmy coś tak wielkiego!

Oczywiście nie sposób było obronić Falklandów siłami, które mieliście zgromadzone na miejscu.

Na Falklandach stacjonowało raptem 68 żołnierzy Royal Marines. Nie mieli żadnych szans wobec kilku tysięcy Argentyńczyków i zmuszeni byli od razu się poddać. To było upokorzenie. Royal Marines to jednostka o znaczeniu symbolicznym i poddanie się tych chłopaków było dodatkowym ciosem.



RYS. MARZENA WŁOCZYK

Wspomniał pan, że początkowo Brytyjczycy nie mogli być pewni poparcia Waszyngtonu w tym konflikcie, mimo że między waszymi krajami panują podobno „specjalne relacje". Z czego to wynikało?

Niestety, amerykańska ambasador przy ONZ, Jeane Kirkpatrick, była po stronie Argentyńczyków, tak samo jak część ważnych senatorów, choćby Jesse Helms zasiadający w Komisji Spraw Zagranicznych. Uważali oni Argentynę za kluczowego sojusznika w walce z komunizmem na terenie Ameryki Łacińskiej, co w ich oczach przeważało specjalną relację z Wielką Brytanią.



Margaret Thatcher podczas wywiadu o Falklandach FOT. MARGARETTHATCHER.ORG

Jednak na szczęście dla was większość amerykańskiego establishmentu, na czele z Reaganem, trzymała z Londynem.

Tak, Reagan instynktownie stał za Wielką Brytanią, podobnie jak Caspar Weinberger – sekretarz obrony USA. Kluczową postacią był również John Lehman, ówczesny sekretarz marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych.

Dekadę temu zrobiłem wywiad z Lehmanem – nie mógł przeżyć, że US Navy stała się tak mała.

Reagan dał mu w latach 80. pieniądze, by zbudował marynarkę wojenną wyposażoną w 600 okrętów [obecnie US Navy ma niecałe 300 jednostek – przyp. red.]. To była najpotężniejsza marynarka wojenna, jaką świat kiedykolwiek widział. Nawiasem mówiąc, po wojnie Lehman ujawnił, że gdyby Wielka Brytania straciła w walce z Argentyńczykami jeden ze swoich lotniskowców, Reagan zgodziłby się wypożyczyć Brytyjczykom śmigłowcowiec USS „Iwo Jima"...

Wracając do Falklandów – Thatcher nie wiedziała początkowo, czy da się uzupełnić zapasy na Wyspie Wniebowstąpienia. To wprawdzie brytyjskie terytorium, ale wielką bazę posiadają tam Amerykanie. John Lehman i Caspar Weinberger

eprasa.pl 7a862733ee

na czas załatwili nam konieczną pomoc i wciągnęli „na pokład" Reagana.

Brytyjczycy w trzy dni zmontowali grupę uderzeniową i wysłali ją na południe. Trzeba przyznać, że takie tempo robi wrażenie.

Przygotowaniami kierował adm. sir Terence Lewin. To był człowiek czynu. Gdy Margaret Thatcher zapytała go, czy da się to zrobić, on odpowiedział krótko: „Tak". Mieliśmy szczęście, że oprócz zdeterminowanej premier na czele Royal Navy stał admirał pamiętający drugą wojnę światową. Przypominał on pod względem charakteru adm. Bertrama Ramsaya, człowieka odpowiedzialnego m.in. za przeprowadzenie ewakuacji z Dunkierki.

Argentyńczycy spodziewali się tak zdecydowanej i szybkiej reakcji?

Nie. Junta wojskowa nie zakładała, że Margaret Thatcher okaże się tak twardą zawodniczką.

Największym zagrożeniem dla brytyjskiego zespołu uderzeniowego były argentyńskie samoloty wyposażone w świetne francuskie pociski przeciwokrętowe Exocet?

A także argentyńskie okręty podwodne. Exocety były bardzo niebezpieczne – zatopiły kilka naszych jednostek. Argentyńczycy mieli bardzo odważnych pilotów, Brytyjczycy nie obawiali się natomiast zanadto jakości ich wojsk lądowych, które okupowały Falklandy. Duża część żołnierzy pochodziła z poboru i ci ludzie nie mieli serca do walki. Gdy tylko pojawiała się okazja, by złożyć broń, korzystali z niej.

2 maja brytyjski atomowy okręt podwodny HMS „Conqueror" zatopił dwoma torpedami krążownik „General Belgrano". Doszło do tego, zanim jeszcze brytyjscy żołnierze wylądowali na Falklandach. Argentyńczycy ogłosili, że była to zbrodnia wojenna. Broni pan decyzji o zatopieniu krążownika?

Oczywiście. Wyznaczyliśmy wokół wysp 370-kilometrową tzw. TEZ, czyli Strefę Całkowitego Wykluczenia (ang. Total Exclusion Zone) i ogłosiliśmy, że każdy argentyński okręt, który znajdzie się wewnątrz tej strefy, zostanie zatopiony. „General Belgrano" cały czas krążył w tamtym rejonie, wpływając i wypływając z tej strefy. W pewnym momencie



W marszu do Port Stanley FOT. GETTY IMAGES

śledzący go HMS „Conqueror" dotarł do miejsca, gdzie rozpoczynał się szelf, i w związku z tym nie mógł już dalej za nim podążać. Margaret Thatcher musiała podjąć kluczową decyzję – zatopić krążownik czy nie.

Faktem jest jednak, że do zatopienia doszło poza strefą wykluczenia.

„Belgrano" bawił się z naszą marynarką wojenną w kotka i myszkę, więc niedługo znów wpłynąłby zapewne do strefy. Zatopienie tej jednostki nie było żadną zbrodnią, tylko efektem inwazji Argentyny na wyspy, nad którymi władzę sprawuje Wielka Brytania. Argentyńczycy popełniają tu błąd logiczny. Rzeczywiście zapowiedzieliśmy, że zatopimy ich okręty, które znajdą się w środku tej strefy, ale przecież nigdzie nie ogłosiliśmy, że ich jednostki pływające poza tą strefą będą bezpieczne. To byłby absurd! Wojna tak nie działa.

Główne siły inwazyjne wylądowały 21 maja w zatoce San Carlos Water, leżącej po przeciwległej stronie Falklandu Wschodniego niż stolica – Port Stanley. W związku z tym brytyjscy żołnierze musieli przejść, w trudnym terenie, niemal 100 km, ścierając się po drodze z Argentyńczykami. Z czego wynikała ta decyzja?



ANDREW ROBERTS, DAVID PETRAEUS „KONFLIKT"
ZNAK HORYZONT

Zatoka San Carlos Water była stosunkowo bezpieczna do wyładowania żołnierzy. Poza tym nie można było atakować frontalnie Port Stanley, ponieważ byłoby to zbyt niebezpieczne – Argentyńczycy spodziewali się nas tam i przygotowali niezłą obronę przed desantem od strony morza.

Nasze dowództwo wiedziało jednak, że to wcale nie jest wielki dystans dla młodych, sprawnych żołnierzy, którzy sześć tygodni podróży wykorzystali na intensywne ćwiczenia fizyczne. Co ważne – po drodze nie byli atakowani z powietrza. Nasze lotniskowce pozwalały na utrzymanie dominacji w powietrzu w rejonie trasy przemarszu. Po drodze doszło do regularnych bitew, jak choćby pod Goose Green czy Mount Tumbledown. Brytyjczycy zajęli w końcu wszystkie wniesienia wokół Port Stanley, zmuszając Argentyńczyków okupujących miasteczko do poddania się.

Morale okazało się tu kluczowe.

Nie tylko chodziło o wysokie morale naszych żołnierzy, lecz także o bardzo niskie morale argentyńskich poborowych. Ci ostatni byli traktowani fatalnie. Narzekali na dowodzenie, zaopatrzenie, a także nieludzki system kar.

Falklandzka wiktoria miała być wielkim sukcesem argentyńskiej junty i ugruntować jej pozycję, tymczasem rzeczywistość przyniosła skutek dokładnie odwrotny. Na skutek klęski generałowie musieli oddać władzę, a sukces uskrzydlił Brytyjczyków. Jak pan wspomina tamten czas?

Uskrzydlone były nie tylko siły zbrojne, lecz także całe społeczeństwo. Udowodniliśmy, że Wielka Brytania jest zdolna do wielkich rzeczy. Powitanie naszych okrętów w Portsmouth było jedną wielką euforią. Dzięki temu wzrosła też popularność premier i rok później Margaret Thatcher rozgromiła opozycję w kolejnych wyborach.

Jakie lekcje zostały wyciągnięte z tamtej wojny?

Prawdziwa siła odstrasza, a sygnalizowanie słabości zachęca agresora. Niestety, zapomnieliśmy o tamtej lekcji. Szczególnie widać to w kwestii wydatków na Royal Navy. Gdyby dziś Argentyna zaatakowała Falklandy, nie bylibyśmy w stanie

eprasa.pl 7a862733ee

wysłać tam zespołu uderzeniowego. Mamy wprawdzie dwa lotniskowce, ale wykonują one swoje zadania w NATO i innych sojuszach i nie moglibyśmy ich przerzucić na Falklandy. Musimy polegać na naszych siłach, które bazują na tych wyspach – od czasów wojny tamtejszy garnizon został znacząco wzmocniony.

Trudno w to uwierzyć, ale liczby nie kłamią. Grupa zadaniowa, którą Margaret Thatcher wysłała na Falklandy w 1982 r., składała się z większej liczby fregat, niszczycieli i okrętów podwodnych, niż dziś ma do dyspozycji cała Royal Navy...

Niestety, obecnie Royal Navy jest mikroskopijna – tak mała nie była od ponad 200 lat! Dość powiedzieć, że mamy teraz o wiele więcej admirałów niż okrętów... Dziś Royal Navy to właściwie siły obrony wybrzeża.

Jednak macie dwa olbrzymie lotniskowce...

Tylko że takie jednostki wymagają potężnej ochrony. Efekt jest taki, że właściwie cała reszta marynarki wojennej powinna się znaleźć w ich ochronie. Pracujemy jednak nad tym, żeby zmienić tę sytuację. W Izbie Lordów zasiada emerytowany admirał Allan West. Za każdym razem, gdy kończy swoje wystąpienie, wypowiada słowa: „I potrzebujemy więcej okrętów!". A wtedy my, siedzący po konserwatywnej stronie, krzyczymy: „Więcej okrętów, więcej okrętów!" (śmiech). Ale tak naprawdę to śmiertelnie poważna sprawa: Royal Navy musi być większa.

My w Polsce również musimy inwestować w naszą małą i przestarzałą marynarkę wojenną, bo czasy się zmieniły.

Oczywiście. Ewidentnie Polacy obudzili się i rozumieją, jak wielkim zagrożeniem jest Rosja. Widać to po waszym budżecie obronnym. Polacy dają tu świetny przykład. Natomiast my wciąż wydajemy tylko 2,3 proc. PKB na obronność. Problem polega na tym, że my właściwie od zawsze byliśmy znani jako potęga morska. Dlatego obecna sytuacja jest tak bardzo żałosna, to wręcz sprawia ból każdemu brytyjskiemu patriocie.

Rosyjska marynarka wojenna nierzadko podpływa niebezpiecznie blisko naszych brzegów, natomiast samoloty z czerwonymi gwiazdami próbują zastraszyć maszyny RAF. My również czujemy, że Putin dyszy nam nad karkiem.

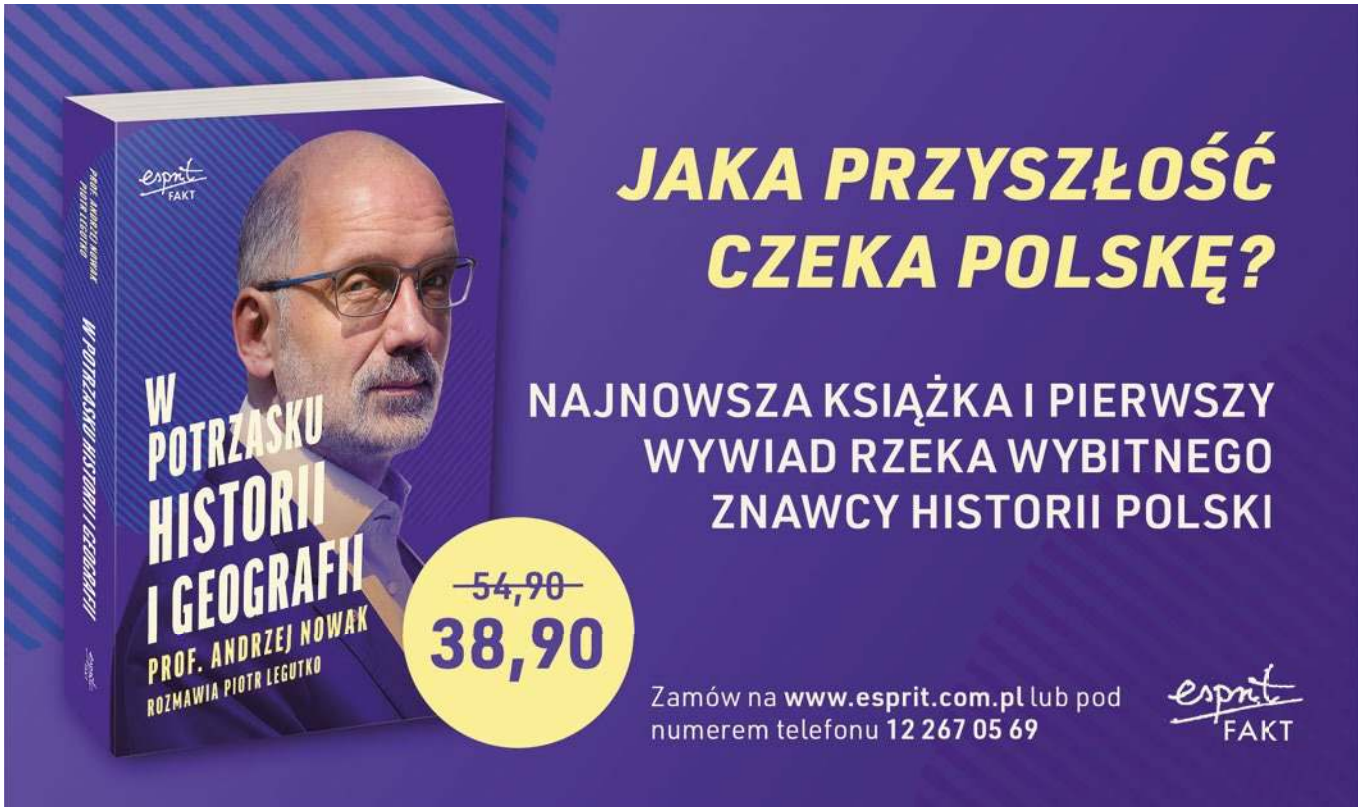
Falklandy powinny stale przypominać nam, że nawet mała wojna jest dużo bardziej kosztowna niż utrzymywanie dużych sił zbrojnych, zdolnych do odstraszania wrogów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Andrew Roberts jest brytyjskim historykiem wojskowości, członkiem Izby Lordów, autorem wielu książek na temat historii Wielkiej Brytanii. W Polsce ukazała się właśnie jego najnowsza książka (napisana wspólnie z gen. Davidem Petraeusem) pt. „Konflikt. Militarna historia wojen po 1945".

REKLAMA



eprasa.pl 7a862733ee



Milion pocisków nad Somą

FOT. ZBIORY AUTORA



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Brytyjski cekaem Vickers Mk I, czyli udoskonalona wersja słynnego Maxima, stał się jedną z ikon pierwszej wojny światowej. Zyskał uznanie żołnierzy Jego Królewskiej Mości oraz szacunek u przeciwnika

Cekaem Vickers Mk I kal. 0,303 cala (7,7 mm), który wprowadzono do uzbrojenia armii brytyjskiej w 1912 r., zachował ogólny układ i zasadę działania Maxima, ale konstruktorzy z koncernu Vickers, Sons and Maxim Co Ltd. (VSM) stworzyli dzieło dalece doskonalsze, niezaliczane do klasyków stworzonych ongiś przez genialnego Amerykanina. W wyniku stopniowego upraszczania wewnętrznych mechanizmów i konsekwentnego zbijania wagi z „ociekającego brązem" Maxima światło dzienne ujrzał karabin, którego frontowa żywotność przeszła najśmielsze oczekiwania i przyniosła mu wiekopomną sławę. Armia brytyjska nie rozstawała się z nim przez kolejne 55 lat, dzięki czemu Vickers Mk I stał się jednym z najdłużej pozostających w linii cekaemów w historii.

Maxim po nowemu

W 1901 r. w zakładach VSM opracowano „Nowy Wzór" Maxima o uproszczonym zamku, przebudowanym stalowo-brązowym donośniku i stalowym płaszczu chłodnicy, dzięki czemu zmniejszyła się waga broni. Dzieło wieńczył model z 1906 r. – ostatni z długiej linii brytyjskich Maximów. „Nowy Lekki" Maxim („New Light" Maxim) miał charakterystyczną karbowaną chłodnicę i był wykonany niemal w całości ze stali. Na wylocie lufy znajdował się odrzutnik – gazy prochowe, rozprężające się we wnętrzu jego komory, działały na przednią część lufy i nasadzony na nią pierścień, potęgując odrzut. Dzięki temu wynalazkowi można było zastosować silniejsze sprężyny powrotne, a współdziałanie obu tych czynników (odrzut – siła sprężyny) umożliwiało pokonywanie drobniejszych zacięć i oporów, a więc zwiększało niezawodność mechanizmów broni.

W 1908 r. zaprezentowano nową broń, w której kolankowo-dźwigniowy mechanizm zamka odwrócono o 180 stopni: dźwignie załamywały się nie ku dołowi, jak w klasycznym Maximie, ale ku górze. Rozwiązanie takie, w połączeniu ze skróceniem zamka oraz pozostawieniem otwartego dna komory zamkowej, pozwoliło znacznie zmniejszyć jej wysokość. Zredukowana komora jest „znakiem firmowym" karabinu maszynowego Vickersa, dzięki któremu niepodobna pomylić go z jakimkolwiek Maximem.

„Rewolucja" we wnętrzu wymusiła zmianę kierunku obrotu rączki zamkowej. Teraz w celu załadowania broni należało ją odciągnąć, co uznaje się za bardziej naturalne i wygodniejsze, gdyż prawa dłoń nie jest narażona na uderzenie rączki cofającej się pod wpływem sprężyny. Zmodyfikowano przyrządy celownicze oraz donośnik nabojów, który zyskał na funkcjonalności. W porównaniu z regulaminowym, ponad 25-kilogramowym standardowym Maximem, nowy Vickers ważył o połowę mniej!

W 1910 r. Vickersa zaprezentowano w Szkole Strzeleckiej w Hythe. Sporządzony wówczas raport trafił do Komisji Broni Strzeleckiej, otwierając etap badań i testów porównawczych ze standardowym Maximem. Vickers wychodził z nich zwycięsko – doceniono lekkość broni, a także celność, składność oraz prostsze i mniej czasochłonne rozbieranie na części. Po uwzględnieniu żądanych przez komisję zmian lądową wersję Vickersa przyjęto do uzbrojenia jako: Gun, Vickers .303-inch (lub też: Gun, Machine, .303, Mark I). W rozkazie wprowadzającym zapisano: „Pod względem konstrukcji, sposobu zasilania i działania mechaniki jest [Vickers] generalnie podobny do Maxima kal. .303, zasadnicze różnice są następujące: 1. Jest lżejszy o ok. 30 funtów [13,6 kg], 2. Jest wykonany w całości

eprasa.pl 7a862733ee



Brytyjska obsługa Vickersa podczas odpoczynku. Bitwa pod Lys, wiosna 1918 r.
FOT. ZBIORY AUTORA

ze stali (z wyjątkiem rury parowej i 1–2 małych elementów), 3. Wszystkie części składowe są wymienne […]".

Karabiny Korpusu

Ciężki karabin maszynowy Vickers był bronią samoczynną, wykorzystującą zasadę krótkiego odrzutu lufy, ryglowaną przy strzale (ryglowanie kolankowe); siłę odrzutu wzmacniał odrzutnik zamocowany z przodu chłodnicy, u wylotu lufy. Zasilanie odbywało się z 250-nabojowej parcianej taśmy, lufę chłodzono wodą. Karabin osadzano na podstawie trójnożnej – Mounting, Tripod, MG, Mk IV. Ciężar broni w położeniu bojowym (a więc z podstawą i wodą w chłodnicy) sięgał ok. 42 kg. Lufę należało wymienić po oddaniu 10–12 tys. strzałów (szybkostrzelność 200 strz./min) lub po godzinie ciągłego ognia. Teoretyczna szybkostrzelność cekaemu sięgała 500 strz./min, ale w praktyce nie przekraczała 250–300 przy szybkim ogniu, prowadzonym zazwyczaj przez krótki czas, np. w trakcie odpierania ataku. Przy ogniu zaporowym szybkostrzelność wynosiła ok. 125 strz./min.

Strzelano pięciostrzałowymi wiązkami. Podczas drugiej wojny światowej preferowano ogień 25-strzałowymi wiązkami, po których następowała trzy-, czterosekundowa przerwa. Przy szybkim ogniu jedna taśma była zużywana w ciągu minuty. Przy ostrzale nękającym stosowano dłuższe, sześcio–ośmiosekundowe przerwy.

W chwili wybuchu wojny w armii brytyjskiej było 1955 cekaemów, w tym zaledwie 109 vickersów. Niewielka liczba broni tego rodzaju, zwłaszcza w porównaniu z Niemcami, którzy w sierpniu 1914 r. mieli blisko 5 tys. cekaemów Maxim MG 08, wynikała z braku przekonania co do jej skuteczności oraz nieumiejętności taktycznego jej wykorzystania. Początek walk pozycyjnych zweryfikował te błędne założenia, inicjując jednocześnie „karabinowy wyścig zbrojeń". Do końca wojny fabryki przekazały przeszło 75 tys. vickersów wszystkich wersji.

W październiku 1915 r. cekaemy wycofano z batalionów piechoty i zgrupowano w Korpusie Karabinów Maszynowych (Machine Gun Corps). Wyodrębnienie tej formacji wynikało z potrzeby płynniejszego dysponowania cekaemami, którymi można było obdzielić dywizje i brygady aktualnie znajdujące się na linii frontu i uczestniczące w walce, a także umożliwiało specjalistyczne szkolenie żołnierzy

Na frontach



W trakcie wojny Anglicy doprowadzili użycie cekaemów do perfekcji, co znalazło uznanie także w oczach przeciwników; Niemcy twierdzili, że „angielskie karabiny maszynowe pod względem swej sprawności okazały się szczególnie dobre; z wielkim powodzeniem robiono częsty użytek z przestrzeliwania [ogień prowadzony ponad głowami własnych oddziałów w trakcie natarcia]". Niezwykle efektywny okazał się ostrzał pośredni, prowadzony spoza pierwszej linii na dalszych dystansach. Powszechnie stosowano zapory ogniowe – zarówno w celu osłonięcia własnych przegrupowań, jak i w takcie ataku – by odciąć ewentualne kontruderzenie wyprowadzane przez odwodowe oddziały nieprzyjaciela. Podczas wielkich natarć stosowano walec ogniowy, korygowany wraz z ostrzałem artyleryjskim. Innymi rodzajami były ognie neutralizujący i niepokojący; ten pierwszy, intensywny i zmasowany, kierowany był przeciwko wykrytym stanowiskom cekaemów i punktom obserwacyjnym, drugi stosowano najchętniej nocą, w celu dezorganizacji nieprzyjacielskich przegrupowań.

Najsłynniejszym epizodem związanymi z vickersami są walki 100. Kompanii Karabinów Maszynowych podczas ofensywy nad Sommą. W celu przykrycia własnych przegrupowań do natarcia (rejon Bois des Fourcaux, znany jako High Wood) 24 sierpnia 1916 r. kompania prowadziła przez 12 godzin nieprzerwany ogień ze swych 10 cekaemów. „Kapitan Hutchinson zażądał, by ostrzał był prowadzony ciągle przez dwanaście godzin, tak aby osłonić atak i konsolidację obrony zdobytego terenu – można przeczytać w brytyjskim pobitewnym raporcie. – Strzelcy zdołali wykonać ten rozkaz, a ich broń dowiodła swej wytrzymałości. Podczas ataku 24 sierpnia wystrzelono z dziesięciu karabinów maszynowych aż milion pocisków. By chłodzić lufy, zużyto co najmniej cztery kanistry z wodą, wszystkie butelki w kompanii oraz nocniki w okolicy, a do podawania amunicji ustawił się nieprzerwany rząd ludzi. Jeńcy przesłuchiwani w sztabach dywizji i korpusu zeznali, że efekt ostrzału karabinów maszynowych był niszczący i rozbijał kontrataki mające odbić utracony teren".

Vickersów używano na wszystkich frontach wielkiej wojny, także na Bliskim Wschodzie, w Afryce, na Bałkanach. Korpus Karabinów Maszynowych okrył się chwałą (jego żołnierze otrzymali siedem Krzyży Wiktorii), jednak cena, którą zapłacił, była wysoka. W latach 1915–1918, a także w czasie kilku mniejszych kampanii prowadzonych po zakończeniu pierwszej wojny światowej zginęło 1120 oficerów oraz 12 671 podoficerów i szeregowców; rannych, jeńców i zaginionych było łącznie 48 258.

Nic dziwnego, że żołnierzy Korpusu cechował wisielczy humor – sami siebie określali „Klubem Samobójców", chętnie też podkreślali zalety swej broni, o czym świadczą słowa ułożone do melodii popularnej dziecięcej piosenki: „Sing a song of Vickers Gun / Boxes full of rounds / Hundreds of the enemy / Piled up in mounds / When the fire is opened / The bullets start to spray / Now isn't it a dainty thing / With which to yearn to play". W tłumaczeniu: „Zaśpiewaj piosenkę o Vickersie / Skrzynki pełne nabojów / Setki wrogów / Piętrzą się w stosach / Kiedy ogień jest otwarty / Kule zaczynają siać / Czyż nie jest to zabawka / Którą chciałbyś się pobawić".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7a862733ee



Skutki rewolucji neolitycznej / Pracownicy walczą o swoje

Techniczne bezrobocie

Bezrobotni w Chicago w kolejce po darmową zupę fundowaną przez Ala Capone

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATONAL ARCHIVES AT COLLEGE PARK



Tymoteusz Pawłowski

Przez tysiące lat bezrobocie było zjawiskiem marginalnym i niemierzalnym. Trzysta lat temu rozpoczęła się jednak rewolucja przemysłowa: pojawiły się maszyny, które ułatwiały pracę albo wręcz zastępowały ludzi

Jeśli wierzyć kreacjonistom, to świat został stworzony o poranku 1 września 5509 r. p.n.e., a człowiek pojawił się sześć dni później. Według ewolucjonistów Homo sapiens żyje na Ziemi od 300 tys. lat, co rodzi pewien problem, ponieważ spisana historia ludzkości liczy raptem 3 tys. lat. Czym więc ludzie zajmowali się przez 297 tys. lat? Dzieje nowoczesnego świata, z nauką, przemysłem, prawami człowieka to mniej niż 300 lat, a więc 0,0001 dziejów ludzkości. A czy w ciągu tych 299 700 lat istniało bezrobocie?

Chociaż jedną z cech człowieczeństwa jest opieka nad niezdolnymi do samodzielnego zdobywania żywności, to przez pierwsze 297 tys. lat historii ludzkości praktycznie każdy musiał pracować, aby żyć. Praca polegała na zdobywaniu żywności. Kilka tysięcy lat temu – w niektórych miejscach wcześniej, w innych później – nastąpiła rewolucja neolityczna, czyli ludzie przestali się przemieszczać w poszukiwaniu jedzenia i osiedlili się, zakładając wsie, miasta i państwa. I wówczas konieczna była inna praca: budowanie domów, lepienie garnków, a także pisanie książek. Pojawiła się też nadwyżka żywności, która pozwoliła płacić za domy, garnki i literaturę.

Nadwyżka żywności oznaczała, że niektórzy mogli przetrwać, unikając pracy i licząc na jałmużnę od społeczeństwa. Pojawili się więc ludzie żyjący dzięki jałmużnie – zarówno świeccy, jak i duchowni. Ubodzy mnisi byli obecni także na Dalekim i na Bliskim Wschodzie, ale to ci europejscy zostawili po sobie pierwszy ślad związany z bezrobociem. Otóż jednym z haseł reformacji była likwidacja klasztorów (zarówno żebraczych, jak i tych, które same opiekowały się biedakami). W krajach protestanckich udało się je zlikwidować w XVI w., a wówczas okazało się, że – po zlikwidowaniu tych drugich – nie ma kto udzielać jałmużny. Obowiązek ten spadł więc na władze, których pierwszym krokiem było zakazanie życia z jałmużny, a gdy nie przyniosło to rezultatu – zorganizowanie domów pracy, w których więziono unikających pracy i zmuszano ich do niej.

Speedy Taylor

Przez pierwsze 299 700 lat historii ludzkości bezrobocie było zjawiskiem marginalnym i niemierzalnym. Jednak 300 lat temu rozpoczęła się rewolucja przemysłowa: pojawiły się maszyny, które ułatwiały pracę albo wręcz zastępowały ludzi. Powstawały całe kompleksy takich maszyn, zwane fabrykami, a wówczas okazywało się, że czasem były dla nich zamówienia, a czasem nie. W okresach spowolnienia z fabryk zwalniano robotników i to właśnie byli bezrobotni we współczesnym rozumieniu tego słowa.

Dziki kapitalizm, rozwinięty w XIX w., niemal całkowicie lekceważył prawa robotników. Tydzień pracy liczył sześć dni, pracowało się po 12 godzin dziennie, nie było prawa do urlopów, nie istniały ubezpieczenia zdrowotne ani emerytalne, nie wspominając o ochronie przed bezrobociem. Robotnicy strajkowali – choć nie mieli również prawa do strajku – czasem buntowali się, rewoltowali, chwytali za broń i w początkach XX w. udało im się wywalczyć swoje – dzień pracy ograniczono do ośmiu godzin, pojawiły się urlopy, pracodawcy zaczynali dbać o opiekę zdrowotną, wprowa-

eprasa.pl 7a862733ee

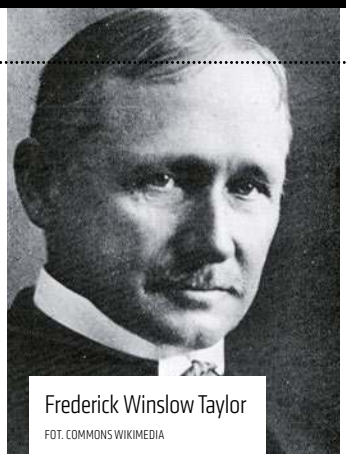
dzono emerytury. Wciąż nie było jednak systemu ochrony bezrobotnych, przede wszystkim dlatego, że… bezrobotni nie byli częścią rynku pracy.

W XIX w. bezrobotni zdarzali się w chwilach kryzysu, ale dość szybko znajdowali pracę. Wzrost zarobków fabryki można bowiem uzyskać na dwa sposoby: albo wprowadzać gospodarkę intensywną, czyli zwiększać wydajność pracy i kupować nowe maszyny, albo zwiększać liczbę pracowników, czyli prowadzić gospodarkę ekstensywną. W XIX w. większość fabryk prowadziła gospodarkę ekstensywną, a to oznaczało, że niemal każdy chętny znajdował pracę. Nadchodziło jednak nowe, w postaci badań wydajności pracy.

Za pierwszego eksperta od wydajności uchodzi Frederick Winslow Taylor, zwany Speedy Taylor, który pod koniec XIX w. był zatrudniany przez fabryki do obserwacji jej pracowników. Analizował mikroruchy wykonywane przez pracowników, przerwy w pracy, skracanie dniówki, wpływ premii i kar. Znany jest z badania sposobów ładowania – kształtu łopat, głębokości szufli, długości trzonka, układania na nim rąk oraz ustawienia stóp robotnika – co pozwoliło na zwiększenie wydajności 3,8 razy. Jego rówieśnik z Włoch – Vilfredo Pareto – zajmował się z kolei teorią i choć nie ma pewności, że zwiększył wydajność jakiejkolwiek fabryki, to sformułował zasadę 80/20: rzekomo za 80 proc. rezultatów odpowiada 20 proc. wysiłków.

Badania Speedy'ego Taylora zostały wykorzystane przez rozwijający się przemysł motoryzacyjny. Samochód Curved Dash skonstruowany przez Ransoma E. Oldsa w 1901 r. był pierwszym autem wytwarzanym na linii produkcyjnej. Później pomysł skopiował Henry Ford i od tamtej pory trwa pojedynek pomiędzy obiema firmami (Olds założył General Motors).

Badania nad zwiększeniem wydajności przyszły w samą porę: w 1914 r. wybuchła bowiem wojna światowa. Fabryki opustoszały, bo robotnicy zostali zmobilizowani i trafili na front. Tymczasem trzeba było ich zaopatrywać w żywność i amunicję, a więc zwiększyć wydajność, a nie ją zmniejszyć. Na masową skalę zatrudniono wtedy kobiety – było to możliwe dzięki badaniom Speedy'ego Taylora, który wyeliminował przenoszenie ciężkich półproduktów pomiędzy stanowiskami pracy. Zwiększono wydajność pracy i zainwestowano w nowoczesne maszyny i technologie.



Frederick Winslow Taylor

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Krzywa Phillipsa

W 1918 r. wojna światowa się skończyła, mężczyźni zrzucili mundury i chcieli wrócić do swoich prac. Chcieli, ale nie mogli: przemysł zmniejszył produkcję, nowe maszyny nie potrzebowały licznej obsługi, a nowi pracownicy – szczególnie kobiety – zajmowały ich miejsce.

W Polsce, w 1921 r., jeszcze niemal w wojennych warunkach, na 13,9 mln czynnych zawodowo pracy nie miało jedynie 48 tys., ale już w 1923 r. liczba bezrobotnych była 10-krotnie wyższa. Sytuację ratowała – jednak tylko w niektórych krajach – radosna konsumpcja tych, którzy cieszyli się z przeżycia wojny. W 1929 r. przyszło nieoczekiwane – wybuchł wielki kryzys, a bezrobocie poszybowało. A raczej wystrzeliło: w Wielkiej Brytanii wynosiło 21,6 proc., w Danii 42,8 proc., w Niemczech 45,1 proc. W Polsce – w której mierzono to nieco inaczej – tylko 67 proc. robotników pracowało w pełnym wymiarze godzin. Sytuację na rynku pracy poprawił dopiero wybuch kolejnej wojny światowej (jeśli można nazywać to poprawą). Jej zakończenie oczywiście znów zwiększyło liczbę bezrobotnych.

Od tamtego czasu bezrobocie w Europie oscyluje w okolicy 10 proc. i jest przedmiotem badań ekonomistów, czyli historyków mających problemy z pamięcią. Każde pokolenie ekonomistów zapomina o dokonaniach poprzedników i na nowo znajduje rozwiązania. W 1958 r. Nowozelandczyk Alban Phillips zauważył, że gdy zwiększa się inflacja, to zmniejsza się bezrobocie: to w miarę naturalne, skoro w czasie wojen zmniejsza się bezrobocie i zwiększają się płace, a więc rośnie inflacja. Według krzywej narysowanej przez Phillipsa istnieje miejsce, w którym inflacja jest mała i jednocześnie małe jest bezrobocie. Trzeba tylko takie miejsce znaleźć. Szukano go zatem.

W połowie lat 70. nastąpiła jednak stagflacja, czyli zjawisko wysokiej inflacji przy jednoczesnej stagnacji gospodarczej, czyli wysokim bezrobociu. Ekonomiści nie za bardzo wiedzą, dlaczego tak się dzieje, a dokładniej co pokolenie podają nowe wytłumaczenie: ekonomicznego Nobla przyznano za takie wyjaśnienia w latach 1974 i 1976, później w 1995 r. i znów w latach 2004 i 2006.

Od 20 lat bezrobocie w Europie przestało być problemem. Teraz problemem jest raczej brak rąk do pracy, przynajmniej w tych krajach, które żyją z przemysłu, a nie – jak np. Hiszpania – z turystyki. W Polsce bezrobocie praktycznie nie istnieje: wynosi mniej niż 5 proc. i jest najniższe od 34 lat. W 1990 r. było najwyższe, co jest raczej oczywiste: polskie bezrobocie doby „transformacji ustrojowej" wynikało z zakończenia wojny – w tym przypadku zimnej wojny.



Curved Dash, pierwszy samochód z linii produkcyjnej, 1904 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LARS-GÖRAN LINDGREN SWEDEN

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7a862733ee



Palestyńscy wygnani z Tantury przez Żydów

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL LIBRARY OF ISRAEL

1949–1956 / Żydzi kontra „infiltratorzy”

Brudna wojna Izraela



Piotr Zychowicz

Wypędzeni Palestyńczycy próbowali wracać do swoich domów. W Izraelu czekały na nich miny przeciwpiechotne, pułapki i karabinowe kule

Podczas wojny o niepodległość w 1948 r. Izrael wypędził ok. 730 tys. Palestyńczyków. Mowa o Nakbie, palestyńskiej katastrofie narodowej. Ludzie ci musieli odejść, aby zrobić miejsce dla przybywających z Europy żydowskich osadników. Musieli odejść, aby urzeczywistniony mógł zostać syjonistyczny sen: budowa narodowego, czystego etnicznie Izraela tylko dla Żydów. Musieli odejść na zawsze.

Problem w tym, że Palestyńczycy – tak jak wszyscy uchodźcy wojenni na świecie – mieli nadzieję, że gdy ucichną działa, będą mogli wrócić do swoich domostw. Warunki panujące w obozach dla uchodźców na terenie państw arabskich urągały wszelkim cywilizowanym standardom.

Dlatego jeszcze podczas wojny wielu Arabów zdecydowało się wrócić na własną rękę. Zjawisko to nasiliło się po zakończeniu działań zbrojnych. Cywile zaczęli przekradać się na teren Izraela przez zieloną granicę, a następnie – pod osłoną nocy – maszerować do swoich wiosek.

Niektórzy chcieli zebrać plon zeszłorocznych zasiewów, inni liczyli, że odzyskają choć część utraconej własności – narzędzia rolnicze, pamiątki rodzinne lub zakopane w ogrodach kosztowności. Jeszcze inni wierzyli, że uda im się po cichu osiąść w rodzinnych miejscowościach.

Wielu Palestyńczyków przekraczało granicę, żeby odnaleźć bliskich, którzy zostali w domach. A jeszcze inni zajmowali się przemytem haszyszu. Z kolei beduini z pustyni Negew, tak jak robili to od wieków, prowadzili karawany ze wschodu na zachód, nie do końca rozumiejąc, czym jest granica państwowa.

Syjonistyczni liderzy szybko pojęli, co się dzieje. Rozpoczynająca się spontaniczna migracja wywołała w Tel Awiwie przerażenie. Gdyby przenikającym do kraju Palestyńczykom udało się wrócić do swoich domów, arabska mniejszość w Izraelu (156 tys. osób, które uniknęły Nakby) znacznie by się powiększyła.

Procedury zaradcze zostały wdrożone natychmiast. Powracającym cywilom nadano miano „infiltratorów”. A wojsko otrzymało rozkaz użycia wszelkich środków, żeby uniemożliwić im powrót.

Oto niektóre z zastosowanych środków:

1. Równanie z ziemią wiosek i wysadzanie w powietrze budynków, aby fellahowie nie mieli do czego wracać;

2. Wycinanie sadów pomarańczowych i gajów oliwnych, zatruwanie studni, niszczenie infrastruktury niezbędnej do życia;

3. Natychmiastowe osadzanie żydowskich imigrantów w arabskich domach albo budowanie żydowskich kolonii na gruzach palestyńskich wiosek;

4. Minowanie ruin i pasów przygranicznych;

5. Rozstawianie straży, która strzelała bez ostrzeżenia do powracających;

6. Organizowanie obław w miastach i na prowincji;

7. Więzienie, pastwienie się i rozstrzeliwanie schwytanych „infiltratorów”;

8. Wyrzucanie napływających Arabów z powrotem za granicę.

eprasa.pl 7a862733ee

Izraelski profesor Awi Szlaim działania te nazwał „brudną wojną Izraela". Syjoniści wszystkich „infiltratorów" uznali bowiem za „terrorystów", wobec których zastosowano zasadę: strzelaj, a dopiero potem zadawaj pytania.

W efekcie w latach 1949–1956 izraelscy żołnierze, strażnicy graniczni i policjanci zastrzelili od 2,7 do 5 tys. arabskich przybyszów. Przytłaczająca większość tych ludzi była bezbronna. W tym samym czasie z rąk Palestyńczyków zginęło ok. 200 izraelskich żołnierzy i cywilów... Proporcje do dziś typowe dla konfliktu bliskowschodniego.

Dane te zaczerpnąłem ze znakomitej książki Benny'ego Morrisa „Israel's Border Wars". Historyk ten szacuje, że ponad 90 proc. „infiltratorów" przybywało do Izraela z pokojowymi zamiarami. Ludzie ci nie dopuszczali się żadnych aktów sabotażu ani przemocy wobec Żydów.

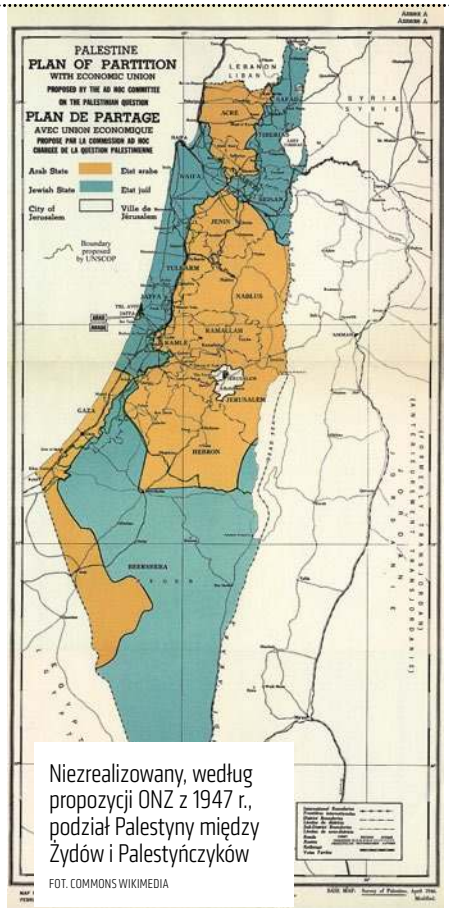
Oczywiście ataki również się zdarzały. Gdy Arabowie docierali do swoich domów i znajdowali w nich żydowskie rodziny, dochodziło do krwawych bójek, morderstw i podpaleń. Inni „infiltratorzy" od razu przekraczali granicę z zamiarem dokonania wendety na żydowskich sąsiadach. Napadali na nich i brutalnie ich mordowali. Aktów przemocy dopuszczało się jednak zaledwie 10 proc. „infiltratorów".

Głównym celem bezwzględnych działań Izraela nie była więc troska o bezpieczeństwo obywateli, ale strach przed niekorzystną dla Żydów zmianą proporcji demograficznych na terenie państwa.

Podczas organizowanych obław żołnierze skrupulatnie przeczesywali domy i pomieszczenia gospodarcze. Każdy znaleziony Arab – mężczyzna, kobieta czy dziecko – był drobiazgowo sprawdzany. Jeżeli okazywało się, że jest „infiltratorem", to natychmiast go deportowano.

W sumie za granicę wyrzucono w ten sposób ponad 10 tys. ludzi. Z samego Aszkelonu – nadmorskiego miasta na północ od Strefy Gazy – Izraelczycy deportowali 2,5 tys. mieszkańców. O tym, w jakiej atmosferze odbywały się te wywózki, może świadczyć cytowana przez Benny'ego Morrisa relacja pewnego kibucnika:

„Czekaliśmy na podwiezienie obok jednego z dużych obozów wojskowych na południu. Nagle podjechały dwie duże ciężarówki wypełnione Arabami z opaskami na oczach. Mężczyznami, kobietami, dziećmi. Kilku żołnierzy, którzy ich pilnowali, zeszło z platformy, żeby coś zjeść, reszta została na straży. Na nasze pytanie »Kim są ci Arabowie?« odpowiedzieli: »To są infiltratorzy, którzy jadą z powrotem za granicę«. To, jak Arabowie byli stłoczeni, było nieludzkie.



Niezrealizowany, według propozycji ONZ z 1947 r., podział Palestyny między Żydów i Palestyńczyków

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Jeden z żołnierzy nazwał swojego kolegę »ekspertem« w zaprowadzaniu porządku. Ci z nas, którzy stali w pobliżu, nie zauważyli żadnego niewłaściwego zachowania siedzących jeden na drugim, przestraszonych Arabów. Ale żołnierze chcieli nam pokazać, co rozumieją przez zaprowadzanie porządku.

»Ekspert« wskoczył na ciężarówkę i zaczął bić Arabów po zasłoniętych opaskami oczach. Kiedy skończył, podeptał ich wszystkich, a potem zaczął się gromko śmiać i chełpić swoim bohaterstwem. Byliśmy zszokowani jego podłym zachowaniem".

Ludzie ci i tak mieli sporo szczęścia. Gdyby Izraelczycy napotkali ich w czasie marszu, ich szanse na przeżycie byłyby niewielkie. Strzelano by bez ostrzeżenia do każdego Araba zauważonego w pasie przygranicznym. Mało tego, żołnierze „z rozpędu" zabijali również rolników pracujących w pasie ziemi niczyjej, a nawet na terytorium Jordanii.

Miny i rozmaite wybuchowe pułapki były umieszczane przy studniach albo pod trupami zabitych Arabów. Często się zdarzało, że żołnierze dobijali z broni palnej „infiltratorów" rannych w eksplozjach. W maju 1950 r. Izraelczycy porzucili dużą grupę Arabów w samym środku pogranicznej pustyni. Trzydzieści osób zmarło z odwodnienia.

„Było wielką ironią – pisał arabski historyk Salman Abu Sita – że Palestyńczyk wracający do domu był nazywany »infiltratorem« przez uzbrojonego osadnika z Polski, który przybył ze sztetla do Palestyny w środku nocy na pokładzie szmuglerskiego statku".

W książce „Voices from the Nakba" opisano przypadek pewnego człowieka, który został wypędzony do Libanu. Tam dowiedział się, że jego żona, która została w Izraelu, będzie miała dziecko. Para czekała na nie od wielu lat. Zdecydował się więc przejść przez granicę, żeby zobaczyć się z ukochaną. Gdy Izraelczycy się o tym dowiedzieli, zastrzelili go na miejscu.

Stosowanie tak radykalnych środków wywoływało krytykę umiarkowanych syjonistów. Między innymi szefa dyplomacji Mosze Szareta, który uważał je za niemoralne.

„Posługując się miarą moralną wspomnianą przez Szareta – mówił słynny jednooki generał Mosze Dajan – muszę spytać: Czy mamy prawo otwierać ogień do Arabów, którzy przekraczają granicę, aby zebrać plony roślin, które zasiali na naszym terytorium? Oni, ich kobiety i ich dzieci? Czy to działanie przejdzie test moralności?

Arabowie przekraczają granicę, aby zebrać zboże, które zostawili w opuszczonych wioskach. A my w tych miejscach zakopujemy dla nich miny. W efekcie wracają bez rąk i nóg. To wszystko nie są działania, które mogłyby przejść test moralności. Ale nie znam innego sposobu chronienia granic. Jeśli dziś pozwolimy, aby arabscy pasterze i rolnicy mogli przekraczać granice, to jutro Państwo Izrael nie będzie już miało granic".

A granice państwa Izrael były przecież świętością...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7a862733ee

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl 7a862733ee

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

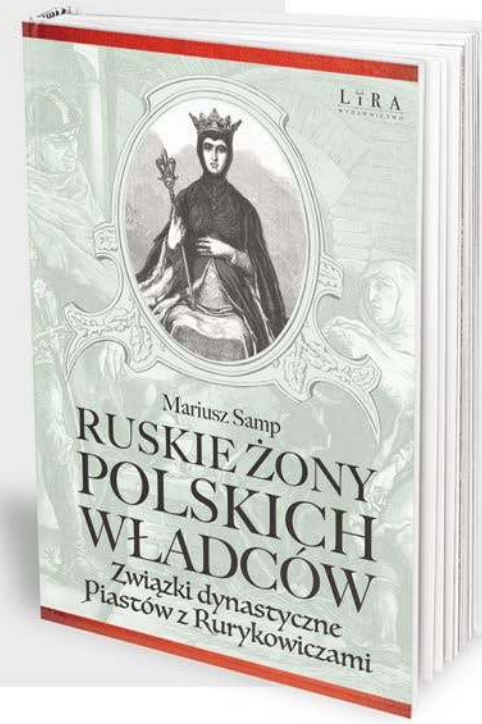
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA MARIUSZ SAMP: „RUSKIE ŻONY POLSKICH WŁADCÓW. ZWIĄZKI DYNASTYCZNE PIASTÓW Z RURYKOWICZAMI"

Ruskie żony polskich władców. Związki dynastyczne Piastów z Rurykowiczami

Począwszy od czasów Kazimierza Odnowiciela, wśród piastowskich małżonek najwięcej było kobiet pochodzących z Rusi Kijowskiej, co miało na celu sprzymierzenie się z Rurykowiczami. Większość małżeństw zawieranych na przestrzeni wieków przez polskich władców była bowiem mariażami politycznymi. Służyły one nawiązaniu lub umocnieniu sojuszu z innym państwem.

Jaką rolę odgrywały Rusinki u boku swych mężów? Co wiemy o ich codziennym życiu? Czy potrafiły się odnaleźć w świecie zdominowanym przez mężczyzn? Jak sprawdzały się jako matki i żony?

W swojej najnowszej książce dr Mariusz Samp szuka odpowiedzi na te pytania. Na podstawie dostępnych źródeł kreśli portrety kobiet – ruskich księżniczek, dla których los często nie był łaskawy. Niektóre z nich zapisały się w historii jako silne osobowości. Zapraszamy czytelników w kolejną podróż w odległe czasy średniowiecza!



162 zł

oszczędność 52 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

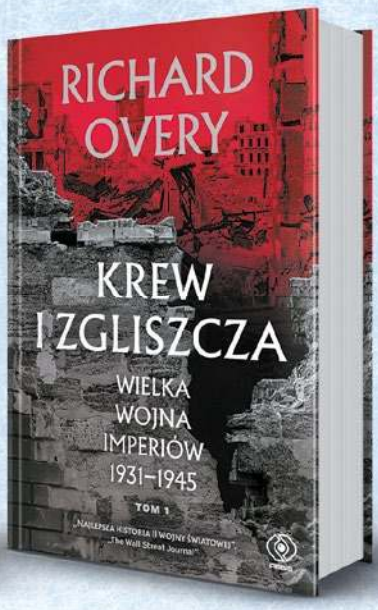
eprasa.pl 7a862733ee

REBIS

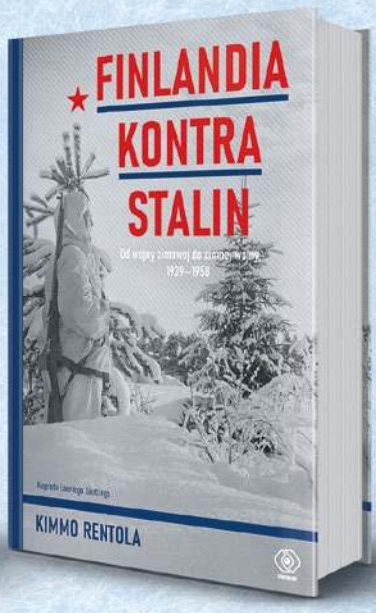
HISTORIA W NAJLEPSZYM WYDANIU



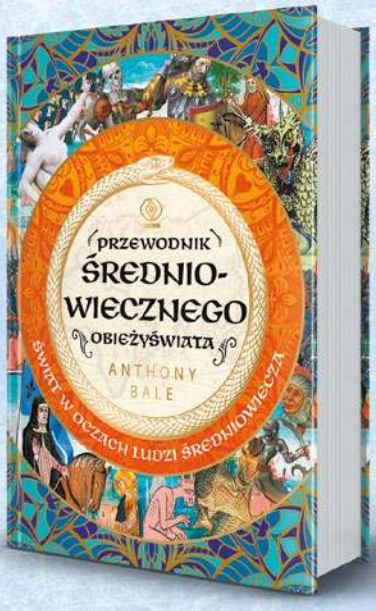
100 lat konfliktu
z Palestyńczykami



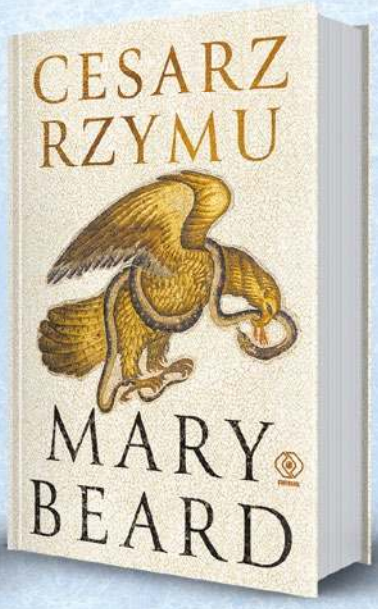
„Wielka wojna imperiów"
w błyskotliwej książce jednego
z najsłynniejszych historyków
drugiej wojny światowej



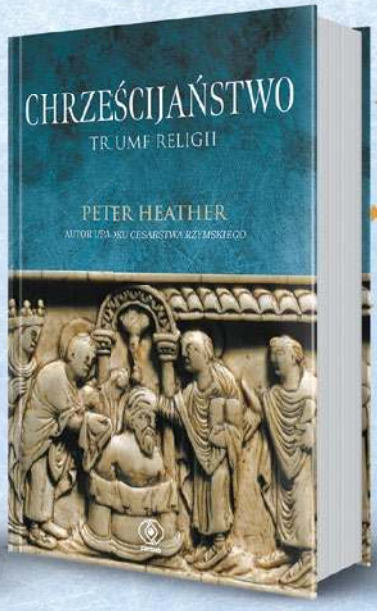
Przełomowa praca
o stosunkach
radziecko-fińskich
1939-1950



Oszałamiająca wyprawa
przez średniowieczny świat
widziany oczami ówczesnych
podróżników



Nowe spojrzenie
na cesarstwo rzymskie



Wciągająca historia
tysiąca lat chrześcijaństwa.
Zaskakująco świeże spojrzenie

REBIS Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. www.rebis.com.pl FB/DWREBIS

eprasa.pl 7a862733ee